Rekordowe płace lekarzy • Autoportret Melanii Trump • Psychozabójcy
Polscy żołnierze w Ukrainie? • Bad Bunny, latynoski król • Polska lombardia

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER SPRZEDAŻY

Cyrk Brauna



Osobliwe postacie i poglądy na zjeździe Korony

ILUSTRACJA **BARTOSZ TYTUS TROJANOWSKI**

TYGODNIK, nr 6 (3550), 4.02–10.02.2026 Cena 16 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

Wydanie w sprzedaży do 10.02.2026

ISSN 0032-3500

9 770032 350602 06>

Sprasa.pl 99f292badc

SKI team®

SKITEAM.PL | ROWERYCUBE.PL | SPYDER.PL

Sale!

NA ASORTYMENT ZIMOWY

Przygotuj się na ferie w Ski Team



od -15% do -50%

W TYM NAJNOWSZE KOLEKCJE
ODZIEŻY / BUTÓW / NART / DESEK / WIĄZAŃ

Promocja obowiązuje w sklepach stacjonarnych i na skiteam.pl

Sklepy stacjonarne Ski Team w Poznaniu i Katowicach są otwarte w najbliższą niedzielę (08.02.2026) w godzinach 12:00 - 18:00

Godziny otwarcia sklepów Poniedziałek - Sobota: 12:00 - 20:00

Warszawa: ul. KOR 36/38, ul. Toruńska 107b, Poznań: ul. Bułgarska 117a,
Katowice: ul. Sportowa 20, Wrocław: ul. Grabiszyńska 167

eprasa.pl 99f292badc

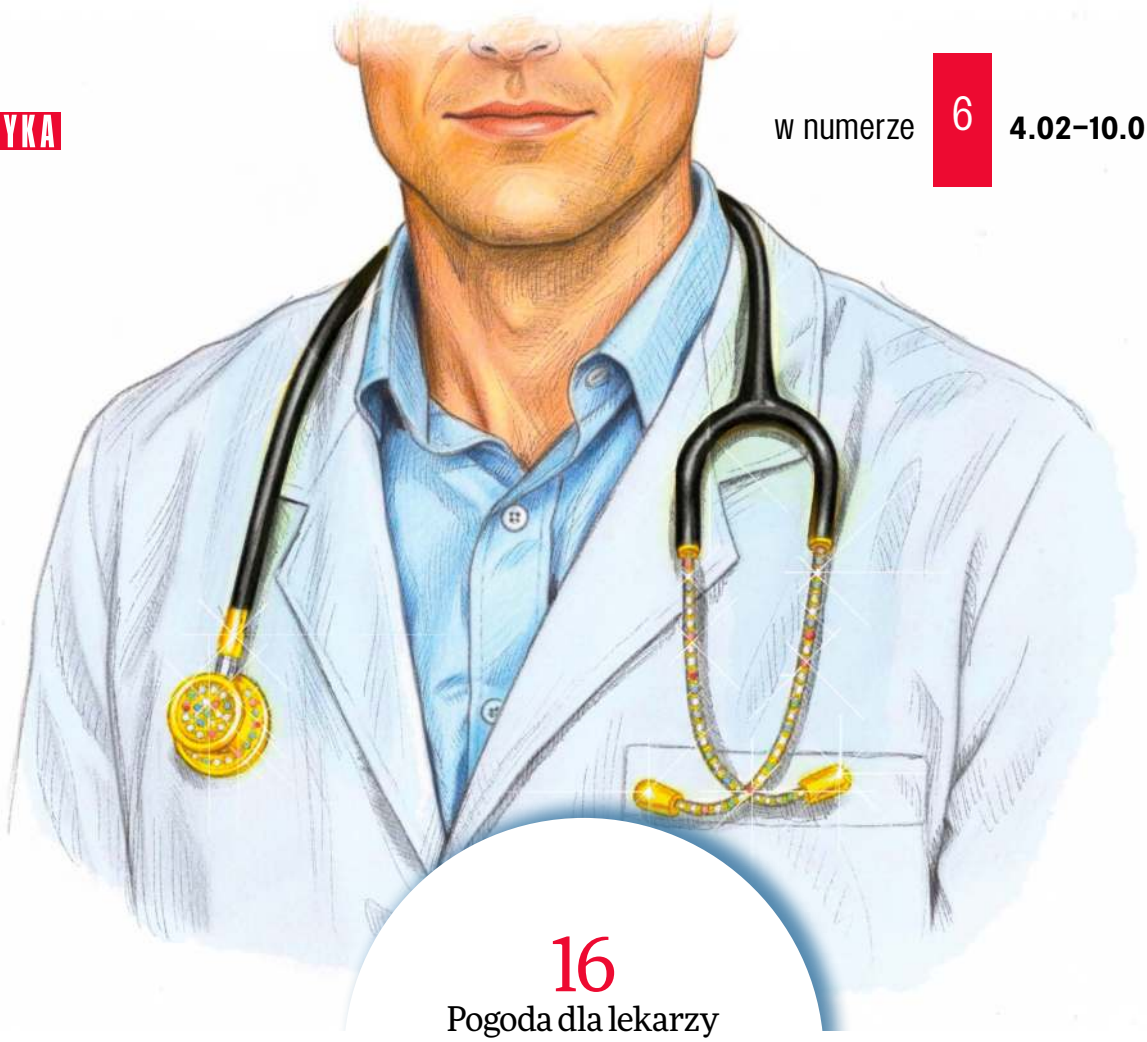

ILUSTRACJA **ARKADIUSZ HAPKA**

16
Pogoda dla lekarzy

Tematy tygodnia

12 Rafał Kalukin **Cyrk Brauna**
16 Joanna Solska **Ile dziś zarabiają lekarze**

Polityka

20 Mariusz Janicki **Czas remisu i kompromisu**
23 Anna Dąbrowska, Wojciech Szacki **Nowa gwiazda prawicy – Zbigniew Bogucki**
26 Marek Świerczyński **Nie weźmiemy udziału w misji wojskowej w Ukrainie?**

Społeczeństwo

30 Zbigniew Borek **Polska widziana z lombardu**
34 Jak się trafia do dziesiątki najlepszych nauczycieli świata, opowiada **Ewa Drobek**, finalistka Global Teacher Prize 2026
37 Violetta Krasnowska **Niesłusznie skazani na wieloletnie wyroki**
40 Katarzyna Kaczorowska ODCHODZIĆ PO LUDZKU **Recepty na dobrą starość**

Rynek

44 Adam Grzeszak **Domowy poradnik bezpieczeństwa energetycznego**

Świat

48 Tomasz Zalewski USA **Od deportacji do militaryzacji**
51 O szansach przetrwania NATO bez USA mówi politolog **Carlo Masala**
54 Leon Pińczak UKRAINA **Minister Mychajło Fedorow – następca Zełenskiego?**
56 Katarzyna Tubylewicz SZWECJA **Seria makabrycznych zbrodni**

Nauka/projektpulsar.pl

58 O uczonych na skraju obłędu opowiada pisarz **Benjamín Labatut**
61 Agnieszka Krzemińska **Sudan i Gaza: zniszczone dziedzictwo**
64 Maciej Lorenc **Od somy do jogi**

Historia

66 Tomasz Targański **Wojna o Arktykę**

Kultura

74 Piotr Sarzyński **Grabowska, Szydłowska, Telakowska – matki polskiego wzornictwa**
78 Rozmowa ze **Stanisławem Łubieńskim**, laureatem Paszportu POLITYKI w kategorii książka
82 Mariusz Herma **Bad Bunny – latynoski król amerykańskiej muzyki**
85 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
86 Paulina Wilk **„Melania" – kiepska autoreklama pierwszej damy**

Ludzie i style

94–97 • **Rzeczy-symbole** • **Studniówka w społecznościówkach** • **Odklejka, czyli dezorientacja** • **Wawrzyny z Madery** • **Kłopoty polskich winiarzy**

Stałe rubryki

• **4** Przypisy • **6** Ludzie i wydarzenia
• **70** Afisz • **88** Koziołek
• **89** Orliński • **90** Hartman
• **91** Chutnik i Plebanek
• **92** Do i od redakcji
• **92**, **98** Galeria POLITYKI
• **98** To jeszcze nie koniec

eprasa.pl 99f292badc



Nasze fobie i filie

Bartek Chaciński

Dobre wiadomości są dziś mało popularne, ale cóż poradzić na to, że znowu nas chwalą. Francuski „L'Express" w jednym z ostatnich wydań opisuje „sekrety polskiego cudu". Jako filary polskiej soft power wymienia Igę Świątek, Roberta Lewandowskiego i wiedźmina Geralta, bo wysłannik pisma odwiedził, a jakże, siedzibę CD Projektu. „Nieszczęśliwy jak Polak" – przypomina dziennikarz pisma europejskiego powiedzenie z XIX w. i zastanawia się, czy wkrótce nie trzeba będzie poszukać innego wyrażenia.

Łatwo zapomnieć o tej rzeczywistości po weekendzie, kiedy Łochów gościł po królewsku stronników Grzegorza Brauna: polskich fundamentalistów, antyszczepionkowców, miłośników broni palnej, rusofilów i ufologów, z biznesmenem wlekącym niedawno psa za samochodem w roli mecenasa (o egzotycznym kongresie KINGS piszemy na s. 12) i z tezami o współczesnej Polsce jako kraju totalitarnym lub nawet obozie w Auschwitz. Licytacja psychoprawicy na lęki i radykalizmy wydaje się gestem z jakiejś alternatywnej rzeczywistości, w realu goście kongresu KINGS wypadli zresztą bardziej licho niż w sieci, ale ich światopoglądowe szaleństwo to wciąż chwytliwy kontent dla algorytmów platform społecznościowych, bardziej pożądany niż dobre wiadomości.

Bo do tego, że Polacy wracający na lotnisko w Warszawie wzdychają „Jak tu czysto", przyzwyczailiśmy się szybko. Jeszcze szybciej oswajamy się z krążącymi po internecie filmikami o przekraczaniu słowacko-polskiej granicy, w których chodzi o różnicę w jakości nawierzchni, na naszą korzyść – ktoś nas chwali za drogi. Albo z tym, że nauczycielka z „umęczonej polskiej oświaty" – jak ją opisujemy w rozmowie na s. 34 – mogła się znaleźć w gronie 10 najlepszych pedagogów świata.

Zachodnie media nie są jednak na tyle jednostronne, żeby nie diagnozować naszego największego problemu: stan świadomości nie nadążył u nas za zmianami ekonomicznymi w kraju. „Die Welt" pisze, że wprawdzie polska gospodarka kwitnie, to jednak nie palimy się do tego, by zostać czołową potęgą europejską. Bo gdy zachodnia prasa na sprawy starcia dyplomatycznego na linii USA–Europa patrzy z perspektywy Europy, a nie Francji czy Niemiec, my oglądamy je ciągle tylko z krajowej. „My a Europa" albo „my a Ameryka". Europejskie warunki życia zdążyły wejść do Polski, zanim jeszcze utrwaliło się nam, że to my jesteśmy Europą. A kiedy na Zachodzie już dawno traktują nas jako współgospodarzy, my ciągle czujemy się gośćmi. Choćby w kwestii sił zbrojnych. „Czy Polska, mając na ustach świętość sojuszy i licząc na wsparcie w potrzebie, sama nie stosuje cynicznego realizmu, w typie Poland First?" – pisze w tym numerze POLITYKI o naszej postawie Marek Świerczyński (s. 26).

Prezydentowi Nawrockiemu, który wygrał wybory, grając amerykańską kartą (Now Rocky), nie wypada dziś nawet upomnieć Donalda Trumpa, gdy ten obraża honor polskich żołnierzy kłamliwą uwagą o misji NATO w Afganistanie. A jednym z naszych problemów pozostaje plaga – jak ją trafnie określają niektórzy, w tym m.in. Jakub Żulczyk – trumpofilii. Wyjątkowo niewygodna, kiedy manifestacje w Ameryce żądają rozliczenia winnej zabójstw na ulicach służby ICE, Springsteen śpiewa o „prywatnej armii króla Trumpa", Billie Eilish podczas Grammy przypomina, że „nikt nie jest nielegalny na skradzionej ziemi", a zwykli Polacy – jak pokazują sondaże – zrobili się nieufni wobec naszego wielkiego sojusznika.

W tym samym czasie marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty dostał od swoich odpowiedników z Kongresu USA i izraelskiego Knesetu gotowe pismo poparcia dla Donalda Trumpa w jego dążeniu do zdobycia Nobla. Ostatecznie marszałek wniosku nie poparł. Fakt, że do pokojowego Nobla nie wystarczy częste przebywanie w tym samym pokoju co Jeffrey Epstein. A Trump i trumpofile mają kolejne problemy wizerunkowe po upublicznieniu dalszych fragmentów akt pedofilskiej sprawy Epsteina, z polskimi wątkami (na wyspę finansisty i przestępcy seksualnego trafiały nadwiślańskie modelki). Wygląda to wszystko tak, jak gdyby spora część naszej prawicy uparcie zaciągała za Oceanem coraz większy kredyt polityczny w obliczu wyraźnie już pękającej bańki poparcia dla prezydenta USA, który bez wątpienia był z Epsteinem blisko.

Z gorszych wiadomości: naukowcy skupieni wokół Bulletin of the Atomic Scientists (w tym ośmioro noblistów) właśnie przesunęli wskazówki Zegara Zagłady, który od 1947 r. pokazuje, jak blisko nam do końca świata, biorąc pod uwagę konflikty zbrojne, zmiany klimatyczne i wzrost nastrojów autokratycznych. Najwięcej (17 minut) dzieliło nas od zagłady w roku 1991, dziś jesteśmy najbliżej: 85 sekund.

Złe wieści dla żony prezydenta Trumpa przyniósł z kolei premierowy weekend jej dokumentu „Melania" (piszemy o nim na s. 86): memem stały się obiegające świat fotografie pustych sal kinowych, reżyser filmu okazał się bohaterem zdjęć z nowego pakietu udostępnionych akt Epsteina, a internauci w serwisie IMDb (należącym notabene do producenta filmu, koncernu Amazon) przyznali mu średnio ocenę 1,3 na 10. Tylko o 0,1 więcej niż w wypadku filmu „Smoleńsk".

Chodzą słuchy, że polskie sale kinowe podczas pokazów „Melanii" stały się za to pewnym, zacisznym i ciepłym miejscem spotkań mężczyzn o trumpofilskich przekonaniach, którzy – w parach lub grupach – mogli spokojnie pogawędzić o swoich bohaterach. I dobrze, są różne sposoby na to, żeby nie czuć się „nieszczęśliwym jak Polak".

eprasa.pl 99f292badc

DANISH TRAVEL AWARDS 2025

Albatros travel

REJS WZDŁUŻ WYBRZEŻA CHORWACJI

ZE SPLITU DO DUBROWNIKA



4,8/5

Popłyń w niezapomniany rejs po najpiękniejszych chorwackich wyspach, zobacz Split i Dubrownik oraz wykąp się w krystalicznie czystych wodach Adriatyku.

Zwiedzimy Split i Pałac Dioklecjana (UNESCO), odwiedzimy zieloną wyspę Mljet z Parkiem Narodowym oraz malownicze wyspy Hvar, Brač i Korčula. Zwiedzimy średniowieczne miasta, w tym Dubrownik (UNESCO). Będzie też czas na kąpiele w morzu i relaks na pokładzie niewielkiego statku MS Eden z 18 kabinami zewnętrznymi.

2 posiłki dziennie

8 dni
Wyloty z Warszawy
17/06, 29/07, 26/08 2026

od **6.998,-**





4,8/5

Dookoła Islandii – wulkany, gejzery i lodowce

Wspaniała wyprawa dookoła wyspy słynącej z gorących źródeł, potężnych wodospadów i barwnej historii zapisanej w starych nordyckich sagach.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Keflavík. Przylot na Islandię i przejazd do Reykjavíku. **Dz. 2** Reykjavík – Zachodnia część wyspy. Zwiedzanie Reykjavíku i Parku Narodowego Þingvellir. **Dz. 3** Islandia Zachodnia – Akureyri. Wodospady, gorące źródła, fiordy w rejonie Nordland, konie w Skagafjördur, historia islandzkich sag oraz Reykholt. **Dz. 4** Akureyri – Wycieczka do wodospadu Godafoss (wodospad Bogów) i Rezerwatu Przyrody Mývatn. Fakultatywnie poranne safari morskie z obserwacją wielorybów. **Dz. 5** Akureyri – Fiordy Wschodnie. Husavik, wąwóz Asbyrgi, wodospad Dettifoss i Egilsstadir. **Dz. 6** Fiordy Wschodnie i Wybrzeże Południowe. Laguna Jökulssárlón, lodowiec Vatnajökull i Park Narodowy Skaftafell. **Dz. 7** Południowe wybrzeże – Reykjavik. Okolice Vik, czarne plaże, wodospady Seljalandsfoss i Skógafoss, gejzery i „ złoty" wodospad Gullfoss. **Dz. 8** Reykjavík. Czas wolny i powrót do domu. **Dz. 9** Przylot do Warszawy.

9 dni | Wyloty z Warszawy 26/05, 16/06, 28/07 2026 | od **10.998,-**



NOWOŚĆ

3 posiłki dziennie

Wielka podróż przez Chiny i Hongkong

Fantastyczna podróż szybkimi kolejami przez największe atrakcje Państwa Środka od Pekinu i Szanghaju po Hongkong i Makau.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przylot do Pekinu. Zwiedzanie Świątyni Nieba i kolacja powitalna. **Dz. 3** Pekin. Plac Niebiańskiego Spokoju, Zakazane Miasto i Wzgórze Węglowe. **Dz. 4** Pekin. Sklep z perłami, Wielki Mur Chiński, Pałac Letni i kaczka po pekińsku. **Dz. 5** Pekin – Szanghaj. Szybki pociąg do Szanghaju i rejs po rzece Huangpu. **Dz. 6** Szanghaj. Budynek Jin Mao, bazar Yuyuan i ulica Bund. **Dz. 7** Szanghaj – Zhujiajiao. Wycieczka po mieście kanałów i wieczorny pokaz akrobatyczny. **Dz. 8** Szanghaj – Guilin. Lot do Guilin, system jaskiń Pałacu Natury i wizyta w tradycyjnej herbaciarni. **Dz. 9** Guilin – Longji – Guilin. Tarasy ryżowe w Longji i wizyta u lokalnej rodziny. **Dz. 10** Guilin – Yangshuo. Rejs po rzece, wycieczka rowerowa i zwiedzanie wsi, a także możliwość obejrzenia plenerowego pokazu świetlno-teatralnego. **Dz. 11** Yangshuo – Guilin – Hongkong. Szybki pociąg do Hongkongu i czas na relaks. **Dz. 12** Hongkong. Zwiedzanie miasta z rejsem po zatoce Victoria Harbour, Mount Victoria, świątynia Man Mo i lokalny targ. **Dz. 13** Czas wolny lub fakultatywna wycieczka do Makau. Kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Przylot do Warszawy.

14 dni | Wyloty z Warszawy 22/05, 19/10 2026 | od **15.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **PL04**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

eprasa.pl 99f292badc



Nowa liderka, stare kłopoty

Nową przewodniczącą Polski 2050 została **Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz**, która w drugiej turze partyjnych wyborów nieznacznie pokonała Paulinę Hennig-Kloskę (350 na 305 głosów). Sam fakt, że głosowanie po licznych perturbacjach wreszcie udało się doprowadzić do końca, już można uznać za sukces, co dobrze pokazuje fatalny stan partii stworzonej przez Szymona Hołownię. Sam ojciec założyciel do poniedziałku nie znalazł czasu, by publicznie pogratulować zwyciężczyni, która wcześniej była przecież jego faworytką. Czas bardzo szybko pokaże, czy to milczenie taktyczne, by nie skupiać na sobie uwagi, czy też zwiastuje nową kotłowaninę w pokiereszowanym wewnętrznymi konfliktami ugrupowaniu.

Zwycięstwo Pełczyńskiej-Nałęcz to dziś bardziej triumf w konkursie na syndyka masy upadłościowej, ale też mały promyk nadziei dla Polski 2050 w roli samodzielnego bytu na scenie politycznej. Bo ostatnią rzeczą, jakiej można się spodziewać po minister funduszy i polityki regionalnej, jest chęć roztopienia się w ramionach Donalda Tuska i KO. Jej asertywna postawa wobec największego koalicjanta rodzi wiele zarzutów, ale też odnotujmy, że mają one lekki posmak mizoginii: tam gdzie polityk mężczyzna jest bezwzględny, kobieta jest zawistna, gdy facet broni swoich racji, kobieta histeryzuje itd. Tak czy inaczej, nowa szefowa Polski 2050 jest bez wątpienia ostrą polityczną zawodniczką. Pytanie tylko, dokąd ją to doprowadzi.

Pełczyńska-Nałęcz nie jest posłanką i jej wpływ na sejmowe szeregi Polski 2050 będzie mocno ograniczony. To zaś zwiększa prawdopodobieństwo przyszłego rozłamu. Dziś nowa liderka deklaruje chęć współpracy i zapowiada, że będzie „odpowiedzialną częścią" koalicji 15 października, ale na horyzoncie majaczą już pierwsze potencjalne konflikty. Na pierwszy ogień pójdzie kwestia stanowiska wicepremiera, która pokaże też stosunek Tuska do mniejszego koalicjanta: zgoda ustabilizuje Polskę 2050 pod nowym przywództwem, odmowa i koalicyjny konflikt będą pretekstem do rokoszu przeciwko liderce i nowego rozdania w obozie rządowym.

Być może dla Pełczyńskiej-Nałęcz byłby to nawet dogodny scenariusz. Dołująca w sondażach partia nie ma szans na samodzielne wejście do Sejmu i musi szukać szalupy ratunkowej, a socjalliberalny profil nowej przewodniczącej otwiera ją na potencjalne sojusze po lewej stronie. Nie jest aż tak trudno sobie wyobrazić, że spektakularna awantura z Tuskiem i opuszczenie rządu to może być początek nowej, nieco egzotycznej przyjaźni między Polską 2050 Pełczyńskiej-Nałęcz a partią Razem.

MICHAŁ DANIELEWSKI

Co się dzieje w SOP



Zbrodnia w Ustce dokonana przez majora SOP zwróciła uwagę na to, jak funkcjonuje powołana przez PiS służba

Po czteromiesięcznej kontroli MSWiA w Służbie Ochrony Państwa, po tym jak we wrześniu ub.r. ukradziono Lexusa spod domu premiera Tuska, minister Marcin Kierwiński zdecydował o odwołaniu komendanta tej formacji, 45-letniego Radosława Jaworskiego, który był jedynym szefem w służbach pozostałym na stanowisku po poprzednikach z PiS. Jak słyszymy, to, że taka decyzja zapadła dopiero teraz, to błąd zaniechania. Taki sam jak pozostawienie Mariusza Kamińskiego na czele CBA w czasach pierwszych rządów PO. Jaworski został powołany na stanowisko w 2022 r. Z kolei na stopień generalski został mianowany przez Andrzeja Dudę nie w święto formacji, jak to było w zwyczaju, lecz podczas dwutygodniowego rządu Morawieckiego, chwilę przed oddaniem władzy przez PiS. Ponoć często chodził do Dudy, potem do Nawrockiego; jest też w dobrych relacjach z Maciejem Wąsikiem.

Dopiero kradzież Lexusa spod domu Tuska w Sopocie, strzeżonego przez SOP, sprawiła, że poleciały głowy odpowiedzialnych za ochronę, a sam Jaworski został wysłany na zaległy urlop, który potem zmienił na zwolnienie lekarskie trwające do dziś. W połowie stycznia do MSWiA wpłynął jednak list wyższej kadry SOP domagającej się powrotu Jaworskiego. Zostało to odebrane jako wypowiedzenie posłuszeństwa ministrowi Kierwińskiemu. Ten zaś 20 stycznia podjął decyzję o odwołaniu Jaworskiego. Po jej akceptację udał się do Nawrockiego, bo PiS zapisał w ustawie powołującej SOP w miejsce BOR, że zmiany na tym stanowisku mają odbywać się „w uzgodnieniu z prezydentem". Szef MSWiA przedstawił wyniki kontroli mówiące o niejasnych awansach, wysokich gratyfikacjach „dla swoich". Prezydent nie wyraził zgody na odwołanie Jaworskiego.

Prof. Włodzimierz Wróbel, sędzia Sądu Najwyższego, uważa, że brak zgody prezydenta wymaga dla swojej ważności kontrasyganty premiera. Ale i tak załatwiono to inaczej. Wszczęto wobec komendanta postępowanie dyscyplinarne, co wymusiło zawieszenie go w czynnościach. Efektem dyscyplinarki może być nawet wydalenie ze służby. P.o. komendant został płk Tomasz Jackowicz, od 2024 r. zastępca komendanta, a latach 2007–14 szef ochrony premiera Tuska.

– *SOP swoje życie skończył kompromitacją. Ten temat nie wyszedł panom Zielińskiemu i Błaszczakowi i trzeba z tym skończyć* – mówi gen. dyw. Marian Janicki, były szef BOR. Uważa, że należy opracować nową ustawę o formacji z usunięciem uprawnień operacyjnych włącznie (te wpisał do niej PiS). Służba ma chronić najważniejsze osoby i instytucje w państwie oraz zagranicznych gości. (VK)

© PAP/PIOTR NOWAK, PAP/PIOTR KOWALA, ROBERT PRANGE/GETTY IMAGES, ADAM BURAKOWSKI/REPORTER

eprasa.pl 99f292badc

Trudny początek dla Świątek

Już wiadomo, że **Iga Świątek** nie skompletuje w tym roku karierowego szlema (czyli nie wygra minimum raz w każdym turnieju wielkoszlemowym), ale to najmniejsze zmartwienie jej, jej sztabu i polskich kibiców. Z Australian Open odpadła na etapie ćwierćfinału, rundę wcześniej niż przed rokiem, pokonana przez Kazaszkę Jelenę Rybakinę, która ostatecznie turniej wygrała. Czuć niedosyt. Polka od jakiegoś czasu przegrywa i wygrywa według podobnego schematu – gaśnie zwłaszcza w drugich setach, mnożą się błędy, pierwszy serwis nie wchodzi, drugi jest zbyt czytelny. Niektóre piłki Iga odprowadza wzrokiem bez walki, raz się spieszy, raz zacina. Nie wiadomo, czy to kwestia sprawności fizycznej (zwykle jest jednak perfekcyjnie przygotowana), techniki czy „mentalu", ale sytuacja utrzymuje się z różnym natężeniem mniej więcej od igrzysk, „afery dopingowej", zmiany trenera i utraty fotela liderki rankingu. Kumulacja tych okoliczności z 2024 r. nadal zdaje się Idze przytłaczać, nie pomaga presja. Złośliwi piszą: przydałby się w sztabie jakiś psycholog.

Sama Iga tłumaczy, że w agresywną grę jest wpisane ryzyko. „Odebrałam lekcję", powtarza. Ale czy wyciąga wnioski? Na razie zapowiada, że odpuści kilka turniejów rangi WTA 1000, żeby dopracować różne elementy swojej gry. Może słusznie. Jej atrybuty – solidność, staranność, regularność – gdzieś zanikły, a są niezbędne, żeby grać z najlepszymi. Bo czołówka odjeżdża i bije coraz mocniej. Sprawdźmy bilans z pierwszą dziesiątką rankingu WTA: z Aryną Sabalenką Iga przegrała ostatnie dwa mecze, z Jeleną Rybakiną – też dwa, z Coco Gauff – cztery, z Jessiką Pegulą – dwa, z Amandą Anisimovą – dwa, z Mirrą Andriejewą – dwa, z Jasmine Paolini – jeden, z Belindą Bencic – jeden. Stawkę do niedawna zamykała Madison Keys – i tylko z nią Polka ostatnio wygrała. Ale Keys jest aktualnie bez formy.



Wim Fissette lubi pracę na danych i na pewno to widzi, pytanie, czy podopieczna go słucha. Zachodni eksperci podpowiadają, żeby skupiła się na mączce i tu dominowała. Ale ich nie posłucha tym bardziej, zresztą na pewno ma apetyt na więcej.

Powodów do narodowej tragedii oczywiście nie ma. W tourze nadal to Iga jest najbardziej utytułowana, a z Australian Open odpadły w kiepskim stylu Gauff, Anisimova, Andriejewa czy Paolini… Ale jest o czym myśleć, a przykłady Sabalenki (ma lepszy serwis i trzyma nerwy na wodzy) czy Rybakiny (wróciła z dalekiej podróży na trzecie miejsce rankingu) pokazują, że progres jest możliwy mimo czasowych przestojów. (AŻ)

„Mein Kampf" bije rekordy



Wydawnictwo Bellona szykuje kolejny już dodruk książki „Mein Kampf" Adolfa Hitlera. Sukces wydawniczy książki jest wielką tajemnicą.

Polski czytelnik bardzo długo czekał na tłumaczenie książki, którą posądza się o to, że stworzyła podwaliny pod niemiecki nazizm. Choć pierwszy tom ukazał się w Niemczech w 1925 r., a drugi w 1927 r., polskiego tłumaczenia przed drugą wojną światową się nie doczekaliśmy. Najpierw nikt nie był nim zainteresowany. A kiedy w 1938 r. pojawiło się zainteresowanie, to zabrakło go po stronie niemieckiego wydawcy. Po wojnie przez lata nie nadawano dzieciom w Polsce imienia Adolf, nie mówiąc o tym, żeby ktoś wpadł na pomysł, aby wydać książkę Hitlera. Na przeszkodzie stała również kwestia formalna, czyli prawa autorskie. Po pierwsze: od kogo je uzyskać, po drugie: komu wypłacić tantiemy (formalnie właścicielem był rząd Bawarii, ale nie udzielał zgody na nowe wydania).

Problemem tym nie zaprzątało sobie głowy wydawnictwo Scripta Manent, które w 1992 r. wypuściło pierwsze wydanie „Mein Kampf" na polski rynek. Było to wydanie skrócone o jakieś 40 proc., więc choćby z tej perspektywy trudno je uznać za wartościowe. Publikacja nie została również opatrzona żadnym krytycznym wstępem. Na takie rozwiązanie zdecydował się niemiecki wydawca, który po tym, jak prawa autorskie do książki zostały uwolnione, zdecydował się ją wydać w opracowaniu krytycznym. Taka mniej więcej była również geneza pierwszego oficjalnego wydania „Mein Kampf" w Polsce. Krytycznego opracowania książki podjął się prof. Eugeniusz Cezary Król z Instytutu Studiów Politycznych PAN. Książka miała nawet wstępne błogosławieństwo władz Instytutu, ale pod wpływem fali środowiskowej krytyki Instytut wycofał się z projektu.

Nie wycofała się z niego Bellona i w styczniu 2021 r. książka trafiła do księgarni. Choć nie została poprzedzona żadną kampanią reklamową, to skala sprzedaży okazała się zaskakująca. – *Spodziewaliśmy się, że będzie to gratka dla wąskiego grona historyków. Zainteresowanie pozycją przerosło wszelkie nasze oczekiwania. Stąd kolejne dodruki, szykujemy się zresztą do kolejnego* – mówi Ewa Cieślak-Kaczyńska, rzeczniczka Bellony.

Choć wydawnictwo nie chwali się pełnymi danymi, to wiadomo, że sprzedany nakład już przekroczył 30 tys. egzemplarzy. A mówimy o książce za prawie 200 zł. Ta liczba sprzedanych egzemplarzy zbliża sprzedaż do pierwszego wydania niemieckiego, które osiągnęło 36 tys. egz. Kolejne były już znacznie wyższe. Kiedy w latach 30. zeszłego wieku książka stała się niemal narodową biblią, sprzedaż przekroczyła 12,5 mln egz.

Fenomen polskiego wydania jest zaskoczeniem również dla autora krytycznego opracowania. – *Przez lata obowiązywało myślenie, że książka ta dała podwaliny pod niemiecki faszyzm i nie należy tej trumny otwierać. Może za obecnym sukcesem wydawniczym kryje się fakt, że totalitaryzmy ponownie szczerzą swoje kły? Mam nadzieję, że mój krytyczny wstęp będzie przestrogą przed ponownym wejściem na tę drogę* – mówi prof. Eugeniusz Cezary Król. (JULL)

eprasa.pl 99f292badc

TYDZIEŃ W POLITYCE

Sprawdzian dla prezydenta

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk; doradca prezydenta RP w latach 2010–15



Usunięcie przez Karola Nawrockiego Okrągłego Stołu z Pałacu Prezydenckiego to ważny polityczny krok eskalujący wojnę polsko-polską. Ten historyczny mebel symbolizuje bowiem gotowość do rozmowy o sprawach dla Polaków najważniejszych. Przypomina, że nawet najwięksi wrogowie mogą porozumieć się dla dobra kraju.

Osiągnięcie kompromisu przychodzi łatwiej, jeśli zwaśnionym stronom służy pomocą mediator – taki, jakim przy Okrągłym Stole w 1989 r. był polski Kościół, wspierany w tej misji przez Jana Pawła II. Nie było bowiem w czasach komunistycznej dyktatury innej, niezależnej instytucji mogącej podjąć się tego zadania. W systemie demokratycznym nasza konstytucja arbitrem uczyniła głowę państwa, wyposażając ją w uprawnienia pozwalające nie tylko mediować, ale i rozładowywać kryzysy. W tym duchu działali kolejni prezydenci: Aleksander Kwaśniewski, Lech Kaczyński i Bronisław Komorowski.

Za prezydentury Kwaśniewskiego, który przy Okrągłym Stole zasiadał po komunistycznej stronie, w Pałacu stworzono ekspozycję prezentującą ten mebel. Decyzję poprzednika podtrzymał Kaczyński, przy Okrągłym Stole reprezentujący Solidarność. Nie zmienił jej też Komorowski, choć w 1989 r. zwalczał rozmowy z komunistami. Mimo odmiennych życiorysów wszystkich prezydentów łączyło przekonanie, że warto taką ekspozycją podkreślić rolę głowy państwa jako mediatora i arbitra. Nawet Andrzej Duda, na co dzień trzymający stronę PiS, takiego przesłania pałacowej prezentacji nie zanegował.

Zrobił to dopiero Karol Nawrocki. Co ciekawe, uczynił to w formie obraźliwej dla PiS, podkreślając, że dopiero wraz z tą decyzją „skończył się w Polsce postkomunizm". A to oznacza, że za „postkomunistyczną" uznał nie tylko Polskę Lecha Kaczyńskiego, ale i tę z lat 2015–23. Mniejsza jednak o szpilę wbitą Jarosławowi Kaczyńskiemu w ramach dezawuowania go w roli lidera prawicy – tę Nawrocki rezerwuje dla siebie. O wiele groźniejsze jest wyrzeczenie się przez prezydenta misji arbitra, widoczne w wielu jego posunięciach, a teraz symbolicznie podsumowane banicją, na jaką skazał muzealny mebel. Tu koniecznie trzeba bić na alarm!

Nie mają za to racji krytycy prezydenckiej decyzji, którzy tłumaczą, że eksmitując z Pałacu Okrągły Stół, Nawrocki zlekceważył dziejowy przełom z 1989 r. Fałszywa to teza, bo ten przełom nie dokonał się przy Okrągłym Stole. Ustępstwa, które Solidarność wymusiła na władzy, mogły się przecież skończyć nie upadkiem, ale remontem komunizmu i ekipa Jaruzelskiego bardzo na to liczyła.

O tym, że tak się nie stało, przesądzili nie politycy, tylko całe społeczeństwo, pokazując reżimowi w wyborach z 4 czerwca 1989 r. czerwoną kartkę. Dlatego koalicja 15 października zamiast brnąć w niefortunną obronę Okrągłego Stołu, powinna uchwalić ustawę honorującą rocznicę wyborów i czyniącą 4 czerwca dniem świątecznym, wolnym od pracy. Podpis pod takim aktem stanie się sprawdzianem z historii dla prezydenta. Jeśli zablokuje uhonorowanie sprawczej roli społeczeństwa, wystawi sobie jak najgorsze świadectwo, czego ludzie mu nie zapomną.

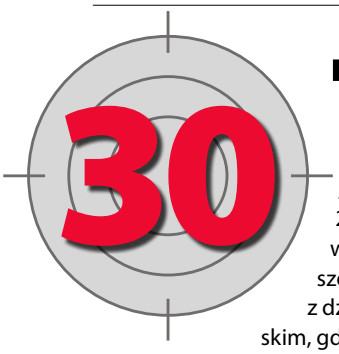

Tyle osób zginęło lub zostało poważnie rannych w wyniku działań myśliwych od 2015 do 2025 r. Właśnie ruszył proces jednego z tych myśliwskich „wyborowych strzelców", który zabił 21-letniego żołnierza na poligonie i jak wyjaśniał, był przekonany, że strzela do… szopa. Najczęściej myśliwi „mylą" człowieka z dzikiem. Jak w 2025 r. w powiecie lubartowskim, gdy zabili wychodzącego z domu na swojej posesji 60-latka (co więcej, w polowaniu uczestniczyło 12-letnie dziecko). Absurdalne tłumaczenie z szopem prawdopodobnie ma zapobiec kolejnemu zarzutowi – kłusownictwa, bo do gatunków inwazyjnych obcych można strzelać bez pozwolenia.

Ostatnia ofiara myśliwego to dwuletnia dziewczynka postrzelona w stopę. Lekarze uratowali jej nogę, ale prawdopodobnie ze skutkami tego postrzału będzie musiała się zmagać przez całe życie. Prokuratura w Szczytnie prowadzi postępowanie w kierunku narażenia na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia. Oskarżonym będzie dziadek dziewczynki, 51-letni myśliwy, który wrócił z polowania i zostawił naładowany sztucer w korytarzu. Grożą mu trzy lata więzienia. Po wypadku broń zabrali policjanci z komendy w Szczytnie. Po kilku dniach sztucer (którego dalej nie rozładowano) wystrzelił samoistnie w jednym z policyjnych pomieszczeń. Wygląda na to, że dziecko nie musiało nawet dotykać broni dziadka.

Tymczasem myśliwi nie ustają w wysiłkach, by dzieci mogły znów brać bierny udział w polowaniach, co jest zakazane od ośmiu lat. Konfederacja złożyła projekt nowelizacji prawa łowieckiego uchylającego ten przepis. Konfederata i zarazem prezes Naczelnej Rady Łowieckiej Marcin Możdżonek twierdzi, że taki zakaz łamie konstytucyjne prawo myśliwych do wychowywania dzieci zgodnie z naszym przekonaniem, z tradycją. – *Przecież to właśnie konstytucja w art. 72 zapewnia ochronę praw dziecka przed przemocą i okrucieństwem* – przypomina poseł KO Paweł Suski. Zresztą gdy w 2018 r., zaraz po nowelizacji, myśliwi zaskarżyli zakaz do Trybunału Konstytucyjnego, ten uznał skargę za bezzasadną. *– Nie ma mojej zgody na to, żeby myśliwi znowu krzywdzili dzieci. Sam jestem ofiarą apodyktycznego ojca, który zabierał mnie na polowania, zmuszał do oglądania tych strasznych rzeczy, do dobijania zwierzyny, patroszenia.*

Jak wygląda tzw. bierny udział w polowaniu, dobrze wie Zenon Kruczyński, kiedyś myśliwy, dziś aktywista ekologiczny: – *Trzeba obciąć genitalia, rozciąć brzuch, wyciągnąć wnętrzności, ręce są do łokci we krwi…* (AS)

© STUDIO POLITYKA

eprasa.pl 99f292badc



MAZDA CX-80

PRZESTRZEŃ STWORZONA Z KLASĄ

W Japonii wierzymy, że do osiągnięcia pełni możliwości niezbędna jest przestrzeń. Zrozumiesz to, siadając za kierownicą naszego największego i najbardziej przestronnego SUV-a. Mazda CX-80 to samochód klasy biznes. Zachwyci Cię szlachetny minimalizm i najwyższa jakość wykonania z troską o każdy detal. Komfortowo pomieści nawet do 7 osób, stając się nie tylko pełną klasy wizytówką dla Twojego biznesu, ale też miejscem radości, dzielonej z najbliższymi. Dzięki dynamicznym i oszczędnym jednostkom napędowym poczujesz niezrównaną przyjemność z prowadzenia, nawet podczas dalekich podróży.
Mazda CX-80 - przestrzeń z klasą dla Twojego biznesu.

6 LAT | GWARANCJA MAZDY

W zależności od wersji samochodu średnie zużycie paliwa, energii oraz emisja CO_2 (na podstawie WLTP) wynoszą odpowiednio: 1,6-5,7 l/100 km, 23,9 kWh/100 km oraz 36-149 g/km. Samochody Mazda są wyposażone w układ klimatyzacji zawierający fluorowany gaz cieplarniany o współczynniku ocieplenia globalnego powyżej 150. Informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji znajdują się na mazda.pl

CRAFTED IN JAPAN

MAZDA

eprasa.pl 99f292badc

Zamrażanie Ukrainy



Na froncie bez przełomu. Zamiast tego Rosjanie atakują system energetyczny Ukrainy. Udało im się pozbawić miliony cywili ciepła i światła. O zaprzestanie bombardowań „Kijowa i innych miast" poprosił Władimira Putina w zeszły czwartek Donald Trump. Moratorium miało potrwać tydzień, a powodem prośby były nadzwyczajne mrozy. Kreml odpowiedział pozytywnie i faktycznie ataki na infrastrukturę na razie ustały. Dla Ukraińców, szczególnie w największych aglomeracjach, oznaczało to chwilę wytchnienia. W styczniu, gdy temperatury spadły dużo poniżej -20 st. C, Kijów, Charków, Chersoń, Dniepr, Odessa, Krzywy Róg, Zaporoże i inne miasta były atakowane dzień po dniu. Niektóre naloty trwały nawet po kilkanaście godzin dziennie. W rezultacie całe dzielnice były odcięte od prądu. W obwodzie charkowskim dotknęło to ponad milion osób. Szczególnie cierpiał Kijów, gdzie nawet 60 proc. gospodarstw domowych było pozbawionych energii, a setki tysięcy mieszkańców opuściło stolicę.

Ukraińcy po czterech latach wojny mają duże doświadczenie w przetrwaniu chłodów. Szpitale, sklepy, apteki, urzędy, firmy czerpią energię z generatorów. W mieszkaniach popularne są przenośne stacje energetyczne (duże powerbanki), które mogą nawet przez kilka godzin dostarczać energię do urządzeń domowych. Ludzie mogą się ogrzać, zjeść ciepły posiłek, skorzystać z internetu, naładować komórki w „punktach niezłomności" – w piwnicach, szkołach, a nawet w wojskowych namiotach między blokami. W tym roku jednak zima jest wyjątkowo ostra, a Rosjanie do ataków używają rakiet i jednocześnie dużej liczby tanich dronów, które forsują obronę przeciwlotniczą.

Przerwę w ostrzałach energetycy wykorzystywali na remonty. System jest jednak już tak zniszczony i przeciążony, że nawet bez ataków zdarzają się potężne awarie. Do jednej z nich doszło w ostatnią sobotę stycznia. Padły połączenia energetyczne z Mołdawią, a także linie łączące wschodnią i zachodnią część kraju, co spowodowało kaskadowe wyłączenia w całej sieci. Wiele krajów ruszyło z pomocą: Czesi zrzucali się na generatory, Niemcy chcą dostarczyć 33 mobilne elektrownie, trwały zbiórki w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych. W Polsce udało się zgromadzić kilka milionów złotych w ramach akcji „Ciepło z Polski dla Kijowa" organizowanej przez fundację Stand with Ukraine. Na pomoc zbiera się też w kościołach (m.in. w archidiecezji małopolskiej i warszawskiej).

Tymczasem Moskwa szykuje się do nowych uderzeń. Wiaczesław Wołodin, przewodniczący rosyjskiej Dumy Państwowej, napisał, że deputowani nalegają na użycie przeciw Ukrainie „potężniejszej broni, broni odwetu".

Armia bez wicegłowy



Upadek gen. **Zhang Youxii** to w zgodnej opinii największe zawirowanie kadrowe w armii od ponad pół wieku, czyli epoki Mao Zedonga. Zhang był pierwszym wiceprzewodniczącym Centralnej Komisji Wojskowej, partyjnego ciała rządzącego armią. Obok przewodniczącego Xi Jinpinga, szefa partii i prezydenta w jednej osobie, znajdowało się tu sześciu najwyższych rangą wojskowych. Trzech z nich objęły czystki zainicjowane jesienią, teraz dotknęły kolejnych dwóch, w tym tego najważniejszego: wiernego sojusznika Xi, z doświadczeniem bojowym i największym autorytetem w armii. Łączyły ich też, co istotne na chińskich wyżynach władzy, długoletnie więzi osobiste, obaj należeli do kasty „czerwonych książąt", dzieci aparatczyków, ich ojcowie walczyli u boku Mao.

W ten sposób dwumilionowa armia, przechodząca gwałtowny rozwój i gorączkę modernizacji, pozostała praktycznie bez głównego dowództwa. Jako powód wszczęcia śledztwa, zwykle związanego z zatrzymaniem, podano lakoniczne „poważne naruszenia dyscypliny i prawa", co w praktyce oznacza korupcję; oficjalny organ armii dodał „osłabianie gotowości bojowej" i podważanie autorytetu Xi jako głównodowodzącego. Taki ezopowy język wywołał dziesiątki spekulacji.

Po pierwsze: korupcja. To konik prezydenta, odkąd objął władzę w 2012 r., w kolejnych kampaniach zwalczał ją od góry do dołu, jednocześnie traktując jako oręż w pozbywaniu się oponentów i umacnianiu władzy. W wojsku też było ich kilka, najdalej idąca w 2023 r., zainicjowana w wojskach rakietowych, zakończyła kariery 60 osób wśród wysokiej generalicji i szefów przemysłu zbrojeniowego. Czy wypłynęła teraz jakaś sprawa z przeszłości, np. kiedy Zhang Youxia odpowiadał za zakupy dla armii? Albo świeża, spekulowano, łapówki za posadę ministra obrony?

Ale to nie wyczerpywało tematu. Mówiło się, że trzy wcześniejsze dymisje w Centralnej Komisji to skutek walk frakcyjnych, w których górę wzięła grupa Zhanga. W rezultacie zbyt się umocnił, uniezależnił i zagrażał samemu Xi. Mogli się poróżnić w kwestii strategii. Xi wyznaczył 2027 r. jako moment gotowości armii do ataku na Tajwan (gdyby miał paść taki rozkaz). Zhang miał być zwolennikiem wolniejszych, systemowych zmian w armii. Albo – w innej wersji – nie radził sobie ze skalą zmian, potrzebny byłby ktoś z młodszej generacji. „Wall Street Journal" przebił te wszystkie spekulacje, podając, że Zhang miał przekazać Amerykanom informacje na temat arsenału jądrowego. Być może był to przeciek kontrolowany jego wrogów, aby ostatecznie go pogrążyć. Wspólnym mianownikiem tych spekulacji jest bowiem nieweryfikowalność. Teraz oczy analityków zwrócone są na Komisję: kiedy – i jak – zostaną wypełnione wakaty: szybko czy dopiero na przyszłorocznym zjeździe partii, na którym Xi ma ogłosić gotowość rządzenia czwartą kadencję.

© HERRERA CARCEDO/ANADOLU/GETTY IMAGES, KEVIN FRAYER/GETTY IMAGES, BURAK KARA/GETTY IMAGES, RICHARD POHLE/NL/FORUM

eprasa.pl 99f292badc

Iran na pożarcie?

Czy dojdzie do kolejnego amerykańskiego ataku na Iran? Gdy zamykaliśmy ten numer POLITYKI, „strzelby" były naładowane i wymierzone. Ale jednocześnie pojawiła się szansa na negocjacje. Amerykanie od ponad tygodnia gromadzą siły wokół Iranu. Już wcześnie prezydent Donald Trump ostrzegał reżim ajatollahów, że jeśli nie przestanie zabijać swoich obywateli, którzy masowo protestowali przeciw pogarszającej się sytuacji ekonomicznej, Ameryka uderzy. W starciach z pierwszej połowy stycznia mogło zginąć nawet 20 tys. demonstrantów, ale Trump nie nakazał ataku. Jeszcze.

Na miejscu jest już „wielka armada", jak mówi prezydent Stanów Zjednoczonych, m.in. lotniskowiec USS „Abraham Lincoln" z kilkudziesięcioma samolotami F-35 na pokładzie. W regionie towarzyszy mu osiem amerykańskich niszczycieli, Amerykanie przerzucają kolejne samoloty do baz w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, Katarze i Jordanii. Ściągają też systemy obrony przeciwrakietowej, spodziewając się odwetu zaatakowanego Iranu, który wciąż posiada znaczący arsenał pocisków balistycznych. W obawie przed nimi ZEA i Arabia Saudyjska zakazały Amerykanom używania ich baz w przypadku ataku.

W niedzielę Amerykanów zaatakował (słownie) najwyższy przywódca Iranu Ali Chamenei, który na co dzień chowa się w bunkrze. Powiedział, że „Ameryka chce pożreć Iran", ale ten nie da się tak łatwo przełknąć – zagroził, że w wypadku ataku „Iran wywoła regionalną wojnę". Ponoć w innym tonie rozmawiają jednak irańscy dyplomaci. W ich kontaktach z Amerykanami pośredniczą Turcy, Katarczycy i Emiratczycy. Jednak stanowiska wyjściowe obu stron są bardzo rozbieżne.



Amerykanie domagają się od Irańczyków trzech ustępstw: zupełnej rezygnacji z programu jądrowego, wyraźnego ograniczenia arsenału balistycznego i zakończenia wspierania sojuszniczych organizacji na Bliskim Wschodzie, przede wszystkim jemeńskich Huti i libańskiego Hezbollahu. Na razie Irańczycy mówią trzy razy „nie", ale rozmowy trwają. Szef tureckiego MSZ zapowiada, że w tym tygodniu w Ankarze może dojść do bezpośredniego spotkania wysłannika Trumpa, Steve'a Witkoffa, z „jakimś ważnym Irańczykiem".

Reżim ajatollahów jest pod ścianą. Poważnie osłabiony wewnętrznie po ostatnich protestach, izolowany międzynarodowo, może nie przetrwać w obecnej formie kolejnego amerykańskiego ataku. Z drugiej strony uczynił z programu jądrowego i balistycznego ostatnie symbole swojej potęgi – rezygnacja z nich byłaby prestiżowo samobójcza. Tym bardziej że amerykańska chęć do rozmowy może być zasłoną dla zbliżającego się ataku – tak było w czerwcu, gdy Amerykanie uderzyli mimo zaplanowanego spotkania z Irańczykami.

Habemus mamam



„Mamy mamę"– zażartowała anglikańska biskup podczas ceremonii w londyńskiej katedrze św. Pawła. Historycznej, bo choć w Kościele Anglii kobiety są duchownymi od lat 90., a biskupami od 2015 r., to po raz pierwszy w blisko 500-letniej historii tego Kościoła wybrano kobietę na urząd arcybiskupa Canterbury. Pod koniec stycznia wybór formalnie zatwierdzono właśnie w londyńskiej katedrze. Tym samym przywódcą Kościoła Anglii i honorowym zwierzchnikiem całej światowej wspólnoty anglikańskiej została **Sarah Mullally** (ur. 1962 r.), wcześniej biskup (biskupka) Londynu. Może nie grzeszy charyzmą, ale ma za sobą długą karierę, najpierw w publicznej służbie zdrowia, a później w Kościele. Za służbę pielęgniarską (m.in. przy chorych na raka i umierających) dostała tytuł szlachecki od królowej Elżbiety II. Jako biskup anglikański weszła z urzędu do Izby Lordów; zajmuje się w niej publiczną służbą zdrowia.

Mężatka, matka dwojga dorosłych już dzieci, do chrześcijaństwa zbliżyła się jako nastolatka, a o wstąpieniu do kleru anglikańskiego zaczęła myśleć u szczytu kariery pielęgniarskiej. Podkreśla, że dużo zawdzięcza wsparciu ze strony kobiet. Jednak wzbudza kontrowersje. Ceremonię zatwierdzenia jej wyboru zakłócił ksiądz anglikański, przeciwnik ordynacji kobiet. Progresywne zmiany w Kościele Anglii napotykają szczególny opór wśród anglikańskich tradycjonalistów, zwłaszcza w Afryce. Niechętni obecności kobiet w kościelnych strukturach podkreślają, iż jeszcze bardziej przeszkadza im, że Mullally uważana jest za orędowniczkę praw społeczności LGBT w Kościele. W takim negatywnym tonie zareagowały na wybór Mullally niektóre portale katolickie w Polsce. Jeden z nich opatrzył przyznany jej tytuł arcybiskupa cudzysłowem. A habemus mamam to oczywiście przeróbka habemus papam – zaznaczenie różnicy między anglikanizmem a Kościołem rzymskim, z którym w XVI w. zerwał król Henryk VIII, aby móc wziąć sobie nową żonę.

Anglikanizm zalicza się do konfesji protestanckich wyrosłych z reformacji. Jego głową jest brytyjski monarcha, dziś król Karol III, ale na co dzień zarządza nim i wytycza cele duchowe demokratycznie wybierana administracja kościelna. Nową arcybiskupkę Canterbury czeka ciężka praca. Jej poprzednik Justin Welby podał się do dymisji po publikacji raportu o nadużyciach seksualnych w Kościele Anglii. Zarzut niszczenia dokumentacji dotyczącej przestępstw pedofilskich w anglikańskiej diecezji londyńskiej wysunięto, gdy jej biskupem była Sarah Mullally.

eprasa.pl 99f292badc



Gospodarz i goście kongresu. Grzegorz Braun, Janusz Korwin-Mikke i ich góralscy sympatycy.

Osobliwości w koro

Grzegorz Braun zwołał swoich ludzi na zjazd, aby się policzyć i pochwalić. Jak wypadła ta impreza za biletami wstępu i czy wiadomo po niej coś więcej o Konfederacji Korony Polskiej?

Mróz siarczysty, ale nie ma tego złego. Zresztą nie istnieją przypadki, są tylko znaki. Widać Opatrzność postanowiła zakpić z „bredni o globalnym ociepleniu" albo przynajmniej dać powód, żeby było z czego ponabijać się przy wypalonym na szybko papierosie. Nie ma w końcu niczego bardziej pociesznego od „religii klimatycznej", która ma się tak do prawdziwej, jak nie przymierzając Kaczyński do prawicy. Oczywiście było na otwarcie kongresu tradycyjne „szczęść Boże", to się rozumie. I jeszcze Anioł Pański, a do tego wspólnie odśpiewane „Bóg się rodzi, moc truchleje". (Do święta Matki Boskiej Gromnicznej jeszcze dwa dni, a zatem wolno było kolędować). To się zresztą trochę rymuje z polityką, bo lewactwo patrzy dzisiaj na Grzegorza Brauna i tak samo truchleje.

eprasa.pl 99f292badc



© PAP/PRZEMYSŁAW PIĄTKOWSKI

nach

RAFAŁ KALUKIN

KINGS, czyli Kongres Inicjatyw Narodowych, Gospodarczych i Samorządowych. Jednym słowem – Korona, której działacze i sympatycy zjechali w sobotę do dawnego kompleksu pałacowego w Łochowie na Mazowszu. W licznym gronie, bo dyskusjom w równoległych panelach przysłuchiwało się łącznie ponad 700 osób.

Nie obyło się przy tym bez kontrowersji, gdyż właściciel obiektu najwyraźniej nie od razu zorientował się, komu wynajął przestrzeń. A żev nie sympatyzował z prawicowymi radykałami, w przededniu imprezy zapowiedział przekazanie zysku na wsparcie Ukrainy. I tak braunowcy zostali wrobieni w sponsorowanie „banderowskiego reżimu", chociaż w sumie cieszyli się, że umowa nie została w ostatniej chwili wypowiedziana.

Inna sprawa, że to nie partia płaciła ze swoich skromnych środków (wszak nie przysługuje jej budżetowa subwencja), lecz uczestnicy kongresu. Żeby dostać się na imprezę, trzeba było przekazać darowiznę na Konfederację Korony, co w praktyce oznaczało wykupienie wejściówki. Studenckiej za 150 zł i normalnej za dwa razy tyle, ale była też opcja specjalna za 5 tys. zł, która uprawniała do kolacji z Braunem i jego poselską świtą.

Gdyby frekwencja nie wypaliła, byłoby to kosztowne wizerunkowo. Ale pula rozeszła się na pniu, tak więc sukces frekwencyjny poszedł w parze z finansowym. A ile przy okazji udało się dodatkowo zarobić na sprzedaży koszulek i innych gadżetów z ikoniczną gaśnicą (najlepiej z hasłem: „Tylko ducha nie gaście"), to już tajemnica rzutkiego lidera i jego zauszników.

Nie brakowało w trakcie kongresu przejawów mocarstwowej tromtadracji, chociaż można dyskutować, czy ilość faktycznie przeszła w jakość. Organizatorzy wyraźnie chcieli pokazać, że Korona to nie tylko happeningi Brauna, ale poważny ruch polityczny na miarę swojego 10-procentowego poparcia. Profesjonalnie zorganizowany, z bogatym zapleczem eksperckim, sprawnymi strukturami i świadomym elektoratem. Czyli taki, który nie tylko „śmieszy, tumani, przestrasza", lecz realnie aspiruje do przejęcia władzy. Ale pretensje okazały się trochę zbyt wygórowane. Obserwując z bliska zgromadzone w jednym całe uniwersum Korony, trudno było oprzeć się wrażeniu, że to wciąż głównie gabinet osobliwości, który trudno będzie przekształcić w sprawną machinę wyborczą.

Klientela w zdecydowanej większości męska i raczej starszawa. Nosząca się z charakterystyczną dla tych kręgów elegancją, nierzadko z domieszką ekstrawagancji. Do tego rzucająca się w oczy frakcja podhalańska pod przywództwem Sebastiana Pitonia, kiedyś zasłużonego w bojach z „sanitaryzmem", a ostatnio walczącego o „pokój". Wszyscy w przepisowych portkach, kierpcach, baranicach i oczywiście kapeluszach z muszelkami.

Sporo też kręciło się mundurów rozmaitych formacji paramilitarnych: związków strzeleckich, grup rekonstrukcyjnych, wreszcie robiących za ochronę braunowskich bojówek spod szyldu „Bronimy Polskiej Granicy". I jeszcze zadający szyku w kuluarach nierozłączni „Jaszczur" z „Ludwiczkiem", czyli osławieni „kamraci" z internetowego patostreamu, do których ustawiały się kolejki chętnych pogadać bądź nagrać rolkę.

W powietrzu unosił się entuzjazm, jak zawsze w przypadku nabierających krzepy ruchów politycznych. Chociaż bywalcy dawniejszych spędów radykalnej prawicy mogli przeżyć w Łochowie *déjà vu*. Odświeżyć w pamięci widziane już kiedyś twarze, tylko bardziej pomarszczone i posiwiałe. Zachłysnąć się ponownie ową nieco odpustową atmosferą, charakterystyczną dla pospolitych ruszeń, które usiłują integrować sekciarskie grupki. Bo kiedy ludzie słabo się znają i brakuje organizacyjnej rutyny, każdy stara się przede wszystkim wyróżnić w tłumie. Najczęściej eksponując własny tradycjonalizm ponad wszelką miarę, który przybiera postać ekscentryczną, by nie powiedzieć – dziwaczną. I tak samo w Łochowie ujawnił się znany już z przeszłości natrętny miszmasz ludowości, sarmackości oraz militaryzmu. Jeden założył czapkę z piórami, drugi przebrał się za pirata, a trzeci paradował z naszywką „Każdy Polak antysemitą". I tak to mniej więcej wyglądało. ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶Zupełnie podobnie jak kiedyś imprezy Radia Maryja bądź jego rozmaitych przybudówek w rodzaju sławetnego pod koniec lat 90. „społecznego ruchu ratowania Stoczni Gdańskiej". Jak również Ligi Polskich Rodzin w czasach, kiedy był to jeszcze chaotyczny zlepek prawicowych kanap pod patronatem Rydzyka (jeszcze niewtłoczony w dyscyplinę wszechpolaków Romana Giertycha). Podobna ludyczno-patriotyczna obrzędowość manifestowała się potem podczas pierwszych smoleńskich rocznic (ale do czasu skrajnego upartyjnienia przez PiS, a na koniec upaństwowienia). I teraz wraca ponownie pod szyldem Korony.

A najlepiej chyba podkreślały ową ciągłość starego z nowym stoiska z książkami. Wręcz uginające się pod ciężarem oferty, której w zwyczajnych księgarniach nie sposób uświadczyć. Aż dziw zresztą bierze, jak obfity pozostaje pomimo technologicznej rewolucji ów specyficzny nurt podziemnego „patriotyzmu", który przeżywał swój boom w latach 90. Same książki podpisane nazwiskiem Brauna trudno zliczyć, a to wciąż niewiele w porównaniu z dorobkiem Stanisława Michalkiewicza. Czołowy judeosceptyk polskiej prawicy osobiście zresztą sprzedawał swoje pozycje. Ogólnie kwestia żydowska niezmiennie w tych sferach dominuje, rozpisana na wiele nurtów. Ale widać po tylu dekadach konsekwentnego „odkrywania prawdy" o komorach gazowych, judaizmie, żydokomunie i wielkiej finansjerze, że wciąż jest co ujawniać. Następni w kolejce oczywiście Ukraińcy, z akcentem na Wołyń. Bo już Rosja jakby nie istniała, chyba że sowiecka.

Z tematów aktualnych nadal czyta się „plandemia" i „oszustwo klimatyczne". Na półce z klasyką stary dobry Dmowski, najlepiej w pakiecie z którymś z licznych paszkwili na Piłsudskiego. Do tego solidna piguła ludowego katolicyzmu (liczba publikacji o objawieniach w Gietrzwałdzie może wywołać zawrót głowy!), nadal budzą zainteresowanie refleksje ojca Kolbego o Żydach i masonach, tu i ówdzie przemknie jakiś zapomniany upiór z przeszłości („Święte psy" Stana Tymińskiego, Ryszard Gontarz o Marcu '68). Estetów powinna niewątpliwie zachęcić edytorsko imponująca edycja poświęcona generałowi Franco, a bardziej wtajemniczonych – ultrakatolickie przemyślenia walońskiego nazisty Leona Degrelle'a.

Główne tematy ruchu Brauna zarysowane zostały w szyldzie imprezy oraz inauguracyjnych wystąpieniach. Na początek więc tradycja, o której opowiadał ze swadą sarmaty krakowski weteran ruchów skrajnie zachowawczych Gniewomir Kuczyński-Rokosz. Dalej wolność ekonomiczna, którą reprezentował z kolei redaktor naczelny dawniej korwinowskiego, a dzisiaj bardziej już braunowskiego „Najwyższego Czasu!" Tomasz Sommer. Ta wolność, zdaniem prelegenta, pojawiła się na moment pod koniec lat 80., ale przyszedł niestety Balcerowicz i zaczął się trwający do dzisiaj „okres podduszania". I trzeba wreszcie z tym skończyć, bez uciekania w półśrodki, tylko po prostu „zlikwidować obóz koncentracyjny" oraz ukarać „esesmanów, kapo i blokowych". Tak jak na to zasłużyli, czyli „najlepiej śmiercią".

Potem szczypta geopolityki, bo potrzebny jest „głęboki reset" strategii polskiego państwa, o czym oględnie i bez ognia opowiadał Jacek Janowski ze skoligaconego z Koroną ruchu Wigry (czyli zmiana „wielka i gruntowna"). Ogólną perspektywę polityczną zarysował z kolei sam Grzegorz Braun: „Oto trzecie czy piąte pokolenie kominternowskiej żydokomuny walczy z trzecim czy piątym pokoleniem polskich patriotów".

Paneli dyskusyjnych łącznie było 12, ale ponieważ odbywały się w trzech równoległych sesjach, należało wybierać. Miały jednak tę wspólną cechę, że toczyły się na jedno kopyto i najczęściej wszyscy się ze sobą zgadzali, ograniczając polemiki do mniej istotnych didaskaliów. A publiczność najżywiej reagowała w tych momentach, kiedy paneliści zawieszali akademicko-konferencyjną ogładę, żeby palnąć coś na ostro w braunowskim stylu.

I tak o wolności słowa pod okiem prawicowego celebryty Jana Pospieszalskiego dyskutowało grono całkiem ekumeniczne, chociaż oczywiście mieszczące się w paradygmacie ogólnej niepoprawności. Znalazł się bowiem za stołem chociażby naczelny „Do Rzeczy" Paweł Lisicki, którego pismo stara się zachowywać mniej więcej równy dystans do całego prawicowego trójkąta. Z drugiej strony zajadle antypisowski Marcin Rola z internetowej telewizji wRealu24, którego komisja ds. badania wpływów rosyjskich nie bez przyczyn umieściła na liście osób szerzących putinowską propagandę, co zresztą uważał za coś w rodzaju orderu. A na dokładkę znana ostatnio głównie z kanału na YouTube Monika Jaruzelska. Na tyle jednak wyważona, że trudno było rozstrzygnąć, czy znalazła się tutaj z sympatii dla Brauna, który niedawno publicznie zaprosił ją na listy wyborcze, czy też – jak tłumaczyła przed paroma laty POLITYCE – nie ma utrwalonych poglądów, ale rozmawiać zamierza z każdym.

Dyskusja toczyła się jednak dosyć przewidywalnie, czyli z perspektywy oblężonej twierdzy. Festiwal kombatanctwa: kogo bardziej kneblowano, nie pozwalano głosić prawdy o „plandemii", nazywano „ruską onucą". Co najwyżej inaczej rozstawiano akcenty, bo jednych drażnili „upierdliwi" aktywiści od fact-checkingu, innych – medialny mainstream, kolejni zaś sięgali wzrokiem wyżej, żeby oskarżyć o cenzurę całą zwyrodniałą kulturę Zachodu, którą zepsuło oświecenie.

Publiczności chyba szczególnie przypadł do gustu niegryzący się w język Rola, któremu najbardziej zalazł za skórę rząd Mateusza Morawieckiego („To skrajny lewak i globalista, który – mam nadzieję – będzie siedział w więzieniu"), a w drugiej kolejności YouTube z jego wykluczającymi „prawdę" algorytmami i arbitralnością w usuwaniu niepoprawnych kont. O czym przekonał się z autopsji. A ostro trzeba wcisnąć gaz do dechy ekstremizmu, żeby wylecieć z amerykańskiej platformy, która od lat jest przecież najważniejszym medium niepoprawnej politycznie prawicy.

Zadowolonym z siebie dyskutantom trochę jednak zrzedły miny, kiedy ktoś z publiczności oświadczył, że traci czas na gadaninę bez konkluzji i propozycji rozwiązań. Najwyraźniej hasło obrony „zdrowego rozsądku" nie zadowoliło bowiem malkontenta. Wywołany do tablicy Lisicki sprecyzował, że należałoby znieść odpowiedzialność karną za zniesławienie (czyli słynny art. 212) oraz obniżyć próg definiowania treści jako zniesławiających. Bo przecież język nienawiści to nic innego jak lewacki wymysł i ukryta forma cenzury.

Całkiem bez ognia toczył się panel w popołudniowej sesji o energetyce. Z alternatywą zawartą w tytule: „Węgiel, gaz czy atom?". Bo przecież nie odnawialne źródła energii, co rozumie się samo przez się, chociaż z istotnym wyjątkiem geotermii, której namiętnie bronił jeden z ekspertów. Co do zasadniczej kwestii panowała jednak absolutna zgoda: najpierw węgiel. Oczywiście ten nasz, polski, bo to kwestia suwerenności energetycznej (o rosnących kosztach jego eksploatacji – cicho sza). I dopiero w drugiej

eprasa.pl 99f292badc

kolejności atom, tyle że to inwestycje czasochłonne i drogie, więc nie przesadzajmy z entuzjazmem.

Na szczęście w kolejnej sesji gusta amatorów pikantnych potraw zostały wreszcie zaspokojone. Głównie za sprawą Leszka Sykulskiego (geopolityka i lidera „antywojennej" partyjki Bezpieczna Polska) oraz Adama Wielomskiego (teoretyka reakcyjnego konserwatyzmu i monarchisty), którzy w szerszym gronie i przy pełnej sali dyskutowali o stosunkach międzynarodowych. I tutaj chyba najpełniej zamanifestował się radykalizm braunowskiej prawicy oraz jej odmienność od pokrewnych nurtów. Wraz ze wszystkimi tego politycznymi ograniczeniami.

Sykulski od początku do końca z charakterystyczną dla siebie rewerencją traktował państwo Putina, podkreślając to choćby używanym konsekwentnie nazewnictwem: w jego mniemaniu „Federacja Rosyjska" najwyraźniej brzmi dostojniej od banalnej i historycznie nie wszystkim dobrze się kojarzącej „Rosji". Najważniejsza dewiza to „zero wrogów wśród sąsiadów", przynajmniej tych ze Wschodu. Oczywiście nie licząc Kijowa, którego tajne służby aktywnie dzisiaj pracują nad stworzeniem partii reprezentującej ukraińską mniejszość w Polsce, używając do tego licznych haków na elity PO-PiS. Co ma być wstępem do realizacji projektu wspólnego państwa federacyjnego, ergo politycznego podporządkowania Rzeczpospolitej reżimowi „banderystów" (z pomocą Niemców).

A zatem trzeba się bronić. W jaki sposób? Polexit jak najprędzej, tutaj nie ma żadnych dyskusji. Z kolei co do NATO... to się jeszcze zobaczy. Najpewniej i tak się rozleci za sprawą polityki Trumpa, co Sykulskiego specjalnie nie martwiło, a nawet było źródłem pewnej satysfakcji. Nie powinniśmy jednak biernie czekać na ostateczny rozpad stosunków transatlantyckich, tylko już teraz aplikować do grupy BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny, RPA) oraz brać przykład z Orbána, który ani myśli dopłacać do cudzej wojny (wiadomo której), a wręcz czerpie z niej zyski. To dużo lepsze niż utrzymywanie półmilionowej armii.

Podobnie uważał Wielomski, który na wstępie nie bez dumy przypomniał, że został kiedyś nazwany przez Brauna polskim Duginem. Jego również ucieszyło, że Trump „zgasił jak peta" wszystkich tych, którzy wierzyli w porządek międzynarodowy oparty na prawach człowieka. Powinniśmy więc pomyśleć o resecie z Rosją oraz otworzyć się na chińskie inwestycje w ramach Nowego Jedwabnego Szlaku, bo to najlepsza gwarancja „że nie będą tutaj latały Iskandery". „A czy to nie jest wybór między dżumą i cholerą?" – zapytał moderator, na co Wielomski odparł ze spokojem: „Dzisiaj jesteśmy w dziurze strategicznej".

Ogólnie rzecz biorąc, Trump nie budzi w tych kręgach wielkiej estymy, chociaż trudno mówić o bezpośredniej niechęci. Głównie naraził się tym, że wspiera – jak to mówił Wielomski – „państwo na I". Uzależnienie PiS od franczyzy MAGA nieraz bywało przedmiotem kpin. Na pytanie, kto z publiczności byłby gotów poprzeć przyznanie mu Pokojowej Nagrody Nobla, na nabitej do pełna sali podniosła się raptem jedna ręka. „Jesteście państwo okrutni" – ironizował zadowolony z wyniku sondy Wielomski. Ktoś na to całkiem już swojsko palnął: „Zostawmy tego Nobla Owsiakowi!".

Tylko ile w tym wszystkim groźnego ekstremizmu, ile zaś obliczonego na poklask ekscentryzmu i chęci odróżnienia się? Większość występujących w Łochowie osób niewątpliwie traktuje swoje poglądy poważnie, chociaż na razie nie jest przesądzone, czy pod politycznym parasolem Korony one się układają w programowy fundament pod równie poważny polityczny projekt.

Ten deficyt można było symbolicznie dostrzec na plakatach reklamujących tegoroczną galę Nagród Kisiela, którymi od lat zarządza środowisko Brauna i Korwin-Mikkego. W gronie nominowanych znaleźli się m.in. głośna ostatnio „niepokorna" technolożka żywienia Grażyna Cichosz, góral ekstremista Sebastian Pitoń, dumnie wznoszący swoją „onucowatość" Marcin Rola, a do tego jeszcze Monika Jaruzelska i nawet Leszek Miller, który najpewniej zasłużył się antyukraińską obsesją. Ale czy istnieje dla tych osób jakiś wspólny wzór i jak on się ma do poglądów nieżyjącego od 35 lat Stefana Kisielewskiego, który zapewne w najgorszych snach nie mógł przewidzieć, że jego dziedzictwo przybierze tak brunatne barwy?

Niewątpliwie jest to jednak wzór płynny, nieustannie modyfikowany przez okoliczności. Z wciąż nieodgadnioną sylwetką samego Brauna. Założyciel Korony z pewnością w pełni świadomie kształtuje swój wizerunek, stopniowo przesuwając granice tego, co wolno w sferze publicznej. Korzysta zresztą z tego, że są one coraz bardziej rozmiękczone i elastyczne, gdyż internetowa publiczność karmi się ekscesem i docenia zadawanie bólu szeroko pojętym elitom. I taka gra w wyrazistość niewątpliwie się ostatnio sprawdza, chociaż osadzona jest na kruchych podstawach instytucjonalnych oraz programowych. Krótko mówiąc, Braun nadal bardziej jest hologramem ogólnie wywrotowej postawy niż pełnokrwistym politycznym liderem.

I można oczywiście twierdzić – jak robił to choćby Sykulski – że historii nie kształtowała nigdy większość, lecz „zorganizowana i świadoma swoich celów mniejszość". Nie wiemy, gdzie teraz znajdują się limity społecznej akceptacji, niemniej casus Konfederacji, która przecież tak samo zaczynała jako konglomerat wszelkich ekstremizmów, powinien być jakąś wskazówką. Jej bezładne miotanie się pomiędzy falami nagłego wznoszenia i równie głębokiego opadania ostatecznie skłoniło liderów do uspokojenia rozwichrzonego projektu i oheblowania co bardziej kanciastych elementów. Czego skutkiem było również relegowanie Brauna.

Jego dzisiejsze notowania powinny oczywiście budzić niepokój, chociaż warto zachować tu mimo wszystko umiar. Zawsze w końcu istnieli wyborcy, którzy w swoich decyzjach kierowali się głównie przekorą. Co już ćwierć wieku temu wysoko wyniosło Andrzeja Leppera, przy którego ekscesach tak samo „moc truchlała". Ale na dłuższą metę był to jednak kruchy fundament, gdyż afekty mają to do siebie, że szybko się wyczerpują. I tak jak Samoobrona w poważnej grze politycznej względnie łatwo rozpadła się po ciosach zadanych jej przez Jarosława Kaczyńskiego, podobny los może spotkać wąsatą i kontuszową zbieraninę Brauna, gdyby przyszło jej za dwa lata odgrywać rolę politycznego języczka u wagi.

Ale na razie do tego daleko. Tymczasem w Łochowie zapadał już wieczór i towarzystwo kongresowe zaczynało rozchodzić się do pozostawionych na mrozie aut. „Globalne ocieplenie" całkiem już zelżało, zrobiło się kilkanaście stopni na minusie. Komuś silnik nie odpalił, więc ruszył w poszukiwania kabli rozruchowych. No niestety, akumulator padł i znów trzeba ładować. A już tak ładnie ostatnio kręcił...

RAFAŁ KALUKIN

eprasa.pl 99f292badc

Lekarze już nie wyjeżdżają na Zachód do pracy, w kraju mogą zarobić więcej, nawet ponad 100 tys. zł miesięcznie. W wielu szpitalach płace personelu pochłaniają też 70–90 proc. budżetu na leczenie. Czy system byłby zdrowszy, gdyby lekarze pracowali tylko w jednym szpitalu? Albo – jak proponuje PiS – gdyby zabronić lekarzom dorabiania w prywatnej służbie zdrowia?

Szybujące zarobki



ILUSTRACJA **MARTA RÓŻA ŻAK**

eprasa.pl 99f292badc

JOANNA SOLSKA

Ostatnio kij w mrowisko włożyła Federacja Przedsiębiorców Polskich, publikując raport o zarobkach lekarzy za granicą. Nasi zarabiają już niegorzej niż w Wielkiej Brytanii, Danii czy Norwegii, a coraz częściej nawet lepiej, zważywszy, że koszty życia w Polsce ciągle są znacznie niższe niż na Zachodzie. W dodatku tam publiczny płatnik wie, ile komu i za co płaci, stawki są ustalone odgórnie. My mamy wolny, czyli dziki, rynek.

Otóż średnie zarobki lekarzy specjalistów w Wielkiej Brytanii wynoszą rocznie równowartość 296 tys. zł, czyli 24,5 tys. zł miesięcznie. Ale nie mogą być wyższe niż równowartość 477 tys. zł rocznie. Najwyższe stawki osiągają wybitni specjaliści, ich przeliczone miesięczne średnie zarobki wynoszą 39,7 tys. zł. Kominy nie mogą być zbyt wysokie, górny limit rocznych zarobków nie może przekroczyć 535,6 tys. zł rocznie, czyli 44,6 tys. zł miesięcznie. „Kominiarze" – a więc najbardziej poszukiwani specjaliści – mają limit 713 tys. zł rocznie. Nasi – i to bardzo często – za takie pieniądze pracować już nie chcą.

Jerzy Ostrouch, prezes Wielospecjalistycznego Szpitala Wojewódzkiego w Gorzowie Wielkopolskim, przez ponad rok nie mógł znaleźć ordynatora neurochirurgii. Ci, których namawiał, stawiali warunek, że w jednym miejscu musieliby zarobić teraz tyle co wtedy w kilku. W końcu znalazł chętnego – za ten sukces płaci 180 tys. miesięcznie. W ramach kontraktu. Ostrouch rzucił pomysł, aby w Polsce wprowadzić limit zarobków dla lekarzy na poziomie 48 tys. zł miesięcznie, w zamian za pracę w jednym tylko, publicznym szpitalu. W tym szpitalu, którym sam zarządza, mediana zarobków już teraz wynosi 46 tys. zł, ale lekarze już nie dorabiają w innych miejscach. Jolancie Sobierańskiej-Grendzie, obecnej ministrze zdrowia, najpierw pomysł się spodobał, ale już się z niego wycofała, bo żeby pacjenci odczuli poprawę, sam limit nie wystarczy, trzeba zmienić system.

W przeciwieństwie do publicznych płatników z Wielkiej Brytanii czy Norwegii nasz NFZ nie wie, ile naprawdę zarabiają lekarze, którym płaci. Informacja, że powyżej 100 tys. zł miesięcznie osiąga w Polsce najwyżej 500, jest nieprawdziwa. Dotyczy tylko lekarzy, którzy tak wysokie sumy inkasują od jednego szpitala. Liczbę tych, którzy pracują dla kilku, Ministerstwo Zdrowia dopiero chciałoby poznać. Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, która szacuje, że „kominiarzy", zarabiających miesięcznie 100–300 tys. zł, nie jest więcej niż 450–500, a w granicach 80–100 tys. zł miesięcznie mieści się kolejne 670 osób, też tego nie wie. Podawane wielkości są niedoszacowane, w samych szpitalach klinicznych jest ich więcej – twierdzą moi rozmówcy.

Do niedawna przekonywano, że bez tych kominów płacowych polscy pacjenci stracą możliwość odzyskania zdrowia dzięki wysoko specjalistycznym procedurom, wykonywanym przez światowej klasy lekarzy. Takich, którzy na Zachodzie zarabiają kokosy. Więc i u nas trzeba dobrze zapłacić, np. 10 proc. ceny procedury, którą otrzymuje szpital. Jeśli nie zarobią w Polsce, zarobią w innym kraju – tłumaczono. Jak wynika z raportu FPP, to już nieprawda. Tymczasem opłata dla operatora za trudną operację w publicznym szpitalu sięga już 50 proc. wartości jej wyceny. To są czasem dziesiątki tysięcy złotych.

Profesor zrobi swoje i wyjeżdża

Internautów bulwersuje przykład szpitala w Kaliszu, gdzie czterej specjaliści zarobili 10 mln zł. W Koninie w grudniu szpital odmówił leczenia chorym onkologicznym z braku pieniędzy. Opłaciło mu się jednak zapłacić 200 tys. zł za wykonanie operacji lekarzowi, dzięki któremu placówka dostała z NFZ 2 mln zł.

– *Trudne, znakomicie wycenione zabiegi nie są skoncentrowane w specjalistycznych szpitalach, ale coraz częściej podejmują się ich placówki, które nie mają kadry* – słyszę w NFZ. – *Pokazują jednak papiery, z których wynika, że operatorem będzie wybitny specjalista. Po prostu zaoferowali mu wysoki udział w wycenie, która znacznie poprawi finanse placówki. Profesor zrobi swoje i wyjeżdża, pacjent zostaje, operator już go nie ogląda*. Ciekawostką bywa fakt, że jeśli w powiecie, gdzie znajduje się szpital, brakuje pacjentów kwalifikujących się do specjalistycznego zabiegu, zarówno profesor, jak i pacjent przyjeżdżają z miasta, w którym znajduje się klinika. Mogłaby tę operację wykonać, zapewniając pacjentowi większe bezpieczeństwo, ale tam lekarz otrzymałby mniejszą gratyfikację.

Od 2022 do 2026 r. w publicznym systemie ochrony zdrowia pula pieniędzy prawie się podwoiła, ale kolejki do leczenia są coraz dłuższe. Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyr. Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia w Uczelni Łazarskiego, przypomina, że kiedy minister Adam Niedzielski z PiS zniósł limity na wizyty u specjalistów, liczba porad zwiększyła się zaledwie o 10 proc. Pieniądze poszły w zarobki.

NFZ żywi spółdzielnie

Do finansowego tortu, czyli pieniędzy NFZ, z coraz większym apetytem dobierają się tzw. spółdzielnie. Można je porównać do agencji gwiazd filmowych, które zabiegają o korzystne kontrakty dla swoich podopiecznych. Udziałowcami spółdzielni są lekarze, spółdzielnie mają o wiele większą siłę przebicia niż pojedynczy medycy. Agencje medyków zgłaszają się do dyrektorów szpitali i proponują, że pomogą obsadzić „latającymi lekarzami" każde wakujące stanowisko, ale stawki są coraz wyższe. Gdyby górny limit zarobków medyków określono na 36,6 tys. zł miesięcznie (o takiej sumie dyskutowano jeszcze niedawno), przeciętna stawka za godzinę pracy lekarza wynosiłaby według rynkuzdrowia.pl 240 zł. Za mało.

Według portalu bankbiznes.pl pod koniec listopada 2025 r. średnia stawka godzinowa lekarzy na kontrakcie, a takich w publicznej ochronie zdrowia jest ponad 75 proc., wynosiła 250–300 zł. Więcej brali za dyżury, jeżdżąc od szpitala do szpitala. Za 24-godzinny dyżur weekendowy lekarz mógł zainkasować od 3,6 do 5,2 tys. zł. Jak na dobę, to nieźle. Za 12-godzinny dyżur nocny od 1,8 do 2,4 tys. zł. Godzina dyżuru na oddziale zabiegowym kosztowała szpital od 240 do 350 zł, na chirurgii lub ortopedii nawet do 380 zł za godzinę. Najmniej za dyżury dostają rezydenci, czyli lekarze przed specjalizacją – zaledwie od 80 do 110 zł za godzinę. Oni muszą pracować na etatach, od lipca 2025 r. za pensję w wysokości 11,6 tys. zł brutto w tzw. specjalizacjach deficytowych lub za 10 tys. w pozostałych. Zaciskają zęby, dopóki nie zrobią specjalizacji.

Przeciętna stawka godzinowa nie dotyczy specjalizacji najbardziej wziętych. Ciekawe są tu SOR-y (Szpitalne Oddziały Ratunkowe). W zwykłe dni szpitale warszawskie starają się za godzinę nie ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ płacić więcej niż 200–240 zł, w dni świąteczne 350 zł. W Krakowie i Łodzi stawki są niższe, od 180 do 210 zł za godzinę. W dużych miastach lekarzom dyżurować się jednak nie opłaci. Wielu weekendy spędza na dyżurach w okolicznych szpitalach powiatowych, o czym zwykle ich „partnerzy biznesowi", czyli szpitale, dla których wykonują na kontrakcie świadczenia medyczne, nie wiedzą. Stawki negocjują spółdzielnie, to tajemnica handlowa.

Skutek? Szpital Wojewódzki w Bielsku-Białej od września nie może znaleźć specjalisty medycyny ratunkowej do Szpitalnego Oddziału Ratunkowego, choć gotów jest mu zapłacić nawet 108 tys. zł miesięcznie, zawierając taki rodzaj umowy, jakiego kandydat zażąda. Może być etat, zlecenie, kontrakt, a także możliwość skorzystania z mieszkania służbowego. Jakub Kosikowski, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej, na portalu rynekzdrowia.pl wcale się temu nie dziwi i uważa, że nawet za 150 tys. szpital może nie znaleźć kandydata. „To nie kwestia pieniędzy, a liczby pacjentów i ryzyka błędu...". W szpitalu w Gorzowie szef SOR dostaje 150 tys. zł. To cena za jego pracę w jednym miejscu.

Niechęć do pracy na SOR wzrasta od czasu, gdy ministrem sprawiedliwości był „cięty na lekarzy" Zbigniew Ziobro. Po zmianie prawa lekarz w Polsce za błąd medyczny popełniony nieumyślnie może nawet trafić do więzienia, w innych krajach Unii analizuje się jego przyczynę, żeby uniknąć podobnych w przyszłości, a za ewentualne szkody pacjentowi płaci obowiązkowe ubezpieczenie. U nas na oddziałach, w których o błąd najłatwiej, lekarze boją się pracować.

Łukasz Jankowski, obecnie prezes NIL, jeszcze jako rezydent walczył z kolegami o zmianę złego prawa. Białe miasteczka koczowały pod kancelarią premiera, żeby przede wszystkim wymusić na politykach „prawdziwą" reformę publicznego lecznictwa. Ówczesny minister zdrowia Łukasz Szumowski zobowiązał się w imieniu rządu PiS do wzrostu nakładów na zdrowie, ale zły system popsuto jeszcze bardziej. Ówcześni rezydenci są już specjalistami i beneficjentami zmian. Prezes NIL nie może dziś zaprzeczyć, że lekarze zarabiają znakomicie. Gorzko przyznaje jednak, że korzystają z patologicznego systemu, który stworzyli politycy. I nie widać szans, żeby go zmienili. Kiedy jednak Jolanta Sobierańska-Grenda, obecna ministra zdrowia, chciała zmniejszyć dziurę w NFZ, przesuwając kolejne podwyżki płacy minimalnej medyków z lipca 2026 na styczeń 2027 r., środowisko zagroziło masowymi protestami. A kiedy rośnie płaca minimalna dla tych co na etacie, lekarze na kontraktach żądają więcej, kominy rosną.



Ile zarabia się w przychodniach

W POZ (podstawowa opieka zdrowotna) zarobki zależą od liczby pacjentów, którzy mają tam swojego lekarza pierwszego kontaktu, najniższe są więc w małych miejscowościach, odległych od dużych miast. Tam medycy zwykle wybierają umowę o pracę. Lekarz bez specjalizacji na etacie nie może zarobić mniej niż 9,7 tys. zł brutto, specjalista – co najmniej 11,8 tys. zł. Co drugi lekarz rodzinny zarabia więcej niż 11,8 tys. zł, ale nie więcej niż 20,8 tys. zł. Mediana zarobków lekarzy rodzinnych wynosi 16 tys. zł. Co czwarty wyciąga ponad tę sumę.

W przychodniach z dużą liczbą zapisanych pacjentów lekarze wolą kontrakty, czyli tzw. umowy B2B (biznes z biznesem). Wtedy ich zarobki są wyższe, ale nie mają płatnych urlopów, sami też odprowadzają składki na ZUS. Mediana lekarzy kontraktowych wynosi 17–25 tys. zł miesięcznie. Stawka godzinowa w POZ w przypadku kontraktów wynosi 120–180 zł, w dużych miastach sięga 220 zł.

Specjaliści w przychodniach publicznych, którzy pracują na etacie, w mniejszych miastach mają pensje 14–20 tys. zł tys. zł brutto. W dużych pensje podstawowe wynoszą 18–20 tys. zł. W najbardziej wziętych specjalizacjach wolą się jednak z pracodawcą rozliczać inaczej. Często jest to procent od sumy, którą za wizytę płaci pacjent, zwykle specjalista otrzymuje od 50 do 70 proc. ceny za wizytę. Tam, gdzie popyt jest duży, wizyty zwykle nie trwają dłużej niż 10–15 min. Taki sposób rozliczenia wybierają najbardziej wzięci lekarze, do których w największych miastach trudno się zapisać.

Wizyta u ginekologa w Białymstoku kosztuje ok. 300 zł, w Krakowie czy Gdańsku jest o 10 proc. droższa, w Warszawie można zapłacić nawet 500 zł. Jeśli lekarz wykona dodatkowo np. USG, trzeba zapłacić dodatkowo. Za kardiologa zapłacimy w Poznaniu czy Krakowie od 300 zł, w Warszawie 350–400 zł i więcej. Jeśli trzeba zrobić echo serca czy EKG, dodatkowe koszty rosną. Wizyta u okulisty w Warszawie to już 400 zł, za dodatkowe badanie, np. pole widzenia, płaci się oddzielnie.

Długie kolejki do psychiatrów w stolicy powodują, że cena za wizytę sięga już 600 zł. W mniejszych ośrodkach jest dużo niższa: 200–400 zł. Wizyta pierwszorazowa jest zwykle droższa.

Część mniej popularnych specjalistów zawiera z pracodawcą kontrakt, w którym ustalona jest stawka godzinowa. Przeciętna wynosi 150–300 zł. Więcej otrzymują ci, którzy nie czekają na pacjenta. Najmniej – lekarze w małych ośrodkach, którzy zadowolić się muszą nawet stawką 100 zł za godzinę, nie ponoszą jednak kosztów utrzymania własnego gabinetu. Psychiatra dziecięcy oraz kardiolog dziecięcy to przeciętnie koszt 250–300 zł za godzinę.

Puste łóżka trzeba utrzymać

Szpital powiatowy w Makowie Mazowieckim, aby znaleźć trzech specjalistów na internę, oferował każdemu 90 tys. zł miesięcznie. Zrezygnowali, nim zaczęli, ofertę przelicytował dotychczasowy pracodawca, podnosząc im zarobki do 110 tys. zł miesięcznie. Oczywiście w ramach kontraktu. Małgorzata Gałązka-Sobotka twierdzi, że jest gorzej, niż nam się wydaje: – *Lekarze zatrudnieni na oddziałach szpitalnych często nie mieszkają w tym samym mieście, rzadko pracują więc przez cały tydzień. Przez kilka dni w tygodniu szpital płaci im za gotowość, to sposób funkcjonowania wielu lekarzy „latających". W szpitalu, w którym znów zmarła kobieta na skutek komplikacji po porodzie, nie było ginekologa, ale oddział miał kontrakt z NFZ.*

eprasa.pl 99f292badc

Gdyby górny limit zarobków dla lekarzy podniesiono nawet do 48 tys. miesięcznie, patologia nie byłaby mniejsza. Źródłem zła wbrew pozorom nie jest wcale pazerność „kominiarzy" i ich spółdzielni ani nawet to, że lekarzy jest za mało. Za dużo jest organów założycielskich szpitali i za dużo samych szpitali. Początkiem patologii była porażka Konstantego Radziwiłła, który usiłował zmniejszyć liczbę szpitali w sieci, ale mu się nie udało. Politycy PiS nie pozwolili. W grudniu ubiegłego roku Jarosław Kaczyński zapowiedział, że żaden szpital powiatowy nie może być zamknięty, bo to są często najwięksi lokalni pracodawcy. PiS-owi wręcz wydaje się, że do uzdrowienia systemu wystarczy nakaz pracy w jednym miejscu, jeśli w placówce publicznej, to już nie w prywatnej. Bo w prywatnych gabinetach i klinikach medycy naganiają pacjentów do publicznych szpitali. Nawet, jeśli tak bywa, to nie jest dziś główny problem, nie dlatego rosną płacowe kominy.

Z danych NFZ: w sieci jest 570 szpitali publicznych i ponad 400 ich właścicieli. Każdy starosta musi mieć szpital, powiatów jest ponad 320. Placówki należą do marszałków i wojewodów, organami założycielskimi są niektóre ministerstwa. Weźmy małe Kłodzko. Jest tam szpital powiatowy należący do starostwa, właścicielem kolejnego – w Polanicy-Zdroju – jest Ministerstwo Zdrowia. Trzeci, psychiatryczny, jest w Stroniu Śląskim oraz miejski w Bystrzycy Kłodzkiej. Cztery w małym powiecie. Podobnie jest w całej Polsce. Nie współpracują ze sobą, ale konkurują, bo za każdym stoi inny polityk. Przed wyborami postara się o tomograf czy nawet robota, nie patrząc, że w sąsiedniej placówce nie są wykorzystywane w pełni te, które już są. Konkurują też o lekarzy.

Według standardów europejskich jeden szpital wystarcza na 150–200 tys. mieszkańców, u nas przypada 60 tys. osób na szpital, puste łóżka trzeba jednak utrzymać, podobnie jak całą infrastrukturę. Więc szpitale utrzymują niepotrzebne oddziały, bo to im gwarantuje wyższy kontrakt. Te oddziały, żeby dostać kontrakt, muszą mieć lekarzy, zatrudniają więc wielu „latających", zwiększają sztuczny popyt na specjalistów, więc rosną stawki. Każdego oddziału bronią politycy i lokalne media. Porodówki w Lesku nie można było zamknąć przez lata, choć rodziło się tam zaledwie 200 dzieci rocznie. W całym powiecie noworodków było 800, ale przyszłe matki wybierały większe i bezpieczniejsze ośrodki w Przemyślu czy Rzeszowie. Teraz historia powtarza się w Wadowicach. Zamykane muszą być kolejne porodówki, media ich bronią. Nie dla dobra pacjentów, bo w razie komplikacji choremu nie pomoże lekarz, którego nie ma na miejscu, ale płaci mu się „za gotowość".

Wysoki urzędnik NFZ: – *Zniknęły kolejki do operacji zaćmy. Zabiegi przeprowadza się ambulatoryjnie, w ramach chirurgii jednego dnia. Są bezpieczne, unika się groźnych zakażeń wewnątrzszpitalnych, często w ramach kontraktu z NFZ robią je o wiele taniej placówki prywatne.* Żaden szpital nie zlikwidował jednak oddziału okulistycznego, musimy utrzymywać wszystkie. Tworzy się sztuczny popyt na specjalistów, bo skoro jest oddział, to muszą być też lekarze. Politycy nie chcą odpowiedzieć na pytanie, czy publiczny płatnik ma utrzymywać wszystkie oddziały szpitalne, których jest za dużo, czy może jednak powinien dbać o poprawę zdrowia Polaków? Obrońców murów jest wielu, pogarszającymi się wskaźnikami czasu udzielenia pomocy medycznej wyborcy się nie interesują, ani tym, że Polacy żyją krócej niż obywatele innych krajów unijnych.

Limit patologii nie zlikwiduje

– *W tym samym mieście lekarze o porównywalnych kwalifikacjach, doświadczeniu wykonujący porównywalną pracę bardzo się różnią zarobkami* – stwierdza Małgorzata Gałązka-Sobotka. – *Ortopeda w Warszawie może zarobić miesięcznie 11 tys. zł na umowie o pracę i nawet 150 tys. zł na kontrakcie z różnymi szpitalami. To prowadzi do konfliktów wewnątrz środowiska.*

Kominy płacowe najszybciej rosną w małych ośrodkach, co nie znaczy, że najwięcej zarabiają miejscowi lekarze, im płaci się najmniej. Wysokimi stawkami kusi się lekarzy „latających", żeby tylko dostać lub utrzymać kontrakt. Przedstawiciel szpitali powiatowych publicznie stwierdził, że niektóre z nich na płace dla medyków wydają... 108 proc. pieniędzy z kontraktu z NFZ. Nie mają na leczenie, sprzęt, leki, nie wystarcza nawet na płace. Zapożyczają się w parabankach, winne im są już ponad 4,5 mld zł. Długi wszystkich szpitali rosną, przekroczyły już 20 mld zł. Ministerstwo Finansów oraz Zdrowia opracowują pakiet ratunkowy.

Małgorzata Gałązka-Sobotka od lat prosi NFZ o analizy, które szpitale płacą najwięcej, bo jej zdaniem właśnie te tonące w długach. Zadłużą się jeszcze bardziej, licząc, że państwo – pod presją polityków – znów oddłuży.

Jerzy Ostrouch twierdzi, że szpital, który wydaje na płace 90 proc. swojego budżetu, jest groźny dla pacjentów, ich szanse na odzyskanie zdrowia w takiej placówce są znikome. Średnia krajowa w Polsce wynosi 75–80 proc. Ten, którym zarządza, na płace personelu wydaje do 62 proc. wartości kontraktu. Nie tylko dlatego, że wykonuje dobrze wycenione procedury, ale że nie utrzymuje pustych łóżek i niepotrzebnej infrastruktury. Otworzył przy szpitalu wiele poradni, specjaliści pracują w nich, ale też na oddziałach. Więc prezes, w pełni świadomy, co sobie ściąga na głowę, podaje stawki, które za godzinę pracy w przyszpitalnych poradniach płaci lekarzom specjalistom. W poradni urologicznej za godzinę pracy lekarz otrzymuje przeciętnie 2 tys. zł. Za godzinę – nie ma pomyłki. W kardiologicznej – 1,2 tys., w przychodni urazowo-ortopedycznej – 1 tys., podobnie w ginekologiczno-położniczej i patologii sutka – 1 tys. Najgorzej, bo zaledwie 270 zł za godzinę, zarabia specjalista w poradni gruźlicy i chorób płuc. Szpital w Gorzowie Wielkopolskim nie ma długów.

Jarosław Fedorowski z Polskiej Federacji Szpitali, który jako jeden z pierwszych Polaków zrobił w Stanach Zjednoczonych doktorat z zarządzania publicznym lecznictwem, ubolewa, że pieniądze, jakie NFZ płaci publicznym placówkom, nadal nie mają żadnego związku z efektami leczenia. Sejm uchwalił wprawdzie ustawę o jakości w ochronie zdrowia, ale jest ona martwa. W systemie nie ma mechanizmów zachęcających do współpracy między placówkami ani dbałości o efekty leczenia. Płaci się za istnienie szpitala, rozlicza wykonanie procedur, pacjenta zgubiono.

Oceną efektów i warunków leczenia zajmuje się niezależne Centrum Monitorowania Jakości, które wydaje stosowne akredytacje. Szpitale, które poddają się ocenie, dostają bonus w wysokości 3 mln zł. Zdecydowało się zaledwie 200, reszcie na takich pieniądzach nie zależy. Rząd – przy atakach opozycji na „upadłą służbę zdrowia" – zwiększył w tegorocznym budżecie wydatki na lecznictwo do ćwierć biliona złotych, dorzucając do systemu kolejne 25 mld. Na pewno znów zabraknie.

JOANNA SOLSKA

eprasa.pl 99f292badc

Stan remisu i kompromisu

Wyraźnie, choć po cichu, kończy się „heroiczny” okres obozu władzy, ten zapoczątkowany październikowym przełomem w 2023 r. Donald Tusk potrzebuje teraz nowego programu i odświeżenia umowy z wyborcami. Prawica też wyhamowała i szuka lepszego napędu. Rozpoczyna się nowa gra.

MARIUSZ JANICKI



Problemy mają wszyscy. Prezydent Karol Nawrocki już się nawetował, naprzemawiał, pocelebrował, pochodził na mecze i kebaby, zebrał wraz z żoną mnóstwo braw za prezencję, po czym jego sondażowe wyniki spadły. Jeszcze jesienią zeszłego roku dobrze o jego prezydenturze wyrażało się blisko 60 proc. Polaków, teraz ok. 50 proc. W październiku 2025 r. miał 26 proc. przeciwników, w ostatnim badaniu CBOS – już 39 proc.; obniżył mu się też nieco wskaźnik zaufania. Widać, że Nawrocki, po okresie czasami wręcz niezdrowej fascynacji jego postacią, został w końcu włączony do regularnego obiegu politycznego i zaczął być rozliczany według realnych osiągnięć.

Ale po drugiej stronie też następuje korekta. Po okresie sondażowych wzrostów Koalicji Obywatelskiej sytuacja się ustabilizowała i chociaż KO nadal ma kilkupunktową przewagę nad PiS, widać, że przełomu tu nie będzie, a droga partii Donalda Tuska do 40 proc. wydłużyła się do standardowych rozmiarów. Ugrupowanie Jarosława Kaczyńskiego z kolei zatrzymało spadki, ale bez rewelacji. Formacja Brauna nie przeskoczyła Konfederacji Mentzena i Bosaka, a obie razem nie pokonały dotąd PiS, choć jest już blisko. Według ostatnich sondaży prawica ma łącznie ok. 47 proc., tyle samo, ile druga strona, choć łącznie z partią Razem. Jednak prawica ma aktywa lepiej ulokowane, bo wszystkie nad progiem wyborczym, a PSL, Razem i Polska 2050, z którą nie wiadomo, co będzie po wyborze Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz na przewodniczącą, w większości sondaży są pod nim. Dopóki to się nie zmieni, faworytem wyborów jest konserwatywna opozycja. Biorąc jednak pod uwagę same wpływy w społeczeństwie, bez reguł ordynacji, jest mniej więcej remis.

eprasa.pl 99f292badc

Przede wszystkim nie stracić

Istnieje zasada w polityce, że lepiej zachowywać status quo i wciąż mieć widoki na dobrą końcówkę, niż ryzykować jakieś nieprzemyślane ruchy i wcześniej zaprzepaścić szanse. Dlatego obie strony politycznej konfrontacji obawiają się popełnienia krytycznego błędu, jak było kiedyś z emeryturami w przypadku Platformy czy z aborcją, która kilka lat temu trwale nadszarpnęła notowania PiS. Istotnym punktem odniesienia będzie w tym roku postać i działania prezydenta Donalda Trumpa, na którym PiS zawiesił niemal wszystkie swoje plany i ideologiczne zasoby. Kaczyński będzie bronił Trumpa, do kiedy się da bez całkowitej kompromitacji. Tusk ma większą swobodę, ale pewnej granicy w krytyce amerykańskiego prezydenta też nie przekroczy, aby nie być posądzonym o igranie kwestią bezpieczeństwa.

Jednak główna sprawa, w której zarówno Kaczyński, jak i Tusk obawiają się niepowodzenia, to ewentualne skonfliktowanie się z wyborcami konserwatywnego środka. To „tradycyjne centrum" – któremu podobno trzeba schlebiać, bo ono zdecyduje o wyniku wyborów w 2027 r. – stało się głównym obiektem zabiegów zarówno PiS, jak i KO, stało się punktem odniesienia polskiej polityki. Kaczyński chce zniszczyć Brauna, aby nie musieć z nim zawierać koalicji, jednak żeby mu podebrać wyborców, musi trochę dreptać po jego śladach. Ale też nie może zbytnio się sklejać z retoryką lidera Korony, bo to z kolei zniweczy inny plan: normalizowania się właśnie w oczach wyborców prawocentrowych; na ten elektorat nieustannie zwraca uwagę były premier Morawiecki. Z tego właśnie dylematu wynika szamotanie się Kaczyńskiego między Morawieckim a bardziej radykalnymi tzw. maślarzami – nie chce rezygnować z żadnej opcji, bo obie są mu potrzebne, ale ich pogodzenie nie jest łatwe.

Tusk także lawiruje. Pozostaje w cichym dyskursie z konserwatywnymi, a także wolnorynkowymi wyborcami, w tym ze środowiskami przedsiębiorców, w obawie, że mu uciekną do Mentzena i Brauna. Widać, że nie bardzo wierzy w przesuwanie się Polaków na lewo, bo zapewne jego zdaniem dotyczy to bardziej „elity" niż trzonu społeczeństwa. Trudno było dostrzec, aby się specjalnie martwił, że np. ustawa o związkach partnerskich zmieniła się w kadłubkowy projekt „o osobie najbliższej". Tusk nie od dzisiaj bardziej obawia się opinii tradycyjnego, religijnego elektoratu czy przedsiębiorców niż tego liberalno-lewicowego, który uważa już za swój. Przegrana Rafała Trzaskowskiego w wyborach prezydenckich tylko umocniła Tuska w tym poglądzie. To taki dyskretny, wspólny prawoskrętny mianownik.

Głośne kłótnie, ciche porozumienia

Do tego dochodzi mocne alibi dla szukania kontaktów ponad murem: sytuacja międzynarodowa i kwestie bezpieczeństwa. Także sondaże pokazują, że Polacy chcą większej zgodności między premierem i prezydentem, oczekuje tego blisko 80 proc. respondentów badań. Przy okazji sporu o Grenlandię i wymyśloną przez prezydenta Trumpa Radę Pokoju trwały ożywione konsultacje między dwoma pałacami, a Tusk pochwalił prezydenta Nawrockiego, pisząc na X, że „nasz stały osobisty kontakt w ostatnich dniach przyniósł dobre efekty"; takich rzeczy nie mówi się przypadkowo. To nie pierwszy przykład w minionych tygodniach pokazujący, że pierwsza faza frontalnego starcia Tuska z Nawrockim powoli się wyczerpuje po obu stronach. Nie brakuje jeszcze ostrych słów i gestów, bo to jest częścią tego marketingowego spektaklu, ale coś się chyba zmienia. Co prawda reprezentacja KO nie pojawiła się w kancelarii na zaproszenie prezydenta, ale zaproszenie podobno najpierw zostało przyjęte, a zmiana decyzji nastąpiła w ostatniej chwili. Do Pałacu Prezydenckiego poszła reprezentacja PSL i Polski 2050, a posłowie tej ostatniej bardzo chwalili rozmowy z Nawrockim.

Staje się powoli jasne, że antypisowska rewolucja, która miała wyzerować prawnie i moralnie okres władzy formacji Kaczyńskiego w latach 2015–23, utknęła, być może na dobre. Powodem były, po pierwsze, dość słabe rządy po 2023 r., a po drugie – przegrana Trzaskowskiego. Ten nastrój demobilizacji widać choćby w socialach. Niedawno w wywiadzie dla „Politico" minister sprawiedliwości Waldemar Żurek przyznał, że prokuratorzy, z którymi rozmawiał, mówią mu, że boją się zemsty PiS, kiedy ta partia wróci do władzy. O tych obawach prokuratorów i innych urzędników obecnej ekipy pisaliśmy w POLITYCE wielokrotnie, ale chyba po raz pierwszy tak otwarcie powiedział o tym przedstawiciel rządu. Tym samym Żurek przyznaje, że jego podwładni już teraz rozważają odpowiedzialność przed jego następcą. Pytanie więc, jak to może wpływać na ich zaangażowanie w śledztwa dotyczące polityków z dawnej ekipy. Wydaje się, że tak czy inaczej symbolicznie kończy to pewien etap: rozliczania ludzi PiS, ale także próby naprawy ustroju, przywracania praworządności do stanu sprzed „reform" Zbigniewa Ziobry. Szczyt tej emocji chyba za nami, choć jeszcze jakieś rozliczeniowe wydarzenia się pojawią. Jednak choć Ziobro został przepędzony, to jego system formalnie w znacznej mierze pozostał i nie zostanie zmieniony – jeśli tylko Nawrockiemu powiedzie się w polityce – jeszcze przez blisko dziesięć lat.

Kto kogo rozliczy

Przedłożone w Sejmie przez Żurka projekty ustaw sądowniczych, zwłaszcza ta mająca przywrócić Krajowej Radzie Sądownictwa w miarę pierwotny konstytucyjny kształt, nie mają szans na podpis prezydenta i te spodziewane weta zamkną rozdział pod nazwą „naprawa państwa". Jednocześnie pogłębiający się chaos prawny, który zaczyna wzruszać wyroki nawet w sprawach rozwodowych, pokazuje, że w końcu wyborcy zaczną szukać winnych takiej sytuacji. Jak wynikało z badań, przez długi czas odpowiedzialnością za psucie ustroju i dualizm prawny obarczano PiS, potem wyniki zaczęły się wyrównywać. Niewykluczone, że już niedługo za funkcjonowanie wymiaru sprawiedliwości będzie rozliczany przede wszystkim rząd Tuska, bez względu na to, że u podstaw obecnych trudności leży polityka PiS w latach 2023–25. Będzie się liczył tylko bieżący bałagan, który przeszkadza w codziennym życiu, a za to z reguły obwiniana jest obecna władza.

To ukazuje nową perspektywę, zmienia reguły gry, choć nikt tego oficjalnie nie ogłosi. Jednak stąd biorą się coraz częstsze sugestie i nawoływania do „dogadania się" z drugą stroną „w ważnych sprawach". Tuskowi nie wypada tego robić otwarcie, ale jeśli Władysław Kosiniak-Kamysz przyjął propozycję, aby dwie posłanki PSL weszły w skład rady parlamentarnej przy kancelarii prezydenta Nawrockiego, to raczej nie odbyło się to bez wiedzy szefa rządu. A przecież rada ma cel, który politycy Koalicji Obywatelskiej z oburzeniem odrzucali, czyli przedstawianie prezydentowi projektów ustaw jeszcze na etapie prac parlamentarnych, aby mógł stwierdzić, czy je podpisze, czy nie. Ale także Nawrocki chce mieć możliwość konsultowania się, bo jego polityka masowego wetowania osiągnęła swoje limity, kiedy kilka razy musiał – dla zachowania prawicowego honoru – odrzucić ▶

© ANDRZEJ SZKOCKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 99f292badc

▶ ustawy, które według badań opinii miały poparcie większości. A on też myśli o swoich wyborach, tyle że w 2030 r.

Te kompromisy czy mikrokompromisy mają dla polityków zapewne charakter przede wszystkim taktyczny, ale dla wyborców mogą znaczyć więcej. Oto ostatecznie kończy się wyjątkowy charakter rządów Tuska, owiany mitem 15 października, czyli „zwycięstwem nad złem", zapowiedzianym przez lidera KO jeszcze w 2021 r., po powrocie z Brukseli. Ta misja słabnie z powodów praktycznych, bo trzeba mianować żołnierzy i funkcjonariuszy, uprawomocnić ambasadorów, podpisać budżet, uzgadniać stanowisko kraju na niwie międzynarodowej, mieć dojście do Trumpa itd. Te cele są istotne dla państwa, pragmatyzm jest ważny, ale nie odbywa się to bezkarnie dla sfery symbolicznej. Jeżeli warstwa ideowa słabnie, zasady okazują się negocjowalne, a dotychczasowi wrogowie stają się coraz częściej partnerami do zakulisowych rozmów, coś musi zastąpić dawną pryncypialność.

Całkiem zwyczajny rząd

Rząd Tuska, tracący atut „metafizyczny", zaczyna być traktowany surowo i regulaminowo. Kiedy staje się zwyczajnym rządem, już z częściowo odwołanym zadaniem zbawiania kraju i świata, choćby dlatego, że to politycznie niemożliwe, podlega większym wymaganiom – i to coraz bardziej widać w badaniach i tonie dostrzegalnym w mediach społecznościowych. Po ustrojowych uniesieniach i nadziejach wraca proza życia. A tu już bywa różnie. Kiedy w sondażach z ostatnich miesięcy pytano, który rząd był lepszy: Morawieckiego czy Tuska, niemal zawsze zwyciężał Morawiecki. Na pytanie, czy za Tuska nastąpiły zmiany na lepsze czy na gorsze, zdecydowanie przeważała druga opcja. Bez uszlachetniającego nimbu obrońcy demokratycznych wartości obecna władza w oczach wielu traci dotychczasowe walory.

Politycy KO irytują się, że nie docenia się dorobku minionych dwóch lat: wydatków na obronność, zdławienia inflacji, niskiego bezrobocia, kontynuacji 800 plus, dodatkowych bonusów socjalnych. Ale najwidoczniej nie zrobiło to piorunującego wrażenia, a zawsze jest tak, jak się ludziom wydaje, a kto z tym dyskutuje, przegrywa. Ale także obiektywne parametry pokazują, że w codziennym życiu po 2023 r. niewiele się zmieniło, a w wielu branżach słychać, że za PiS było lepiej. Rządy Tuska są poza wszystkim jakoś uderzająco nieefektowne, szare, nie kojarzą się w zasadzie z niczym naprawdę pozytywnym i wyróżniającym, są modelowo pozbawione wizerunku i charyzmy. Poza paroma wyjątkami – także bez wyrazistych osobowości, energii, pomysłów. Jakby świadomie minimalistyczne, skrojone tak, aby dominował tylko premier, a drużyna była anonimowa i do roboty, tylko że ta robota nie jest spektakularna. Czasy wymagają czegoś zupełnie innego, ostentacji, pokazywania się, gry na wielu instrumentach.

Remis i kompromis otwierają nowy etap dla rządu Donalda Tuska: konieczność nowych, realnych osiągnięć, nie tylko ogłaszanych na platformie X, ale odczuwanych i bez promującej propagandy typu „robimy, nie gadamy". Taryfa ulgowa się kończy, zaczęło się na dobre już przedwyborcze rozliczanie obecnego rządu, który może nadal rozliczać PiS, ale musi uważać na ogólne saldo.

W polityce kluczowe jest dostrzeganie przełomowych momentów, które nie muszą być od razu powszechnie widoczne. Wiele wskazuje na to, że 2026 r., niby zbędny, bo bez wyborów, stanie się czasem istotnych rozstrzygnięć. Koalicja Obywatelska będzie musiała wyjść ze strefy komfortu. Kiedy się patrzy na sposób działania Tuska, widać, że zawsze był przekonany, iż jest sprytniejszy od innych polityków, więcej od nich wie, rozumie, dalej patrzy, a inni się mylą, nie dostrzegają złożoności spraw. Uzależnił tą pewnością siebie całe otoczenie, rozmawia z małą grupą nie tyle doradców, ile towarzyszy jego myśli. Ale to raczej nie wystarczy do 2027 r. Być może Tusk nie do końca zdaje sobie sprawę z głuchego oporu, jaki rośnie przeciwko jego sposobowi sprawowania władzy. Wydaje mu się, że wciąż jest fajny, że łapie współczesne trendy, że jego tiktokowa narracja podoba się i przysparza mu zwolenników. To prawda, że zwiększenie aktywności w internecie dało pewne rezultaty, ale ta tendencja się wyczerpuje, ponieważ nie idą za tym materialne konkrety. Dokładnie na tym poległ PiS w 2023 r. – na przeroście propagandy, w którą sama partia uwierzyła.

Czy będą nowe konkrety

Teraz rząd i jego główna formacja, jeśli wciąż myśli o sukcesie za dwa lata, musi pamiętać o marniejącej ochronie zdrowia i SOR-ach, gdzie czeka się kilkanaście godzin, i ludzie, choć przyzwyczaili się już do bylejakości, tracą cierpliwość. A także o niedoinwestowanej nauce, o lekceważonej kulturze, niezałatwionej kwestii mieszkaniowej, o dosłownie trującym smogu i wielu innych kwestiach. Ogólnie o sprawach, które interesują wyborców obozu liberalnego, a nie tylko prawicowego. Lekcja, jakiej udzielił w zeszłym roku Karol Nawrocki i jego sztab, jest taka, że należy zadowalać głównie własny elektorat, a nie cudzy. Nawrocki nie wykonał wówczas żadnego gestu wobec wyborców drugiej strony, a i tak zwyciężył. Uprzejmości Trzaskowskiego wobec prawicy, jak zapowiedź likwidacji 800 plus dla Ukraińców, były żałosne w swojej nieszczerości i nic nie dały. Koalicja Obywatelska musi uwierzyć we własnych wyborców, coś im dać, przywrócić sens, kiedy główne cele nie wypaliły. Najgorszy wariant oznaczałby rosnące przekonanie wyborców, że w zasadzie o nic już nie chodzi, nie ma o co walczyć, pozostaje tylko codzienna łomotanina i przeczekanie do wyborów, w nadziei na jakiś zaskakująco szczęśliwy finisz.

Z upływem czasu okres władzy PiS z poprzednich lat będzie relatywizowany i zapominany, tak jak przewiny rządów tej partii z lat 2005–07, które przestały mieć znaczenie w 2015 r. To normalny proces społeczny. Cały polityczny arsenał dzisiejszego obozu władzy, czerpiący z moralnej przewagi demokratów, w dużej mierze zużył się w bieżącej walce. Przez wiele lat prezes PiS Jarosław Kaczyński funkcjonował na specjalnych prawach, wiele mu wybaczano i tłumaczono na jego korzyść, ponieważ przewodził ważnej misji i miał za sobą wiernych wyborców. W ostatnich dwóch latach na trochę podobnej zasadzie działał Donald Tusk, niesiony zadaniem pokonania złowrogiego imperium. Dzisiaj obaj, z różnych powodów, tracą te przymioty.

Tusk wciąż jest liderem liberalnego, proeuropejskiego środowiska, które jest nieporównanie bliżej zachodniego modelu państwa niż propozycja Kaczyńskiego, zasług nikt mu nie odbiera. Ale w nowych realiach musi ponownie tę wyższość udowodnić i dorzucić coś ekstra. Ta nowa sytuacja może być postrzegana jako niesprawiedliwa dla obozu rządzącego, ale to nie ma znaczenia. Tusk przystępuje do kolejnych rund już bez większości przewag, które zdobył jako pogromca politycznych smoków. Nastał czas wizji, które w końcu będzie musiał polubić. Jeżeli nie wyrwie się z syndromu remisu i kompromisu, ludzie może i nie zatęsknią za PiS, ale na powrót prawicy do władzy zwyczajnie machną ręką.

MARIUSZ JANICKI

eprasa.pl 99f292badc

Kandydat na kandydata

Mało kto w ostatnich latach zrobił w PiS tak szybką karierę jak Zbigniew Bogucki. Szef Kancelarii Prezydenta jest nawet przymierzany do roli kandydata na premiera. Jak się zdobywa poparcie u Jarosława Kaczyńskiego?

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

Jeszcze trzy lata temu o istnieniu Zbigniewa Boguckiego wiedziała jego rodzina, zachodniopomorscy działacze PiS i garść wyborców. Owszem, był już – od 2020 r. – wojewodą, jednak tej funkcji rzadko towarzyszy rozpoznawalność. Ktoś może zapamiętał obrazki z lata 2022 r., gdy w czasie katastrofy ekologicznej w Odrze Bogucki pokazywał się w telewizji w koszuli z podwiniętymi rękawami w otoczeniu strażaków i wędkarzy, ale to wciąż była popularność z gatunku niszowych.

Dziś Bogucki to już pierwszoplanowa postać w PiS. Karierę zrobił ekspresowo: w 2023 r. zadebiutował w Sejmie, w 2024 r. startował na prezydenta Szczecina, potem na krótko pojawił się na giełdzie kandydatów PiS na prezydenta Polski, a po zwycięstwie Karola Nawrockiego został szefem jego kancelarii. A gdy Jarosław Kaczyński ogłosił, że partia szuka młodego kandydata na premiera, natychmiast wypłynęło nazwisko Boguckiego.

Nie ma jednego źródła tego sukcesu; byłego wojewodę wywindowały jego ambicje i zdolności polityczne, wpływy jego patronów, korzystne zbiegi okoliczności. No i – podobnie jak garść innych polityków zbliżonych wiekiem (Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński, Patryk Jaki) – Bogucki pasuje do strategii Kaczyńskiego, który chce odmłodzić partię i odświeżyć jej wizerunek.



© WOJCIECH OLKUŚNIK/EAST NEWS

Od prokuratora do posła

Bogucki (rocznik 1980) nie jest rodowitym Szczecinianinem. Przyjechał tu z miasteczka Góra na Dolnym Śląsku studiować prawo na Uniwersytecie Szczecińskim. W PiS działa od 2012 r., a politykę wyniósł z domu. Jego ojciec Kazimierz Bogucki, od wielu lat związany z górowskim samorządem, od 2024 r. znów jest górowskim starostą. ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶Zbigniew Bogucki po studiach został na Pomorzu Zachodnim i przez trzy lata pracował jako prokurator, co zdaniem jego kolegów z PiS rozwinęło jego talenty retoryczne. Ale w Szczecinie bardziej znany jest z tego, że prowadził kancelarię adwokacką i działał w PiS pod skrzydłami tutejszego barona Joachima Brudzińskiego.

Polityczny start miał kiepski – w 2014 r. przepadł w wyborach do rady miejskiej w Szczecinie, rok później nie udało mu się wejść do Sejmu. Pierwszy wyborczy sukces to 2018 r. – zostaje radnym sejmiku zachodniopomorskiego, ale rok później w wyborach parlamentarnych znów przegrywa. Potem dostaje szansę od kolegi z okręgu Pawła Szefernakera, który jako wiceminister w MSWiA sprawował nadzór nad wojewodami. Dotychczasowy wojewoda Tomasz Hinc został prezesem Grupy Azoty i Bogucki dostał zwolniony przez niego fotel.

Jako wojewoda Bogucki pracował nad swoim wizerunkiem. Dożynki, wigilie dla potrzebujących, wręczanie dzieciom laptopów, odwiedziny u seniorów.

Sporo hałasu – i uzasadnionych pytań o rozmiary ego wojewody – zrobiła historia ujawniona przez radio RMF FM. Pod koniec urzędowania Bogucki polecił umieścić swoje inicjały na wyremontowanym godle nad wejściem do zabytkowego urzędu wojewódzkiego. Tłumaczył potem, że „napis jest malutki"; po zmianie władzy inskrypcja została usunięta. Prokuratura za rządów obecnej koalicji bada też sprawę zakupu ponad 6 tys. gadżetów z nazwiskiem wojewody za 141 tys. zł; śledztwo zostało przedłużone do 16 kwietnia.

Uwagę zwracała także błyskawiczna kariera jego żony za rządów PiS. Prokuratorka Julita Dziedzic-Bogucka jeszcze w 2017 r. była w prokuraturze rejonowej, a dwa lata później została delegowana do prokuratury krajowej i brała udział w śledztwach przeciw politykom ówczesnej opozycji, m.in. podejrzanemu o korupcję Stanisławowi Gawłowskiemu (w lipcu 2025 r. został skazany przez sąd I instancji).

Latem 2022 r. Bogucki przerwał urlop, gdy doszło do wspomnianej katastrofy w Odrze. W PiS się to spodobało. – *Było w tym trochę politycznego piaru, bo Zbyszek poczuł, że może wypłynąć na Odrze, a prezes PiS zwrócił wtedy na niego uwagę* – mówi polityk związany z Nowogrodzką. Bogucki z 16. miejsca na liście w wyborach 2019 r. w kolejnych awansował na piąte. Przeskoczył trzech kandydatów, którzy byli nad nim i to on wszedł do Sejmu.

Po utracie władzy PiS potrzebował nowych nieopatrzonych twarzy, a Bogucki wykorzystał te okoliczności – często występował w Sejmie, szybko wydreptał sobie ścieżki do najważniejszych programów telewizyjnych i radiowych. W mediach trzyma się pisowskiego przekazu, nie mówi niczego zapadającego w pamięć, ale jest sprawny retorycznie i trudno go wytrącić z równowagi. Poglądy ma konserwatywne (w debacie o liberalizacji prawa aborcyjnego występował ze zdjęciem 10-tygodniowego płodu), bardzo ostro atakuje rząd, ale – gdy trzeba – prezentuje się jako zwolennik rozmów i kompromisu.

– *Zaimponował prezesowi tym, że harował w Sejmie, a zgodził się jeszcze wystartować na prezydenta Szczecina. Wiadomo było, że Piotr Krzystek wygra po raz kolejny, ale Zbyszek pokazał, że umie walczyć, że mu się chce, i zdobył niezłe 27 proc. głosów. To dlatego prezes zaprosił posła debiutanta do komitetu wykonawczego PiS* – zauważa poseł PiS z północy Polski. Bogucki został też szefem struktur PiS w okręgu szczecińskim – wybranym przez działaczy, ale ze wskazania Kaczyńskiego.

Skok do Kancelarii

Bogucki potulnie przyjął decyzję o nominacji Nawrockiego na kandydata na prezydenta i wziął udział w jego kampanii. Bronił go, gdy wybuchła afera z mieszkaniem pana Jerzego. Nie był jednak pierwszym wyborem duetu Kaczyński-Nawrocki, który meblował Pałac Prezydencki po wygranych wyborach. Szefem Kancelarii miał zostać Czarnek – polityk nieporównanie bardziej znany i mający licznych fanów w prawicowym elektoracie.

Właściwie wszystko było już dograne. Jednak, jak słyszymy od osób z otoczenia Nawrockiego i co potwierdzają nasi rozmówcy z PiS, prezydent elekt zorientował się, że Czarnek może się bardzo wzmocnić w nowej roli, a nawet przyćmić swojego zwierzchnika. I nominacja dla byłego ministra edukacji zniknęła ze stołu. Z naszych informacji wynika, że miał na to wpływ także Szefernaker, szef sztabu wyborczego, który następnie został szefem gabinetu Karola Nawrockiego i który wolał współpracę ze swoim protegowanym z Pomorza Zachodniego niż z rozpychającym się Czarnkiem.

Oficjalnie powodem denominacji Czarnka był jego awans na wiceprezesa PiS; prezydent miał mu powiedzieć, że musi wybrać między karierą partyjną a stanowiskiem w Kancelarii.

W ten sposób to Bogucki – prawnik, z pewnym doświadczeniem w administracji i obyciem medialnym, wspierany przez Szefernakera i Brudzińskiego – dostał ofertę pracy w Pałacu. Przyjął ją chętnie, bo pozycja szefa prezydenckiej administracji jest mocniejsza niż szeregowego posła partii opozycyjnej. Zwłaszcza że w Kancelarii łączy dwa etaty, bo jest także prezydenckim prawnikiem odpowiedzialnym za strategię wobec płynących z parlamentu ustaw. Liczne weta – nieporównanie liczniejsze niż za prezydentury Dudy – są więc po części także odbiciem poglądów Boguckiego.

Posłów PiS Bogucki wprawił podobno w zachwyt swoją polemiką z Donaldem Tuskiem na debacie w sprawie kryptowalut w związku z ustawą regulującą ten rynek. Podobno, bo obrady były niejawne; posłowie PiS mogli więc swobodnie mówić, że Bogucki „zmiażdżył Tuska". Ustawę Nawrocki zawetował.

Bogucki wciąż często występuje w mediach. Sprzeciwia się umowie UE z Mercosur, tłumaczy, dlaczego prezydent nie wsparł WOŚP („bo Jurek Owsiak za bardzo wszedł w politykę"), popiera wejście Nawrockiego do tworzonej przez Donalda Trumpa Rady Pokoju.

Nie zaniedbuje relacji z Kaczyńskim. Maszeruje z prezesem PiS 10. każdego miesiąca na Plac Piłsudskiego pod pomnik smoleński. Kancelaria jest – inaczej niż za prezydentury Andrzeja Dudy – organizatorem miesięcznic. Jak informuje POLITYKĘ Biuro Prasowe, „Pan Minister Zbigniew Bogucki składał wieńce przed wspomnianymi pomnikami jako Szef Kancelarii Prezydenta RP". W swoim oficjalnym biogramie na stronie Kancelarii podaje, że „był członkiem Społecznego Komitetu Budowy Pomnika śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego". – *Zbyszek wie, że to ma dla prezesa znaczenie i wpływa na personalne wybory* – uważa polityk PiS.

Pierwszy wśród pewniaków

Kaczyński ostatnie dni spędził w szpitalu (podobno z powodu zapalenia płuc) i w związku z tym odwołał spotkania z czołowymi politykami PiS. Miały one poprzedzić decyzję o wskazaniu przez

eprasa.pl 99f292badc



Latem 2022 r. Bogucki przerwał urlop i ruszył nad zatrutą rzekę. Mówiło się, że Zbyszek chce wypłynąć na Odrze.

partię kandydata na premiera. Prezes uważa, że ten ruch pomoże partii – przetnie wewnętrzne spory między frakcją Mateusza Morawieckiego a jej przeciwnikami, narzuci dyscyplinę, pozwoli lepiej zacząć prekampanię przed wyborami w 2027 r.

PiS ma wejść w tryb kampanijny – z nieoficjalnym jeszcze sztabem, jednolitym przekazem, nowym programem i politykiem, który będzie twarzą tej operacji. Który będzie z jednej strony atakował rząd, a z drugiej – odbijał wyborców Konfederacji i Koronie. Z badań zleconych przez PiS wynika, że elektorat tej partii oczekuje kogoś w miarę nowego i w miarę młodego. Bogucki nieźle pasuje do tego obrazka i to podobno on był pierwotnym wyborem Kaczyńskiego.

Szef prezydenckiej kancelarii przyznał niedawno w Radu Zet: „z panem prezesem Jarosławem Kaczyńskim rozmawiam bardzo regularnie – raz w tygodniu". Dodał, że to „bardzo dobre rozmowy na wszystkie tematy polityczne". Dopytywany, czy także na temat tego, by to on został kandydatem PiS na premiera, mówił, że nie wie, czy to on jest faworytem.

Ważny polityk PiS zawraca uwagę na tę część wypowiedzi Boguckiego: „Do wyborów prawie dwa lata. Oczywiście koncepcja, w której wskazuje się jakąś osobę jako kandydata, była już przeprowadzana, chociażby w przypadku premier Beaty Szydło". I tak ją interpretuje: – *Zbyszek powiedział to, co może spodobać się prezesowi. Że będzie pokornie pracował, podkreślił geniusz prezesa z wyborem Szydło na premierkę i dał do zrozumienia, że i on będzie lojalny.*

Bogucki dodał, że będzie też musiał porozmawiać na ten temat z prezydentem, „który dziś jest moim szefem". Z naszych informacji wynika, że Nawrockiemu koncepcja nominacji Boguckiego nie przypadła do gustu. Bo PiS potrzebuje kandydata już niebawem (mówi się o jego oficjalnej prezentacji na wiosnę), a prezydent uważa, że jego kluczowy współpracownik nie powinien być zarazem główną twarzą półtorarocznej kampanii PiS. Interesy Nawrockiego i Kaczyńskiego są w pewnej mierze rozbieżne; PiS musi rywalizować z konkurencją na prawicy, a prezydent wolałby być ponad tym sporem. Wolałby też nie wchodzić w wewnętrzne konflikty w PiS, czego trudno byłoby uniknąć, gdyby to Bogucki został teraz kandydatem na premiera.

Wygląda więc na to, że na tym okrążeniu na czoło peletonu wysunie się ktoś inny. Na krótkiej liście Kaczyńskiego są podobno trzej politycy z frakcji tzw. maślarzy, a więc przeciwnicy Morawieckiego: Bocheński, Czarnek i Patryk Jaki. Dwaj z nich to zresztą byli wojewodowie (Bocheński i Czarnek), a każdy z nich ma tytuł wiceprezesa partii.

Trudno przypuszczać, że nominacja dla któregoś z nich uspokoiła na trwałe nastroje w ugrupowaniu, ponieważ spór dotyczy nie tylko personaliów, lecz także kierunku, w którym powinien zmierzać PiS. Prezydent – nawet jeśli nie chce być mieszany w konflikty w PiS – i tak nie będzie mógł od nich uciec.

Potrzebny obrotowy

W Pałacu przeważają zresztą politycy bliżsi Morawieckiemu niż maślarzom – to Szefernaker, Marcin Przydacz, Adam Andruszkiewicz. W otoczeniu prezydenta są też Marcin Horała i Szymon Szynkowski vel Sęk (obaj są w powołanej przez Nawrockiego „radzie parlamentarzystów"). Dyrektorem biura analiz i strategii jest z kolei Tomasz Matynia, spec od badań społecznych, który długo współpracował z Morawieckim za rządów PiS.

Maślarze nie mają zaś w Pałacu zasobów, z tym wszakże istotnym zastrzeżeniem, że Nawrockiemu światopoglądowo jest do nich bliżej niż do Morawieckiego.

Teraz jest może trochę za wcześnie na snucie takich scenariuszy, ale kampanijny kandydat PiS na premiera wcale nie musi być kandydatem docelowym. Piotr Gliński przetarł ten szlak ponad 10 lat temu – premier z tabletu został ostatecznie wicepremierem. O mały włos jego losu nie podzieliła Beata Szydło, która była kandydatką na premierkę w 2015 r., ale Kaczyński po wyborach chciał ją wymienić na kogoś innego; historię tę przytacza w swej książce wspomnieniowej Duda, twierdząc, że to jego interwencja uratowała Szydło.

Do nazwiska ogłoszonego w 2026 r. nie należy się zatem w 100 proc. przywiązywać. Nawet jeśli PiS będzie w obozie zwycięzców jesienią 2027 r., to sytuacja może się okazać bardzo skomplikowana – zarówno w samej partii Kaczyńskiego (ilu posłów będzie miał Morawiecki?), jak i na całej prawicy, z uwzględnieniem pozycji Nawrockiego (który formalnie wskaże premiera) i koalicjantów (Konfederacja? Korona?). Rozmowy o personaliach zaczną się na nowo, a wtedy kompromisowym kandydatem na premiera może się okazać ktoś, kto ma dobre relacje zarówno z prezydentem, jak i z różnymi odłamami PiS. To mógłby być Szefernaker, to może być Bogucki.

ANNA DĄBROWSKA, WOJCIECH SZACKI

© ANDRZEJ SZKOCKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 99f292badc



Szkolenie żołnierzy ukraińskich w Polsce

Rząd i opozycja zgodnie deklarują, że polscy żołnierze nie będą uczestniczyć w przyszłej misji pokojowej w Ukrainie. Narażać życie powinni inni. Ani to honorowe, ani mądre.

Wchodzimy bez butów

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

„Nie wyślemy wojska na Grenlandię" – oświadczył premier Donald Tusk w chwili, gdy kilka europejskich krajów naprędce organizowało nową, nadzwyczajną misję wojskową. Jej celem miała być bardziej demonstracja polityczna niż jakiekolwiek zadania bojowe, ale to nie zmniejszało jej znaczenia. Gdy w Arktyce zrobiło się gorąco nie przez ocieplenie klimatu, ale amerykańskie żądanie przejęcia Grenlandii – bez szacunku dla integralności terytorialnej i suwerenności Danii – europejska koalicja chętnych chciała okazać sojusznikowi symboliczne wsparcie.

Skromne, kilkunastoosobowe kontyngenty wyruszyły samolotami z Niemiec i Francji, a pojedynczych żołnierzy wysłały Szwecja, Norwegia, Wielka Brytania, Belgia, Finlandia, Islandia i Słowenia.

Polska 6 stycznia w Paryżu podpisała pryncypialną w treści, lecz niekonfrontacyjną w tonie deklarację wspierającą Danię, ale wstrzymała się przed udziałem w ekspedycji. Warszawa racjonalnie oceniła, że rozjuszonemu Trumpowi lepiej nie wchodzić w drogę. Może słusznie, bo ten zapowiedział karne cła na uczestników grenlandzkiej misji, co chwilowo pogłębiło kryzys między Europą a USA i w NATO – tymczasowo załagodzony w czasie konferencji w Davos.

Niezrozumiałe „nie"

Niezależnie od uzasadnienia było to już drugie polskie „nie" wobec europejskich planów wojskowych, podejmowanych w czasie i z powodu geopolitycznych wstrząsów tektonicznych. Pierwsze „nie" dotyczące wysłania sił rozjemczych do Ukrainy jest głośniejsze i ważniejsze.

Wielu dyplomatów na Zachodzie, w tym w USA, wciąż się jednak dziwi, że Polska stoi z boku, gdy Europa wykuwa kształt

eprasa.pl 99f292badc



© NEWS LUBUSKI/EAST NEWS

najważniejszego strategicznie zadania od końca zimnej wojny – objęcia Ukrainy wiążącymi gwarancjami bezpieczeństwa i realnym wsparciem zbrojnym w postaci misji wojskowej. Ma to być przecież twardy dowód, że demokratyczny blok Zachodu wciąż sprzeciwia się rosyjskiej agresji, chce ją w przyszłości skuteczniej odstraszać, a w razie ponownego ataku Rosji na Ukrainę wyraża gotowość do obrony odbudowanej stabilności.

Tym samym – po raz pierwszy w taki sposób po zimnej wojnie – Europa buduje swoje geopolityczne znaczenie, na którym wielu jej przeciwników i konkurentów chciałoby położyć krzyżyk. Tym bardziej zaskakuje, że „nie" mówi tym planom kraj, który szczyci się arcypoważnym traktowaniem bezpieczeństwa, stanowczym podejściem do zagrożeń, rekordowymi inwestycjami w obronność, ambicją bycia potęgą na wschodniej flance Europy i NATO, a w dodatku mający za sobą dekady udziału w wielonarodowych misjach. Wszystko to sprawia, że polskiego oporu przed udziałem w misji w Ukrainie nie daje się łatwo wytłumaczyć.

Koalicja chętnych, z Francją i Wielką Brytanią na czele, liczy ponad 30 krajów, z których 26 ma deklarować takie czy inne zaangażowanie wojskowe w Wielonarodowych Siłach dla Ukrainy, już znanych pod angielskim akronimem MNF-U. Niedługo te litery mogą stać się równie ważne, jak niegdyś afgański ISAF czy bałkański KFOR. Pytanie o rolę Ameryki w tym gronie jest wciąż otwarte, choć ostatnio z Waszyngtonu słychać o możliwym udziale wojskowym, nawet w postaci „butów na ziemi" – żołnierzy rozmieszczonych bezpośrednio w Ukrainie.

W pierwszym roku drugiej prezydentury usłyszeliśmy od Donalda Trumpa przede wszystkim to, że chciałby pozbyć się ciężaru zapewniania Europie bezpieczeństwa i nie traktuje wojny w Ukrainie jako swojej, więc jest jasne, że gwarancje wojskowe to zadanie dla europejskich koalicjantów, przy pomocniczej, choć kluczowej, roli Ameryki. Waszyngton dawno odwołał wspieranie Ukrainy „tak długo, jak to będzie potrzebne", a Trump narzucił Europie komercyjny model finansowania dostaw uzbrojenia dostarczanego dla Kijowa. Nawet wyznaczył jego kwotę – na miliard dolarów miesięcznie w 2026 r.

To jednak haracz w zbożnej sprawie, który europejskie kraje bez szemrania zgodziły się płacić. Mają bowiem świadomość, że dopóki Europa nie odbuduje potęgi wojskowej i technologii zbrojeniowej, razem z Ukrainą jest od Amerykanów zależna. Polska do tej zrzutki dołożyła niedawno dość skromne 100 mln dol., ale podkreśla swoją rolę jako centrum logistycznego w dostarczaniu większości pomocy zbrojeniowej. I taki status chce utrzymać, gdy inni planują coś znacznie więcej.

Misja wojskowa krajów podejmujących zobowiązanie zapewnienia Ukrainie większego bezpieczeństwa po zawarciu rozejmu z Rosją ma być kamieniem węgielnym obudzonej europejskiej świadomości strategicznej. Nie ma dziś jasności, czy europejskie kontyngenty będą rozmieszczone bliżej linii frontu, czy dalej od niej, nikt do końca nie wie, jak liczne będą i jaką bronią mają dysponować. Ale w ostatecznym scenariuszu chodzi nie tylko o demonstrację siły, a o faktyczną zdolność do podjęcia walki, w tym o daninę krwi. A jeśli europejskie wojska miałyby być zdolne do walki z Rosją, oznacza to wyposażenie ich na najwyższym możliwym poziomie i wsparcie całą dostępną Zachodowi potęgą militarną.

Moskwa stawia sprawę jasno – jeśli siły z państw NATO, nawet pod innym niż sojuszniczy parasolem, znajdą się w Ukrainie, to w razie eskalacji będą uzasadnionym celem ataku. A zatem europejska misja wojskowa w Ukrainie musi być uzbrojona po zęby, na znacznie wyższym poziomie, niż były wcześniejsze wielonarodowe misje na Bliskim Wschodzie. Przeciwnik jest bowiem silniejszy i groźniejszy, już nie asymetryczny, ale równorzędny, zaprawiony w boju i pod wieloma względami tak samo lub bardziej przystosowany technologicznie. Zachodnie armie wciąż wdrażają, z różnym rezultatem, wnioski z wojny w Ukrainie, co sprowadza się głównie do upowszechniania technologii dronowych. Nigdy jednak nie były zmuszone do starcia z przeciwnikiem, który – obok Ukrainy – osiągnął w tej dziedzinie najwyższy poziom. Czy to lęk przed Rosjanami rodzi polski opór?

Przesunięcie na wschód

Sprawa jest poważniejsza niż perspektywa dronowego, powietrznego czy pancernego starcia z Rosją. Chodzi o faktyczne, choć na razie bez traktatowego poszerzenia NATO czy Unii Europejskiej przesunięcie geostrategicznych granic Europy daleko na wschód, aż do obecnej linii kontaktu z rosyjskimi najeźdźcami. Obszar dozoru, monitoringu i obrony sięgałby o tysiąc kilometrów dalej od najbardziej wschodniego krańca Polski – Pokrowska, Kramatorska i Słowiańska, o ile Ukraina nie odda ich Rosji w porozumieniu lub w wyniku przegranej na polu bitwy. Granice wojskowej styczności Rosji i zachodniego bloku, jakkolwiek go nazwiemy, wydłużyłyby się niemal dwukrotnie i znacznie ▶

eprasa.pl 99f292badc

skomplikowały. A już teraz obszar NATO w Europie jest trudniejszy do obrony wobec tego, co było zadaniem Sojuszu w końcowej fazie zimnej wojny.

Rozważane obecnie najwyżej kilkutysięczne kontyngenty, jakie do Ukrainy miałyby wysłać największe kraje koalicji chętnych, to za mało, by myśleć o takim ufortyfikowaniu, jakie miało miejsce w zachodnich Niemczech w latach 80. Bardziej przypominać to ma schemat wysuniętej obecności, jaką NATO zastosowało na swojej wschodniej flance w reakcji na rosyjską agresję. Coś więcej niż potykacze, ale mniej niż zapory. Bo Ukraina ma swoją własną armię, większą i skuteczniejszą niż większość państw NATO. W całej koncepcji chodzi też o to, by tę sprawdzoną w boju siłę zintegrować w obronie Europy. Efektem ma nie być ubytek europejskiego potencjału, a jego zwiększenie. Ale to też Polski nie przekonuje na tyle, by bezpośrednio w tym uczestniczyć.

Ofiary polityki sondażowej

Przytaczane argumenty na pierwszy rzut oka brzmią sensownie: mamy swoją odpowiedzialność, przede wszystkim bronimy własnego terytorium, mamy co robić w regionalnych planach obronnych NATO, wciąż nabieramy siły, ale jeszcze nie jesteśmy potęgą, mimo wszystkich haseł o trzeciej czy drugiej armii w NATO. Bez wątpienia, dla obrony Ukrainy zrobiliśmy więcej niż niejeden lider obecnych statystyk, bo w skali takiej, jaka zawstydza bogatsze kraje, jeśli chodzi o darowany sprzęt wojskowy i otwarcie kraju na wojennych uchodźców.

Przy wsparciu sojuszników utrzymujemy przepustowość kluczowego korytarza logistyczno-transportowego z centrum w Rzeszowie. Na polskich poligonach szkolą się tysiące ukraińskich żołnierzy. To wszystko zasługi, którymi Polska może się szczycić, ale paradoksalnie – dowodzą posiadania wszelkich zdolności i potencjału, by móc zrobić coś więcej. W żaden sposób nie tłumaczą jednak wewnętrznej blokady, by ten krok uczynić.

Ponad 200-tysięczna polska armia byłaby w stanie spokojnie wydzielić batalion, a nawet wystawić dowództwo brygady w wielonarodowych siłach w Ukrainie. Polscy szkoleniowcy łatwo mogliby przenieść się na ukraińskie poligony. Doświadczenie logistyków byłoby bezcenne, gdy po otwarciu przestrzeni powietrznej nad Ukrainą wszelkie wsparcie będzie można dostarczać bliżej.

Przyjrzenie się z bliska systemom dronowym i antydronowym, a przede wszystkim ukraińskiej broni dalekiego zasięgu, byłoby dla nas nie do przecenienia, gdy już otwarcie mówimy o odstraszaniu przez karę, a nie tylko w obronie własnej. Korzyści można mnożyć, choć koszty też by były, a w sytuacji ekstremalnej być może nawet ofiary. Na Bliskim Wschodzie w koalicyjnych operacjach zbrojnych życie straciło ponad 40 Polaków, a jednak dwie dekady tam byliśmy.

Żeby to wszystko robić, warto i trzeba być w Ukrainie na miejscu, nie tylko w delegacjach. Przede wszystkim dla kontaktów, weryfikowania w praktyce i naocznie tego, co mówi się przy stołach obrad. Dla zawierania więzi bliższych i ważniejszych niż spisane na papierze, bo rodzących się we wspólnych patrolach, gdy pomagać sobie nawzajem i chronić się wzajemnie trzeba naprawdę, a nie deklaratywnie. Ostatecznie też, by podglądać to, czego na pokaz z różnych powodów się nie wystawia. To też gra o przyszły układ sił i bilans korzyści. Niezależnie od tego, ile kto zrobił w przeszłości i czym się wykazał, Ukraińcy koniec końców będą oceniać to kto, co i jak jest gotów robić wspólnie z nimi w przyszłości. Wdzięczność nie jest silną walutą w tym przetargu,



Czy Polska, mając na ustach świętość sojuszy i licząc na wsparcie w potrzebie, sama nie stosuje cynicznego realizmu, w typie Poland First?

tym bardziej gdy bywa wymuszana pretensjami. Ale zarówno biznesowa racjonalność, jak i strategiczna myśl Polski jest spętana kajdanami sondażowej polityki, w której radykalizm zajął miejsce rozsądku.

Żołnierze jako inwestycja

Dwie ostatnie kampanie wyborcze zatruły klimat relacji z Ukrainą i wykrzywiły podejście opinii publicznej zarówno do udzielania jej pomocy, uwzględniania w polskiej wizji europejskiego ładu, jak i korzystania z jej osiągnięć. O ile wybory parlamentarne w 2023 r. toczyły się jeszcze na fali oporu wobec rosyjskiej napaści, a nawet z nadziejami na ukraińskie zwycięstwo, o tyle te prezydenckie z ubiegłego roku przebiegały już w zupełnie innych emocjach. Sondaże pokazują ten regres wyraźnie. Hasło „nie naszej" wojny z politycznego marginesu weszło do głównego nurtu, tak samo jak rozpowszechniły się poglądy o wykorzystywaniu przez Ukraińców polskiego socjalu, edukacji i opieki zdrowotnej. Młodych mężczyzn w dobrych autach uznano za symbol ukraińskiego cwaniactwa, w sumie za symbol Ukrainy w ogóle. Politycznym tematem stała się wołyńska masakra, kult Stepana Bandery i żądanie od dzisiejszych Ukraińców przeprosin, nawet w trakcie wojny, nawet od napadniętych.

Powszechne w Europie zmęczenie wojną zaczęło w Polsce korespondować z poglądem o ukraińskiej „niewdzięczności" za istotnie ogromną polską pomoc z pierwszych miesięcy wojny. Wytworzyła się z tego, przy ogromnym udziale wspieranej aktywnie przez Rosję internetowej propagandy, mieszanka paraliżująco-duszająca. Paraliżowała ona proukraińską aktywność i dusiła głosy, które w normalnych realiach hołubilibyśmy jako dziedzictwo poglądów Piłsudskiego i Giedroycia, wyznaczające myślenie mapą, pozwalające Polsce być podmiotem, a nie przedmiotem europejskiego bezpieczeństwa. Brak wojskowej obecności w Ukrainie może być przekreśleniem szans, o których uświadomienie apelowali ojcowie naszej niepodległości.

Obecna polityczna narracja rozmija się z polską wojskową tradycją tych, co bili się „za naszą i waszą wolność". Premier Donald Tusk, w kontrze do antyukraińskich haseł, w ślad za poważnymi przywódcami w Europie, przyznał w ubiegłym

© ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 99f292badc

roku, że Ukraina to też „nasza wojna", ale do drugiego szeregu (bo pierwsi z bronią w ręku i tak będą Ukraińcy) wysyła Francuzów, Brytyjczyków czy Szwedów. Czy Polska, mając na ustach świętość sojuszy i licząc na wsparcie w potrzebie, sama nie stosuje cynicznego realizmu, w typie Poland First? Kłopot w kopiowaniu Trumpa, który właśnie obraził sojuszników, zarzucając NATO (nam też!) dekownictwo, polega na tym, że to Trump oczekuje od Europy (też od nas!), by się Ukrainą zajęła.

Taki odwrót od współodpowiedzialności to w Polsce nie nowość. Pierwszym, który od czasu wejścia Polski do NATO zaczął mówić językiem wycofania, był prezydent Bronisław Komorowski. Jego pamiętne słowa z 2013 r. o tym, że Polska nie będzie już wysyłać wojska na antypody świata, miały przynieść koniec doktryny ekspedycyjnej, związanej z udziałem w misjach wojskowych u boku USA na Bliskim Wschodzie. Zamiast tego mieliśmy się skupić na obronie traktatowego terytorium NATO. Był to okres ochłodzenia relacji polsko-amerykańskich w drugiej kadencji Baracka Obamy, po tym jak nie tylko odwołał on projekt tarczy antyrakietowej, ale zmniejszył nawet zdolności inwestycji zastępczej, znanej dziś jako baza antyrakietowa NATO w Redzikowie.

Ale zmniejszenie polskiego udziału w dalekich operacjach nie bardzo wyszło, bo Warszawa nie zrezygnowała z takiej aktywności w formatach ONZ, Unii Europejskiej, a przede wszystkim NATO. Wciąż mieliśmy przekonanie, że wysyłanie żołnierzy za granicę to inwestycja w sojusze i obrona tego międzynarodowego porządku, który przyniósł Polsce sukces po rozpadzie ZSRR. Że po to jest Wojsko Polskie i żołnierze.

Współpraca z Amerykanami z czasem odzyskała priorytet, więc już za prezydentury Andrzeja Dudy i pod rządami PiS Polska po raz pierwszy wysłała na Bliski Wschód myśliwce F-16, choć do lotów rozpoznawczych. Dzisiaj Wojsko Polskie obsługuje 10 zagranicznych kontyngentów o różnej liczebności i znaczeniu, od symbolicznej misji w Republice Środkowej Afryki (dwóch oficerów), poprzez Morze Śródziemne, Turcję, Irak i Liban, aż po wschodnią flankę NATO z liczącymi po kilkuset wojskowych siłami w Rumunii i na Łotwie, rozmieszczonymi w ramach podobnego schematu, jak ten przewidywany przez koalicję chętnych dla Ukrainy. Równocześnie Polska jest krajem – gospodarzem dla kontyngentów sojuszniczych z USA, Wielkiej Brytanii, Rumunii i Chorwacji, a okazjonalnie gości Niemców, Holendrów, Hiszpanów, Norwegów czy Szwedów. Wypracowanym przez lata modelem zarządzania tym wielonarodowym wojskiem też moglibyśmy się z Ukrainą podzielić.

Płaćmy, bo zapłacimy

Polska jako „zaplecze logistyczne" dla żołnierzy innych krajów stacjonujących w Ukrainie to za mało. Udostępnienie baz dla sojuszniczego lotnictwa, włączenie obrony powietrznej we wspólny system, wysyłanie nad Ukrainę samolotów i bezzałogowców, udostępnianie zdjęć satelitarnych – sposobów zaangażowania bez „butów na ziemi" jest sporo. Ale nie możemy z góry odmawiać bezpośredniego udziału w ukraińskiej misji.

Ważne, by nie trzymać się tyłów, gdy Europa uświadamia sobie swoje obronne obowiązki i obszar odpowiedzialności daleko wykraczający poza zwyczajowe, umowne i polityczne granice kontynentu. Gdyby Polska sobie z tym wyzwaniem nie poradziła, wcześniej czy później za to zapłaci.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

REKLAMA

Aplikacja POLITYKA



Czytaj, słuchaj, oglądaj

- ✓ Bieżące wydarzenia
- ✓ Pogłębione analizy
- ✓ Teksty z Tygodnika Polityka
- ✓ Podkasty i wideo naszych autorów
- ✓ Możliwość słuchania najlepszych tekstów

POBIERZ W Google play

POBIERZ W App Store

eprasa.pl 99f292badc



Polska lombardia

ZBIGNIEW BOREK

Polska widziana z lombardu się bogaci, ale ludzie bywają coraz biedniejsi.

Dostane. Znalezione. Załatwione. Wzięte na raty. Wzięte na abonament („ale obiecuję, że będę spłacał"). Przywiezione z Niemiec. Od kolegi za współpracę. Jako zapłata za pracę. Gratis. Z działki. Nie interesuj się. Takie źródła pochodzenia przedmiotów podają klienci lombardu w Drezdenku (Lubuskie). Zastawiają je albo od razu sprzedają, a obsługa lombardu nagrywa transakcje i rozmowy (o ile klienci wyrażą

eprasa.pl 99f292badc





Pan i Majster z lombardu w Drezdenku. U góry: **Ufoludek, stały bywalec.**

zgodę). Na ten pomysł wpadł trzy lata temu Pan z Lombardu (Damian Iwańczuk), a Majster (Jakub Tyranowicz) ochoczo przystał.

Zaczynali od nagrywania jedną komórką z ręki, dziś pięć komórek na statywie, szósta za plecami klienta, siódma za obsługującym, w razie potrzeby ósma ruchoma wjeżdża na blat. Zatrudnili też profesjonalnego montażystę. Nagrali już 322 odcinki, co czwartek o godz. 17 premiera kolejnego. Najpopularniejsze mają ponad milion wyświetleń, a cały paradokumentalny serial „Prawdziwy lombard" z 10-tysięcznego miasteczka dorobił się ponad 800 tys. subskrybentów. Ma internetowy fandom (zbitka słów: fan i kingdom, czyli królestwo), który relacjonuje odcinki i barwnie opisuje bohaterów.

Cud nad Odrą

Dalton (umiejętności specjalne: wspinanie się na pomnik na rynku w Drezdenku) słynie z przynoszenia do lombardu rzeczy zdobytych w sposób nie do końca etyczny. W odcinku 168. niebieską „muchawę" chce sprzedać za 110 zł, schodzi na 50 zł, Majster jednak propozycję odrzuca, bo zimą nikomu niepotrzebna (ta jednak wraca w odcinku 194. przyniesiona przez Tarana, tym razem jako dmuchawa). Telefoniara najczęściej zastawia telefon, żeby zdobyć środki na zakupy. Po każdej wizycie planuje zakup nowego telefonu. Pan Mareczek, emeryt, zastawia rower – nie potrafi zliczyć, który to już raz. Gargamel żyje z renty socjalnej. Został ranny w kolizji i z 34 złamaniami uzyskał pierwszą grupę inwalidzką. Walczy o odszkodowanie, sąd zleca mu badania po całej Polsce, za co Gargamel musi sam płacić, dlatego zastawia. Najczęściej srebrny łańcuch o splocie singapurskim za 70–100 zł (zawsze go odbiera). W odcinku 300. opowiada, jak został pobity, przez to kulał, upadł i uszkodził dysk w kręgosłupie, a przewlekły pobyt w domu sprawił, że Gargamel miał do opłacenia wysoki rachunek za prąd i kablówkę: 620 zł.

Najbardziej znaną postacią uniwersum lombardu w Drezdenku jest 27-letni Ufoludek (umiejętności specjalne: niewdzięczność i zaklęcie „to na pewno odbiorę"). Przynosi drobnicę, chce 10–50 zł pożyczki, pojawia się w co drugim odcinku, w realu codziennie. – *Coś się zastawi, coś się wykupi, z chłopakami pogada* – mówi. Ze szkół ukończył podstawową, w zawodowej miał się uczyć na mechanika czy jakoś tak, ale nie zaczął. Chwyta robotę, jaka się trafi, ostatnio kładzie bruk. W serialu występują też jego rodzice. Ojciec nie pracuje, ponieważ opiekuje się żoną, która choruje na padaczkę alkoholową. Mama Ufoludka specjalizuje się w zasiłku.

– *Łatwo w życiu nie miałem* – wyznaje Ufoludek. Dzięki serialowi próbował sił we freak fighcie, obce dziewczyny chciały z nim selfie, widzowie wysyłają mu prezenty: płacą za coś, co jest w lombardzie, Ufoludek zaś to odbiera. A potem zastawia za dużo niższą kwotę. Proceder ten powtarza tak długo, aż skończą mu się pieniądze. W odcinku 215. dostaje Samsunga za 1 tys. zł. ▶

© ZBIGNIEW BOREK (2)

eprasa.pl 99f292badc

▶ Oświadcza, że widzowie się „postarali”, kilka odcinków później próbuje opchnąć telefon za 200 zł, w końcu wstawia go (ze zbitym już ekranem) do lombardu za 80 zł.

W lombardzie objawia się także Cud Odrzański: po przekroczeniu granicznej rzeki przedmioty zmieniają status z „kradzionego” na „załatwiony”.

Mieć, by żyć

Nie wszystko i nie wszyscy trafiają do serialu. Na ekranie nie widać, jak klienci piją, ćpają, biorą używki. Zadbani, uczesani, wypsikani perfumami zmieniają się w cuchnących meneli. Właściciele firm budowlanych (jak się przedstawiają) wstawiają drogie narzędzia, bo kontrahent ich wystawił, a oni muszą wypłacić załodze pensje. Chybieni inwestorzy: kupują złoto za 36 tys. zł, a po paru tygodniach odsprzedają za 10 tys. zł. Królowie życia po wypłacie pensji albo zasiłku: wykupują zastawione przedmioty i jeszcze kupują w lombardzie to, co im wpadnie w oko, bo mają pieniądze, a kilka dni później znów zaczynają zastawiać, bo pieniędzy już nie mają. – *Coraz mniej jest wśród nich autentycznie biednych, coraz mniej młodych* – zauważają Pan z Lombardu i Majster, obaj w biznesie już niemal dekadę. Ich zdaniem Polska widziana z lombardu mimo wszystko się bogaci.

Tego samego zdania jest Krzysztof Kramarzewski, który w branży jest ponad ćwierć wieku. – *Przez lombard przechodzi cała współczesna cywilizacja* – mówi. Ma swój punkt na szczycie bloku przy ul. Orzechowej na wrocławskim Osiedlu Gaj. Świetnie pamięta przełom wieków: drobne pożyczki na fanty wyniesione z domu, „bo mi stara nie dała na piwo”, zadłużonych na życie, którym pieniądze dawał już tylko lombard, oraz złotą erę komórek, gdy każdy mógł już mieć swój telefon i co rusz wchodziły nowe modele z lepszym wyposażeniem albo dogodniejszymi taryfami.

Po drodze były walkmany, discmany, MP3, wideo, CD, DVD, nawigacje, płaskie telewizory, pendrive’y, dyski przenośne, a w budowlance akumulatorowe wkrętarki i elektroniczne dalmierze zamiast składanych miarek. – *Nawet tych biednych stać teraz na rzeczy, o których 20–30 lat temu, o komunie nie mówiąc, nikt by nie pomarzył. To kwestia tańszej technologii, ale i większej siły nabywczej. Kiedyś dawałem po 300 pożyczek w miesiącu na 20–50 zł, a potem 50 pożyczek, ale na kilkaset złotych czy tysiąc. Dawniej klienci zastawiali się, bo brakowało im na ZUS, podatek czy żywność, a potem coraz częściej dlatego, że chcieli kupić coś lepszego czy nowocześniejszego* – opowiada Kramarzewski.

– *Ludzie zubożeli, choć posiadają coraz więcej. Kiedyś zastawiali i sprzedawali złoto, dziś inwestują w długi* – uważa z kolei Adrian Mroczkowski. Prawie 30 lat temu ukończył technikum samochodowe, warsztat mu się nie uśmiechał, mama wciągnęła go do lombardu. W 90-tysięcznej Legnicy mieli trzy lombardy i dwoje pracowników, teraz pracują sami, a udaje się tylko dlatego, że mama dostaje emeryturę. Mają już tylko jeden lokal – w zniszczonej poniemieckiej kamienicy przy ul. Senatorskiej: kilka schodków, dużo krat, ciasnota. Klientela w większości znajomo osiedlowa. Niektórzy przychodzili tu jako dzieci z dziadkami czy rodzicami, teraz targają własne pociechy. Eksperci nazywają to dziedziczeniem biedy, pan Adrian – bezwstydem. – *Nie jest przecież tajemnicą, że dzieci uczą się od dorosłych. Ja w każdym razie swoich dzieci bym ze sobą do lombardu nie zabierał.*

Z lat 90. pamięta klientów, którzy usiłowali wstawić nawet węgiel z socjalu. Na porządku dziennym były rowery, radia, telewizory, zegarki, ale też łańcuszki, pierścionki, kolczyki czy obrączki ze złota czy srebra, własne albo przodkach. – *Część szło „na przelew”, ale wielu klientów rzeczywiście nie miało z czego żyć. Można było ich poznać na pierwszy rzut oka po byle jakim ubraniu. I po tym, że akurat oni się wstydzili* – mówi Mroczkowski. Ci ostatni potrafią się z tej biedy jeszcze wyrwać, ale inni już rzadziej, bo „za bardzo chcą mieć już, teraz, zaraz”. – *Nie potrafią oszczędzać, więc się zadłużają albo wyprzedają, albo jedno i drugie. Chęć posiadania jest silniejsza od nich* – uważa.



Kadr z filmu „Lombard. Życie pod zastaw”. Trwają właśnie zdjęcia do 18. sezonu.

Skrajny przykład: matka ośmiorga dzieci. Najstarsze pracuje, na siedmioro przysługuje 800 plus, do tego zasiłki i alimenty, ale ciągle bez pieniędzy, za to z nowymi gadżetami. Prąd jej odcięli, założyła na partnera. Dalej nie płacili, znów odcięli. Do lombardu wstawi laptop, tablet, konsolę PSP, drogą zabawkę. Raz wykupi, raz nie. Telefon wykupi, jak nie swój, to dziecka, chyba że nie jest najnowszy. Wtedy kupi nowy w salonie, żeby później też go w końcu zastawić lub odsprzedać.

– *Ja mam jeden telefon i drugi z mamą na firmę, oni po trzy, cztery, pięć, do każdego karty SIM i zapasowe karty SIM. Nie wiem, kto i dlaczego im to sprzedaje, ale zawsze znajdą sposób, żeby kupić. I prędzej czy później to ląduje u nas* – mówi Adrian Mroczkowski. Jak zauważa, kredytów już mają po korek, debety wysuszone, a lombard jest dla nich źródłem bezstresowej gotówki: pieniądze dostają od ręki, jak coś zastawią, to mogą całkiem legalnie nie odebrać, nikt nie będzie miał pretensji, nikt nie naśle komornika. Żyją w rytmie „sprzedaj–zastaw–kup”. W długu. Na styk. Nie uznają tradycyjnych pór roku, tylko lombardowe: na wakacje, rok szkolny i święta kupują i wykupują (trzeba się pokazać), pomiędzy – sprzedają albo zastawiają (trzeba związać koniec z końcem).

– *Tracą na godności. Ci, co mają pracę, nie chorują. Jak im coś dolega, nie idą do lekarza, nie biorą zwolnień. Nie stawiają się pracodawcy, bo boją się utraty pracy. Bez tego trudniej im będzie kupować na raty, a potem sprzedać albo zastawić* – mówi Mroczkowski. I dodaje: – *Nie mają nic trwale wartościowego. To, co mieli, już dawno sprzedali albo zastawili, a przedmioty ze świata współczesnych technologii tanieją z miesiąca na miesiąc.*

Jedna trzecia ceny

Prawie 4,5 mln Polaków (14 proc.) zastawiło lub sprzedało jakiś przedmiot w lombardzie – podaje raport „Rynek lombardów w Polsce – nieprawidłowości, ochrona konsumentów,

eprasa.pl 99f292badc





Obok: **witryna serialowego lombardu we wrocławskiej Nowej Cukrowni.**

ryzyko systemowe" Związku Przedsiębiorców i Pracodawców (ZPP) z maja 2021 r. To pierwsza i dotychczas jedyna analiza całej branży. Wynika z niej, że większe doświadczenia z lombardami mają mężczyźni niż kobiety, mieszkańcy wielkich miast (powyżej 500 tys.), osoby z wykształceniem zawodowym, oceniające swoją sytuację materialną jako słabą. 18 proc. spośród klientów, którzy coś sprzedali albo zastawili, twierdzi, że pieniędzy brakuje im nawet na najpilniejsze potrzeby. 29 proc. musi rezygnować z wielu rzeczy, żeby starczyło na życie. 14 proc. nie stać na większe wydatki. Mniej doświadczeń z lombardami deklarują osoby w wieku 55 plus z miejscowości do 100 tys. mieszkańców, posiadające wyższe wykształcenie i pozytywnie oceniające swoje finanse. Tylko 7 proc. klientów deklaruje, że mają oszczędności i jednocześnie stać ich na większe wydatki.

Według raportu znaczna grupa konsumentów w Polsce przestała spełniać kryteria udzielania pożyczek gotówkowych. „Lombardy nie są już traktowane wyłącznie jako ostatnia deska ratunku albo akt desperacji. W okresie utraty zarobków lub dużej niepewności zatrudnienia stały się one wygodną i szybką formą pozyskania gotówki bez zobowiązań" – komentowała prof. Dominika Maison, autorka badania na zlecenie ZPP i specjalistka psychologii konsumentów (cytat za infor.pl). Jej zdaniem dla klientów lombardów pieniądze mają często wartość subiektywną. Nie porównują możliwych opcji ich pozyskania, nie analizują kosztów zawieranej transakcji, działają spontanicznie, bo nie zależy im już na zastawianym lub sprzedawanym przedmiocie, ale na gotówce.

Z raportu wynika, że rynkiem rządzi wolnoamerykanka: średnia wycena przedmiotu oddawanego do lombardu to 35 proc. jego rynkowej wartości. Można zastawić nawet garaż, ciągnik rolniczy czy luksusowy samochód osobowy (o 50 tys. zł taniej niż w komisie). Klienci nie poznają treści umów przed podpisaniem, nie informuje się ich o faktycznych kosztach pożyczki, limity kosztów pozaodsetkowych są omijane, a lombardy udają, że nimi nie są (jeden działał nawet jako sklep mięsny). W ocenie autorów raportu liczba lombardów wahała się od 3 tys. (tyle miało wpisany odpowiedni kod w Polskiej Klasyfikacji Działalności) do 40 tys. (dla porównania: Żabka ma 12 tys. sklepów).

To już jednak przeszłość. Na podstawie raportu ZPP zaostrzono przepisy. Od 2024 r. działalność lombardowa wymaga założenia spółki z o.o. albo akcyjnej z minimum 50 tys. zł kapitału zakładowego i rejestracji w Komisji Nadzoru Finansowego. „Bardziej restrykcyjne prawo obejmujące lombardy nie spowolniło ich wzrostu. W sześć miesięcy powstało ich niemal 100, łącznie zaś działa już ponad 8,5 tys." – donosił w sierpniu 2024 r. Dun & Bradstreet Poland, dostawca analiz biznesowych (za „Rzeczpospolitą"). Jak informuje POLITYKĘ Jacek Barszczewski, szef departamentu komunikacji społecznej KNF, obecnie w rejestrze jest 230 przedsiębiorców, którzy prowadzą w kraju 1,2 tys. placówek lombardowych. – *Sieciówkom w to graj, ale małemu biznesowi trudno sprostać wymogom* – komentuje Adrian Mroczkowski z Legnicy. Lombard Mroczkowskich to już formalnie nie lombard, tylko „skup i sprzedaż": nie można wziąć pożyczki pod zastaw, ale można odkupić to, co się sprzedało. Wielu klientów nie widzi specjalnej różnicy. Z tego rozwiązania skorzystał też Krzysztof Kramarzewski z Wrocławia, który skupuje i sprzedaje biżuterię.

Selfie z bohaterami

Lombardy w klasycznym wydaniu znikają z ulic polskich miast, ale w popkulturze wciąż są obecne. Trwają właśnie zdjęcia do 18. sezonu serialu „Lombard. Życie pod zastaw" (premiera wiosną 2026 r.), który Telewizja Puls emituje już dziewiąty rok. Serial o perypetiach pracowników (w roli właściciela Zbigniew Buczkowski) i klientów tytułowego lombardu zdobył pięć Telekamer Tele Tygodnia. Jest nagrywany w Nowej Cukrowni (przed wojną była tu fabryka cukru), ceglanym budynku przy ul. Nowohuckiej we Wrocławiu, który odwiedzają fani z całej Polski. – *Wejść za ladę, zrobić selfie z bohaterami* – zdradzają swój plan Agnieszka i Grzegorz oraz ich 17-letnia córka Wiktoria z Nowego Miasteczka w Lubuskiem. Na Nowohuckiej są drugi raz i znów pocałowali klamkę, bo nie wiedzieli, że ten lombard to fikcyjny obiekt stworzony na potrzeby telewizyjnej produkcji.

Internetowy serial nakręca ruch w „Prawdziwym Lombardzie" (działa w sieci Loombard): obroty w Drezdenku bywają takie jak w 100-tysięcznych miastach. Klienci chwalą się, że coś tu wystawili/sprzedali/kupili, marzy im się też rola w serialu albo choć zdjęcie z jego bohaterami. Ostatnio fani z Poznania w zamian za taką fotkę sprezentowali Ufoludkowi grę komputerową. Ten nawet nie czekał, aż odjadą: przy nich wstawił gierkę do lombardu.

ZBIGNIEW BOREK

© CANAL+, ZBIGNIEW BOREK

eprasa.pl 99f292badc

Superbelferka

Ewa Drobek, anglistka i germanistka z warszawskiego XV Liceum im. Narcyzy Żmichowskiej, jedna z 10 najlepszych nauczycieli na świecie, wyróżnionych w konkursie Global Teacher Prize, o tym, skąd brać napęd w trudnych dla edukacji czasach.

Ewa Drobek – nauczycielka, wychowawczyni i inicjatorka wielu projektów edukacyjnych. Otrzymała m.in. Global Teacher Award 2019 (jako jedna z dwóch nauczycieli z Polsce), zdobyła tytuł Skutecznej Kobiety Roku 2021 w kategorii edukacja, była finalistką konkursu Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata". Do wszystkich konkursów, w których brała udział, zgłosili ją uczniowie. Finał Global Teacher Prize odbywa się w Dubaju od 3 do 5 lutego.

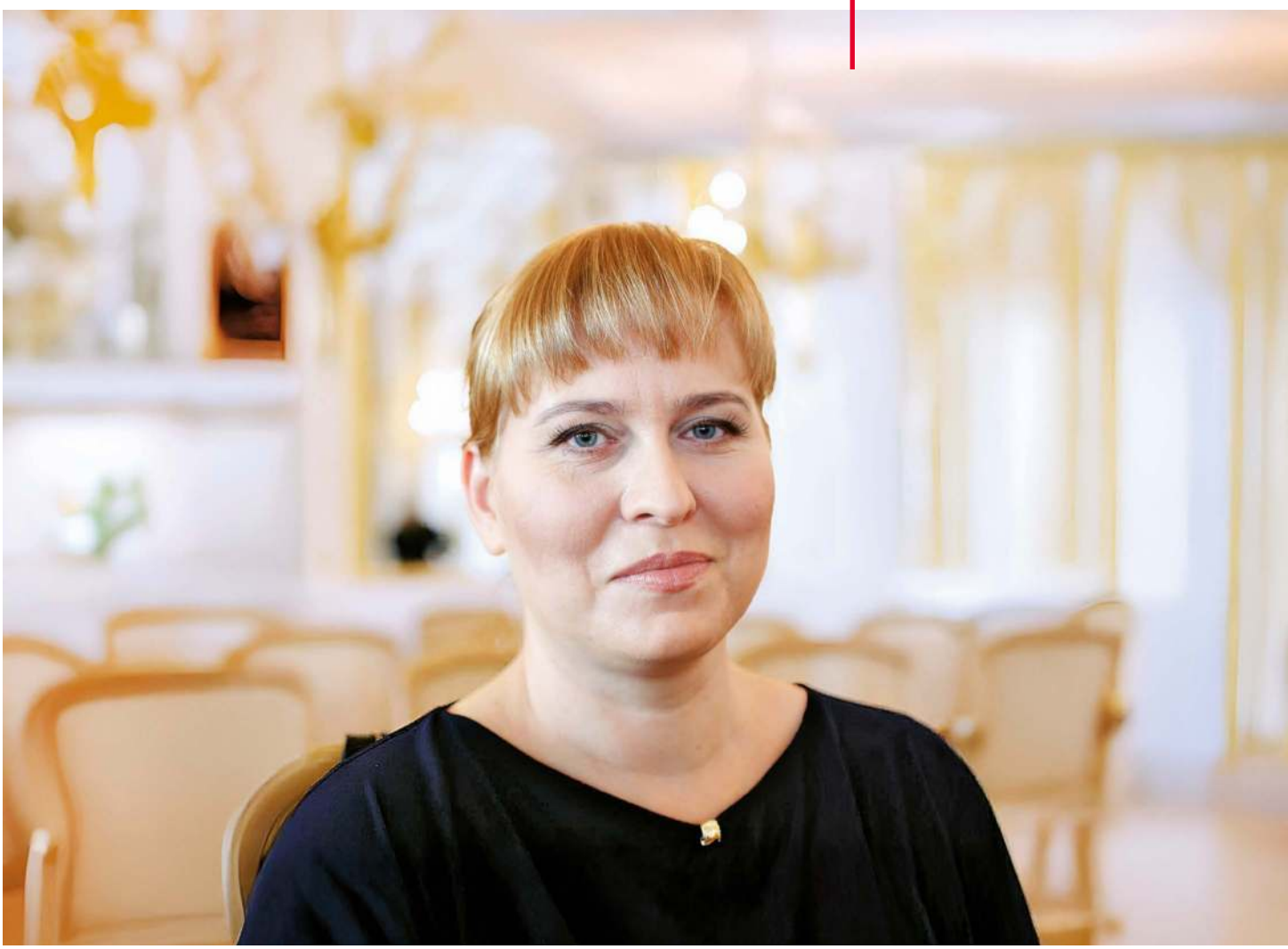

JOANNA CIEŚLA: **– Podobno straszna z pani piła…**

EWA DROBEK: – Pewnie. Uważam, że w szkole trzeba stawiać wymagania i trzymać się zasad. Była zapowiedziana klasówka, to będzie klasówka. U mnie nie ma migania się ani „jazdy na opinii". Trzeba uczyć młodzież, że do sukcesu prowadzą ciężka praca i konsekwencja. Ale trzeba też młodym ludziom dawać zrozumienie i życzliwość. Bez tego nie da się zbudować zaufania, a bez zaufania trudno razem pracować.

Nauczycielka z umęczonej polskiej oświaty trafia do elity najlepszych pedagogów na świecie – tak postrzega się grono wyróżnionych w konkursie Global Teacher Prize, w którym jest pani w ścisłym 10-osobowym finale. I możliwe, że wygra pani tę światową nagrodę, okrągły milion dolarów. Jak to wszystko się stało?

Moja szkoła akurat nie jest umęczona. Bardzo chciałam w niej pracować i do dziś uważam, że dobrze wybrałam.

Chciała pani, ponieważ?

Ponieważ bardzo mnie inspiruje postać Narcyzy Żmichowskiej, patronki naszego liceum, wielkiej polskiej feministki. Ona stanowczo stawiała na dziewczyny, na kształcenie ich, aby były osobami niezależnymi, krytycznie myślącymi, żeby znały języki, przejmowały

© JOANNA MIKLASZEWSKA

eprasa.pl 99f292badc

odpowiedzialność. Współcześnie mówiąc, żeby wyrastały na prezeski. Było też dla mnie ważne, że w naszej szkole pracuje liczne grono nauczycieli autorytetów, od których mogę się uczyć. Ale faktycznie nawet u nas widać drugą stronę, odbijającą trudną kondycję polskiej oświaty. Nie ma zastępowalności pokoleń wśród nauczycieli. Młodych pracuje u nas dziesięciu.

A łącznie jest ilu?

Około 60. Większość z nich za kilka lat odejdzie na emeryturę. I szkołę albo trzeba będzie zamknąć, albo przyjąć ludzi bez doświadczenia, z innych branż, jeśli znajdą się chętni. Bo na studiach nauczycielskich też wieje pustką. A wbrew temu, co się czasami mówi, chaty naszej pracy nie wykonają. W jednej z rozmów w trakcie aplikacji w konkursie zapytano mnie, co powiedziałabym ministrowi edukacji, gdybym zacięła się z nim w windzie. Odpowiedziałam, że chciałabym, żeby nasza ministra uważniej słuchała praktyków, którzy stoją przy tablicy przez kilkadziesiąt godzin tygodniowo. I żeby wspierała takie organizacje jak Teach for Poland – polski oddział międzynarodowej organizacji, która zachęca do pracy w szkole osoby o wyjątkowych talentach, doświadczeniach i empatii.

I udało się pani powtórzyć ten apel w realnym życiu.

Tak, pani ministra zaprosiła mnie niedawno na spotkanie. Wzięła ode mnie numer do Katarzyny Nabrdalik, prezeski Teach for Poland. I obiecała, że zrobi, co w jej mocy, żeby rzeczywiście wesprzeć tę organizację.

Na okoliczność aplikacji w konkursie Global Teacher Prize przeczytała pani 40 książek. Duża determinacja.

W tym nie chodziło o mnie. Ja mam prawie 50 lat. Wydawało mi się, że emocje konkursowe są już za mną, ale nasze dzieciaki strasznie się uparły, żeby mnie nominować do Global Teacher Prize.

Bo jest uważany za najbardziej prestiżowy. Nazywa się go nauczycielskim Noblem, m.in. ze względu na ten milion dolarów – tyle samo co dla laureatów Nagrody Nobla. I nikt z Polaków nie zaszedł w nim tak daleko jak pani.

To fakt. W każdym razie procedura wygląda tak, że informacja o nominacji przychodzi bezpośrednio na mail nauczyciela. Można zobaczyć, kto nas zgłaszał i za co. I szczerze mówiąc, kiedy te nominacje po kolei do mnie przychodziły – jedna, druga, dwudziesta, dwusetna, trzechsetna, to były niekiedy całe elaboraty o tym, dlaczego ktoś mnie nominuje, pomyślałam: matko droga, nie mogę zawieść tych dzieci. Chociaż później, gdy zorientowałam się, jakie są dalsze etapy tego konkursu, zrobiło mi się zrobiło słabo.

Takie trudne?

Specyficzne. Na przykład pierwsza selekcja, jak się dowiedziałam, jest robiona przez bota. To mnie trochę wyhamowało. No, ale uczniowie dalej mnie motywowali, więc rozmawiałam, czytałam książki. Wypełniłam aplikację, która składa się z 10 obszernych przekrojowych pytań, m.in. o warsztat nauczyciela, o współpracę z NGO-sami, o stosowane metody, które można powielić w innych szkołach w swoim kraju albo na świecie. Musiałam też zdobyć 10 rekomendacji z instytucji. Jedną z nich wystawił mi prof. Jerzy Hausner, który kiedyś powiedział mi komplement mojego życia. Zaprosił nas z programem „Żmichowska śpiewa!" do udziału w publikacji „Szkoły poza horyzont", obok kilku innych wspaniałych projektów szkolnych. Przy tamtej okazji profesor wyznał, że przypominam mu jego samego w czasach młodości. Wtedy ugięły się pode mną nogi. A teraz profesor napisał mi bardzo piękną rekomendację.

Właśnie za program „Żmichowska śpiewa!" młodzież najczęściej nominuje panią do kolejnych nagród. To pani ukochane dzieło?

Tak. Rozpoczęte przypadkiem, choć z drugiej strony w sposób znamienny dla realiów pracy polskiego nauczyciela. W 2013 r. na studniówce jedna z moich uczennic Dorota Sacewicz brawurowo zaśpiewała „Padam, padam" Edith Piaf. Pani dyrektor nachyliła się wtedy do mnie i mówi: „Pani Ewo, pani jest taka przedsiębiorcza. Skoro nasi uczniowie tak śpiewają, warto, żeby nagrali płytę. Na pewno znajdzie pani sposób".

A pani przyklasnęła?

Najpierw trochę się wkurzyłam. Bo oto jesteśmy sobie w przyjemnych uroczystych okolicznościach, eleganckie kreacje, zapach perfum, a ja dostaję kolejne zadanie do wykonania. W dodatku zupełnie dla mnie egzotyczne, bo nigdy nie zajmowałam się produkcją płyt, nie mam nawet muzycznego wykształcenia. Ale gdy kilka dni później powiedziałam na lekcjach o tym pomyśle, jeden z uczniów podszedł do mnie z informacją, że jego przyjaciel prowadzi studio nagraniowe i może mógłby nam pomóc. I rzeczywiście od tamtej pory co roku przeprowadzamy wśród uczniów casting – zgłasza się ponad setka osób, a z dziesiątką z nich nagrywamy profesjonalne płyty i koncertujemy. Dla niektórych naszych podopiecznych to wspaniała przygoda, dla innych początek zawodowej kariery muzycznej.

W pani życiu też ten program okazał się początkiem wielu kolejnych zdarzeń.

Tak – dalszych projektów niemożliwych. Na przykład w 2020 r. uczestnicy naszego programu Piotr Zubek i Janek Pentz przyszli do mnie z pytaniem, czy mogliby dać koncert w Watykanie dla papieża Franciszka. „Bo papież kocha Piazzolę". Chłopcy w gitarowo-wokalnym duecie rzeczywiście pięknie wykonywali jego utwory, ale ja nie miałam żadnych kanałów łączności z Watykanem. Wtedy też chciałam powiedzieć „dajcie spokój", ale też ujęła mnie wiara uczniów we mnie. Poprosiłam o pomoc ks. Damiana Wyżkiewicza, którego poznałam na gali konkursu Nauczyciel Roku w 2019 r., bo razem ze mną był wyróżniony. On również nie miał znajomości w Watykanie, ale po pewnym czasie przekazał mi adres mailowy z zaleceniem, żebym pod niego napisała.

Czyj to był adres?

„Kogoś z Watykanu". Ks. Damian nie wiedział, więc i ja nie wiedziałam, czy piszę do szeregowego księdza, do jakiegoś sekretariatu, czy bezpośrednio na prywatną skrzynkę papieża. Ale napisałam o marzeniu chłopaków. Dwa dni później oddzwonił do mnie jałmużnik papieski, kardynał Konrad Krajewski. Powiedział, że mail bardzo go poruszył i że przekaże sprawę w stosowne ręce. I po wielomiesięcznych ustaleniach udało się. Piotr i Janek zagrali i zaśpiewali dla papieża.

Niemożliwe nie istnieje?

Jakieś tam pewnie istnieje. Ale moi dziadkowie nauczyli mnie się nie poddawać. Sami przeżyli wojnę i obóz koncentracyjny i mówili, że człowiek nie może biadolić. Jak jest problem, to trzeba szukać rozwiązania. A w tym Watykanie koncert dla papieża był ważny, ale najważniejsze okazało się co innego. Chcieliśmy zrobić coś, co jakoś wynagrodzi dobro, które nas spotkało. Kardynał Krajewski zaproponował, żebyśmy zagrali dla osób bezdomnych z noclegowni. Byłam trochę przerażona, ale ostatecznie było to jedno z najwspanialszych przeżyć. Ci ludzie byli nam ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ tak gorąco wdzięczni i wzruszeni. My mieliśmy poczucie, że to przez to, że daliśmy im coś cenniejszego niż sama muzyka – uwagę i czas. Od tej pory z ekipą „Żmichowska śpiewa!" regularnie koncertujemy dla szczególnej publiczności – w trudnych sytuacjach, w szpitalach, ale też dla powstańców warszawskich. Tego też nauczyli mnie babcia i dziadek – żeby być człowiekiem otwartym na innych ludzi, żeby nie odwracać głowy.

Dziadkowie byli nauczycielami?

Nie. Przez wojnę każde z nich skończyło tylko siedem klas podstawówki. Ale właśnie to w nich najbardziej podziwiałam, że choć sami nie byli wykształceni, wpoili mi, że edukacja daje wolność. Sama to dziś dzieciakom powtarzam. Że jeśli będą się uczyć języków, to pojadą na studia na Harvard. I jadą.

Od dziecka chciała pani być nauczycielką?

Raczej nie. Chociaż też jako uczennica nie miałam ze szkołą problemu, nie przeżyłam żadnych urazów czy poważnych przykrości.

Myślę, że takie ukryte marzenie mogło w pani być. Absolwentka lingwistyki stosowanej, jednego z najbardziej atrakcyjnych kierunków, rozpoczyna pracę w gimnazjum – w latach 90. w najtrudniejszym miejscu systemu edukacji. To nie był oczywisty wybór.

To był przypadek. Znalazłam ogłoszenie, że szkoła potrzebuje nauczycielki. Miałam wolną chwilę, pojechałam na rozmowę. To gimnazjum było jednym z najgorszych w Warszawie. Bardzo trudne środowisko. Ale w tej szkole nauczyłam się, jak być nauczycielką, która pokazuje dzieciom świat. Gdy pierwszy raz jechaliśmy na wycieczkę do Łazienek Królewskich, uczniowie po 10 minutach zaczęli mnie pytać, czy ciągle jesteśmy na Bielanach, czy już nie? Część z nich nigdy wcześniej nie opuściła swojej dzielnicy. Ja byłam ich wychowawczynią przez trzy lata. Zostawałam z nimi po lekcjach, pomagałam nadrabiać zaległości. I gdy moja klasa kończyła szkołę, poprosiłam w sekretariacie o formularze do świadectw, 12 z czerwonym paskiem. Na co pani sekretarka powiedziała, że chyba zwariowałam, bo 12 z czerwonym paskiem jest zamówionych na całą szkołę.

Co się dalej stało z tymi dziećmi?

75 proc. uczniów tej klasy skończyło studia, z wieloma do dziś mam kontakt. Te dzieciaki sprawiły, że pozostałam nauczycielką. Pewnie, że czasem, gdy leży przede mną 60 matur do sprawdzenia, kartkówki, klasówki i pełno papierologii, myślę sobie: „Dziewczyno, masz umiejętności, które pozwalałyby ci pracować zupełnie gdzie indziej, za dużo większe pieniądze". Ale prawda jest taka, że trudno mi wyobrazić sobie pracę dającą bardziej bezpośrednie przełożenie na życiowe losy innych ludzi.

Mam świadomość, że muszę zmieniać metody pracy. Te sprzed 10 lat tracą skuteczność. Jeżeli trzeba będzie robić TikToki, to zacznę.

To wpływanie nie jest przypadkiem teraz trudniejsze niż kiedyś?

Jest trochę trudniejsze. Dostrzegam pewną barierę w kontakcie z najmłodszymi rocznikami uczniów. Na początku roku zapytałam pierwszoklasistów, jak sobie wyobrażają naszą wspólną pracę. Czego oczekują? I jeden z uczniów powiedział, że idealnie by było, gdybym po każdej lekcji robiła „takie 15-sekundowe TikToki". Myślałam, że żartuje, ale mówił poważnie. Widzę też, że trudniej jest zachęcić młodzież do działania. Ja proponuję wiele zajęć po lekcjach. Od lat chodzę z uczniami do teatru, ze „Żmichowską śpiewa!" zagraliśmy ponad 500 koncertów. Ale o ile jeszcze kilka lat temu dzieci jak w dym na te koncerty biegły, o tyle teraz, zwłaszcza w sobotę i niedzielę, bardziej oszczędzają czas, wybierają inne zajęcia. Ale staram się cały czas dostosowywać swoje podejście do potrzeb.

I nagrywa pani te TikToki?

Na razie nie. Ale mam świadomość, m.in. dzięki uczestnictwu w grupie Superbelfrzy RP, gdzie wymieniamy się dobrymi praktykami edukacyjnymi, że muszę zmieniać metody pracy. Te, które były dobre 10 lat temu, tracą skuteczność. Jeżeli trzeba będzie robić TikToki, to zacznę.

Dużo mówi się o tym, że dziś młodzież słabo radzi sobie z porażkami. Do programu „Żmichowska śpiewa!" większość chętnych się jednak nie dostaje. Na casting zgłaszają się setki, płytę nagrywa tylko dziesiątka. Jak pani pomaga pozostałym radzić sobie z emocjami?

Bardzo prosto – mówię im, żeby się nie poddawać. „Żmichowska śpiewa!" jest co roku, uczniowie są w tej szkole cztery lata. Mogą zgłaszać się co rok. Poza tym co druga edycja jest też dostępna dla absolwentów. Kto skończył naszą szkołę, może się zgłosić. Kilka lat temu śpiewały z nami dwie panie, które miały po 50 lat. To była zresztą świetna synergia, bo te panie przychodziły na koncerty, opowiadały obecnym uczniom, jak było kiedyś, pokazywały im, gdzie siedziały, gdzie się ukrywały, żeby przeczekać trudną lekcję. Uczniowie i uczennice wiedzą, że szansa jest wielokrotna, a droga do śpiewania przez lata otwarta.

Co pani zrobi z wygranym milionem dolarów?

Wiem, czego na pewno nie zrobię – jeśli wygram. Nie pojadę na wakacje w tropiki. Nawet gdybym chciała, to nie mogłabym. Działa to tak, że zwycięzca konkursu podpisuje umowę z królem Dubaju, który przez pięć lat wypłaca po 200 tys. dol. Z tego 100 tys. dol. przeznacza się na projekty edukacyjne, które uznaje się za wartościowe. Druga połowa teoretycznie trafia do nauczyciela, ale to oznacza, że opłaca on z niej koszty delegacji w miejsca wskazane przez kapitułę konkursu. Występować w roli ambasadora edukacji, reprezentanta nauczycieli.

Czyli być może wchodzi pani w kolejną pracę?

Być może. Istnieje też wymóg, żeby oprócz pełnienia obowiązków reprezentacyjnych nadal uczyć.

Będzie pani jedną z tych nauczycielek na emeryturze, podtrzymujących działanie polskich szkół?

Nie wykluczam tego. Choć najbardziej chciałabym, żeby nie było konieczności podtrzymywania systemu przez emerytów. W perspektywie lat wyobrażam sobie własną przyszłość także w którejś z organizacji pozarządowych zajmujących się edukacją. Na przykład edukacją obywatelską, walką z dezinformacją i manipulacją. Takich NGO-sów działa wiele, wielu ludzi w edukacji robi dobrą robotę, stara się i nie ulega wypaleniu. Publiczne dyskusje bardziej skupiają się na tym, że jest źle, bo taka jest już natura dyskusji.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA

eprasa.pl 99f292badc

Coraz częściej słychać o wysokich wyrokach za zbrodnie na podstawie wątpliwych dowodów. I o uniewinnieniach po wielu latach. Co szwankuje?



ILUSTRACJE **PATRYK SROCZYŃSKI**

Żart, nie wyrok

VIOLETTA KRASNOWSKA

„Rażącą niesprawiedliwością" nazwał niedawno rzecznik praw obywatelskich wyrok 25 lat więzienia dla Jarosława S. I pod koniec listopada ub.r. złożył do Sądu Najwyższego wniosek o jego kasację, domagając się ponownego rozpoznania sprawy.

Mężczyzna siedzi w więzieniu 21 lat. W sprawę jego uwolnienia zaangażował się senator Grzegorz Fedorowicz, mający za sobą lata pracy w więziennictwie, ostatnio jako wiceszef tej służby. Przyznaje, że często słyszał od osadzonych, że nie zrobili tego, za co siedzą. Ale – jak się mówi – „więzienia pełne są niewinnych". Choć senator wspomina, że niektórzy podawali fakty, które przeczyły ich udziałowi w przestępstwie, ale nie jest przecież rolą służby więziennej, żeby się tym zajmować. Gdy dwa lata temu do jego biura senatorskiego przyszła kobieta, twierdząc, że jej brat Jarosław S. 20 lat siedzi niewinnie, najpierw odebrał to jako ciąg dalszy tej samej więziennej śpiewki. – *Nie sądziłem, że to może być prawda, dopóki nie zagłębiłem się w akta. Nie mogłem uwierzyć, że na takiej podstawie skazano człowieka* – mówi senator Fedorowicz. Rozpoczął walkę o jego oczyszczenie.

Dane, wówczas 21-letniego pracownika fizycznego, znalazły się w pierwszej policyjnej notatce, zaraz po znalezieniu w 2004 r. w Lądku, niedaleko dyskoteki, ciała kobiety. Dwa dni był przesłuchiwany. Przyznał się do wszystkiego. Nawet do tego, że krew na jego ubraniu to krew ofiary. Po badaniach okazało się, że to nieprawda. Jego opis okoliczności czynu nie zgadzał się z późniejszymi ustaleniami biegłych. Za to bardzo zgadzał się z wcześniejszą notatką policjanta co do hipotezy śledczej, która się zresztą nie potwierdziła. Przyznał się bowiem, że zabił, naciskając klatkę piersiową, a faktycznie kobieta została uduszona. Zdaniem rzecznika może to świadczyć o braku swobody składania zeznań. A opinia biegłego o okolicznościach powstania 76 pauz w nagraniach z przesłuchania jest niepełna i niejasna. Sam oskarżony tłumaczył, że był wtedy bity.

Nikogo – ani prokuratury, ani sądu – nie zastanowiło, skąd w ustach ofiary ziemia, skoro z wyjaśnień oskarżonego wynika, że ofiara miała leżeć na plecach. Ani czyj włos – bo nie jego – znaleziono na bieliźnie ofiary. Nie próbowano też ustalić, do kogo należy odcisk buta znaleziony na miejscu zbrodni – bo też nie do oskarżonego.

– *Świadkowie mówili, że on był z nimi cały czas, fizycznie nie był w stanie popełnić tej zbrodni. Nie ma żadnego śladu kryminalistycznego, który wskazuje na udział w niej chłopaka. A inni nie byli sprawdzani, wzywani na policję, przesłuchiwani. Nic się w tej sprawie nie zgadzało* – opowiada senator Fedorowicz.

Mimo to sąd okręgowy po poszlakowym procesie, bo dowodów – poza odwołanym później przyznaniem się – nie było, skazał go na 25 lat więzienia. A sąd apelacyjny ten wyrok podtrzymał. I na nim właśnie skupił się Zespół Prawa Karnego w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, gdzie analizowana jest większość wniosków o kasację od niesłusznych, zdaniem piszących, prawomocnych wyroków. Jak mówi Marek Łukaszuk, dyrektor Zespołu, wpływa ich każdego roku ponad 200. Ale zwraca uwagę, że wniosek o kasację prawomocnego wyroku to środek nadzwyczajny i zgodnie z prawem może dotyczyć tylko niewłaściwej kontroli drugiej instancji nad pierwszą, wydającą wyrok. Chyba że – zaznacza – uchybienia sądu I instancji przeniknęły do instancji odwoławczej.

Rzecznik polecił więc sprawdzić, czy w tej sprawie kontrola odwoławcza była należyta. Czy sąd apelacyjny rzetelnie ustalił, że sąd wydający wyrok wziął pod uwagę wszystkie okoliczności. Okazało się, że nie. – *Na podstawie analizy akt i wyniku kontroli, którą sąd drugiej instancji przedstawił w uzasadnieniu swojego orzeczenia, wywiedliśmy dwa zarzuty kasacyjne* ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ *polegające na zaniechaniu przeprowadzenia prawidłowej, rzetelnej kontroli odwoławczej. Skutkiem było utrzymanie w mocy wyroku sądu pierwszej instancji pomimo jego – w naszej ocenie – rażącej niesprawiedliwości* – mówi Patrycja Brzozowska, ekspert prawny Zespołu Prawa Karnego rzecznika. Jak tłumaczy, sąd odwoławczy nie zwrócił uwagi na to, że wyjaśnienia skazanego nie zgadzają się z pozostałym materiałem dowodowym, że nie ustalono wszystkich istotnych okoliczności. Czyli sąd zaniechał obowiązku wyjaśnienia, co i jak się naprawdę stało. – *Nie możemy tu mówić o obiektywnym odtworzeniu wypadków, co jest zadaniem procesu karnego, skoro nie wiadomo, co się zdarzyło* – tłumaczy Marek Łukaszuk.

Przy wnioskach o kasację wskazywane braki muszą być na tyle poważne, żeby z bardzo dużym prawdopodobieństwem zmienić wyrok. W tej sprawie według rzecznika prawidłowe wyjaśnienie wszystkich kwestii mogłoby doprowadzić do wydania odmiennego rozstrzygnięcia. Czy Sąd Najwyższy się z tym zgodzi i skieruje sprawę do ponownego rozpoznania, dowiemy się niebawem. Rozprawę wyznaczono na 19 marca.

Dowody koronne

To już kolejna kasacja Rzecznika Praw Obywatelskich z powodu „rażącej niesprawiedliwości" wyroku. Wcześniej chodziło o budzący wątpliwości prawników, z Helsińską Fundacją Praw Człowieka na czele, wyrok skazujący niepełnosprawnego umysłowo chłopaka na 25 lat więzienia za podwójne zabójstwo w Tłokini Wielkiej. Trafił do tej wsi jako parobek. Ktoś anonimem zwrócił na niego uwagę policji, bezskutecznie szukającej od miesięcy sprawcy krwawego mordu dwóch kobiet: matki i córki. Młody chłopak został zatrzymany. Zdaniem Fundacji policjanci musieli zdawać sobie sprawę, że chłopak wymaga pomocy adwokata, mówi o tym konwencja praw człowieka, ale ważniejsze było dla nich, żeby się przyznał. Udało się. Jak zaznacza Marek Łukaszuk, przyznanie się jest nazywane „koroną dowodów", ale tylko jeżeli są inne dowody, które je potwierdzają. Tu nie było nic więcej. Na miejscu zbrodni, skąd zniknęły pieniądze i testament, znaleziono krwawy odcisk palca, ślady butów oraz DNA – ale nie zatrzymanego. Mimo to został skazany.

Rzecznik Praw Obywatelskich w kasacji argumentował, że chłopak z intelektualną

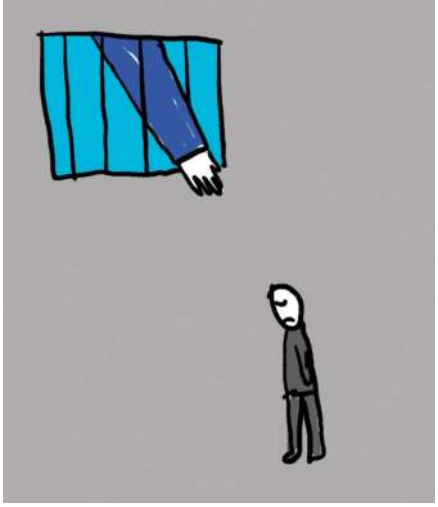

niepełnosprawnością nie byłby w stanie złożyć zeznań, pełnych długich zdań. W rzeczywistości posługuje się monosylabami. Jednak Sąd Najwyższy odrzucił wniosek rzecznika. Stwierdził, że nieprawidłowości w sposobie przesłuchania nie miały wpływu na swobodę wypowiedzi. Bo – padło wprost – niewinni nie przyznają się do zbrodni. Brak dowodów? „To, że na spodniach nie ma śladów krwi, to nie oznacza, że ich tam nie było" – orzekli sędziowie. Helsińska Fundacja Praw Człowieka skierowała sprawę do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu z powodu naruszenia art. 6 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, gwarantującej każdemu prawo do rzetelnego procesu. Takich spraw skierowanych z Polski do Trybunału jest więcej.

Pod jego osąd Fundacja przekazała m.in. sprawę skazania za zabójstwo tylko na podstawie zeznania małego świadka koronnego. – *Jedynym dowodem są słowa człowieka, który przesłuchiwany w swojej sprawie, mając na uwadze otrzymanie nadzwyczajnego złagodzenia kary, wskazał sprawcę zabójstwa sprzed kilkunastu lat. Jak zeznał, dowiedział się o jego tożsamości od brata, który już nie żyje. I człowiek na takiej podstawie został skazany, a Sąd Najwyższy to utrzymał* – mówi dr Piotr Kładoczny z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Wystąpił na posiedzeniu kasacyjnym przed Sądem Najwyższym. – *Mówiłem, że jeżeli na takiej podstawie można skazać człowieka, to każdy z nas jest zagrożony. Ale to nic nie dało. Sąd Najwyższy zasadniczo ocenia poprawność przebiegu postępowania, a niesłychanie rzadko weryfikuje materiał dowodowy i ewentualnie uniewinnia.*

Trudne wznowy

Adwokat Emilia Mądrecka mówi, że chyba przestanie brać sprawy o wznowienie postępowania, tzw. wznowy, bo z jej doświadczenia wynika, że szkoda nerwów, bo sądy robią wszystko, aby nie analizować nowych dowodów, i to z dowolnej przyczyny procesowej.

Składała wraz z mec. Grzegorzem Szwochem wniosek do Sądu Najwyższego o wznowienie sprawy zabójstwa Pershinga, za które Ryszard Linard-Bogucki został skazany na 25 lat. I był to już trzeci wniosek o wznowienie. Teraz pojawił się nowy dowód wskazujący, że on tej zbrodni nie popełnił. To notarialne oświadczenie Marka Siewerta, byłego policyjnego analityka, który przyznał, że podczas śledztwa w sprawie zabójstwa gen. Papały widział materiały operacyjne policji wskazujące, że Bogucki w momencie zabójstwa Pershinga był zupełnie gdzie indziej. Siewert deklarował złożenie pełnych zeznań. Sąd Najwyższy wystąpił do policji o dostarczenie tych materiałów. – *Policja tego nie zrobiła, więc po kilku latach Sąd Najwyższy, pomijając kwestię oświadczenia i braku akt operacyjnych, oddalił wniosek o wznowienie* – mówi adwokat Mądrecka.

Występowała też o wznowienie przed sądem apelacyjnym sprawy Daniela Giełdy, skazanego za atak nożem. Dowodem był słaby technicznie zapis monitoringu. Niedawno pojawiły się nowe rozwiązania technologiczne pozwalające na sporządzenie w trójwymiarowym formacie sylwetki Daniela Giełdy. Nałożono ją na sylwetkę osoby zarejestrowanej na monitoringu. Różniły się. Adwokat m.in. na tej podstawie wystąpiła o wznowienie postępowania. Sąd jednak odmówił, przytaczając stanowisko Sądu Najwyższego, że „nie jest nowym dowodem nowa opinia prywatna, oparta na tym samym materiale dowodowym co opinia wydana uprzednio w postępowaniu sądowym". A poza tym – stwierdził – niezgodność nie jest taka duża, by zmienić wyrok. – *Nie ma możliwości zaskarżenia odmowy wznowienia*



eprasa.pl 99f292badc

sprawy i nikt już jej zasadności nie kontroluje – twierdzi mecenas.

O oporze przed wznowami mówi też adwokat Jakub Orłowski, który reprezentuje skazanego Marcina Chmielewskiego. To pierwsza sprawa, którą zajęła się powołana 25 lat temu w Fundacji Helsińskiej „Klinika Niewinności". Chodzi o zabójstwo dwóch braci w Giżycku w 1998 r. W sprawie było zbyt wiele nieprawidłowości i Fundacja uznała, że Chmielewski może być niewinny. Ostatnio wyszła na jaw kolejna – prokuratorka, która oskarżyła Chmielewskiego o zabójstwo, potem znalazła się w składzie sędziowskim, który rozpatrywał jego sprawę. Adwokat na tej podstawie domagał się wznowienia procesu. Sąd to jednak odrzucił.

– *Argumenty były pozorne* – mówi adwokat Jakub Orłowski. – *Sprowadzały się do tego, że nie udowodniłem, że miało to wpływ na rozstrzygnięcie sprawy. Tylko że linia orzecznicza i wypowiedzi poszczególnych sędziów jako naukowców wskazują, że w takich sytuacjach nie trzeba niczego udowadniać. Konflikt połączenia ról powoduje domniemanie, że doszło do naruszenia bezstronności*. Jego zdaniem takie orzeczenia to znane z psychologii wyparcie problemów, z którymi nie można sobie poradzić. – *Błędy wymiaru sprawiedliwości są wypierane w ten sam sposób. Żeby nie wyjaśnić ich przyczyny, nie oczyścić systemu. Żeby wykazać, że sędziowie przeważnie się nie mylą, i zamknąć społeczeństwu możliwość wykazywania błędów sądowych. By ludzie stracili ochotę na walkę z systemem* – mówi. I dodaje, że taki jak w prowadzonej przez niego sprawie wyrok Sądu Najwyższego nie pomoże w budowaniu poczucia społecznej sprawiedliwości.

Poza wątpliwościami co do winy niektórych skazanych pojawiają się też sygnały, że ze skazaniami za zabójstwa jest coś nie tak. Poczynając od głośnej sprawy o kryptonimie Skóra, czyli zabójstwa i oskórowania studentki w 1999 r., za które Robert J. został zatrzymany w 2017 r. – *Rozpoznając sprawę, sąd okręgowy wyłączył jawność. Dopiero sąd drugiej instancji, na wniosek obrony i nasz, czyli Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, przywrócił jawność procesu i wtedy wszyscy mogli się przekonać, że tam dowodowo nie ma nic. Tylko zeznanie dziewczynki, która wtedy miała bodaj osiem lat. Po 20 latach od zdarzenia stwierdziła ze stuprocentową pewnością, że pamięta to, że oskarżony szedł z ofiarą. No to jest żart, a nie dowód* – mówi dr Piotr Kładoczny. W imieniu Fundacji mowę końcową wygłosił Piotr Kubaszewski. Zwrócił się do sądu, aby podczas wydawania wyroku w sposób najbardziej szczegółowy, jak to tylko możliwe, rozważył, czy zasada, że wątpliwości działają na korzyść oskarżonego, nie powinna przeważyć, skutkując uniewinnieniem Roberta J. I tak się stało.

Niewinny cyngiel?

Podobnie było ze Zdzisławem Ł., znanym z mediów jako „cyngiel" gangu Krakowiaka. Siedzi w więzieniu od 1999 r. Został oskarżony w jednym śledztwie o cztery zabójstwa i jedno usiłowanie. – *Miał wtedy 38 lat, niekarany, ojciec czwórki dzieci. Proponowano mu status świadka koronnego. Czy gdyby go przyjął, komuś innemu przypisano by te zabójstwa?* – pyta retorycznie obrońca Zdzisława Ł., adwokat Monika Gorzących. Odmówił i został oskarżony, a potem skazany – za każde zabójstwo na dożywocie. Dziś z trzech zabójstw i z usiłowania jest już uniewinniony. – *W żadnej z tych spraw nie ma dowodów jego winy, nie ma odcisków, nie ma jednoznacznego rozpoznania przez świadków. Tylko zeznania koronnych. A ich dobór w tej sprawie był wyjątkowo niefortunny, biorąc pod uwagę ich historię sprzed i po obciążaniu szeregu ludzi w sprawach tzw. Grupy Krakowiaka i Grupy Pyzy. Przez lata forsowano tylko jedną wersję wydarzeń. A dzisiaj w tej sprawie i związanych z nią zapadło wiele wyroków uniewinniających. Mój klient był pomawiany przez świadków koronnych także o zdarzenia, które nigdy nie miały miejsca* – mówi Monika Gorzących.

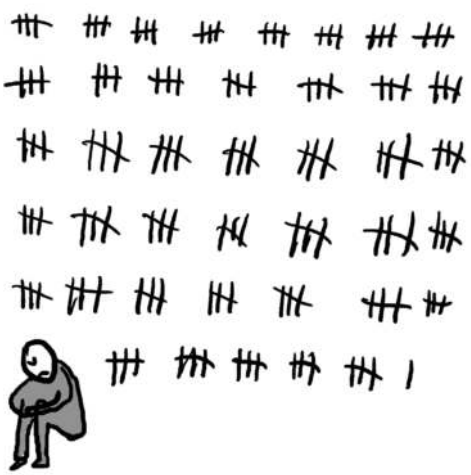

W czwartej sprawie – o zabójstwo właściciela kantoru – złożyła właśnie do Sądu Najwyższego wniosek o wznowienie postępowania. Nowym dowodem są zeznania człowieka, który wcześniej Zdzisława Ł. obciążył. Czynności z nim przeprowadzał prokurator Robert Hernand, późniejszy – za Ziobry – zastępca prokuratora generalnego. Niedawno w procesie cywilnym człowiek ów zeznał, że skłamał, żeby wyjść z więzienia, a tak naprawdę nic o tym zabójstwie nie wie. Opisywał: „po rozmowie z prokuratorem miałem wgląd do zeznań świadków. (...) Podczas jechania na wizję lokalną prokurator mnie szturchał, w którym miejscu jest przejście podziemne, w którym miejscu to było". Ale nie tylko to podnosi adwokatka. Przytacza wszystkie uniewinnienia od zabójstw pochodzących z jednego śledztwa prowadzonego w Katowicach, co pokazuje wadliwość całego śledztwa, które uważa za największą porażkę wymiaru sprawiedliwości. Sąd Najwyższy nie wyznaczył jeszcze terminu posiedzenia w tej sprawie.

Prof. Paweł Waszkiewicz z UW, specjalista w zakresie kryminalistyki i kryminologii, przeprowadził duże badania na temat skali zjawiska niewinnie skazanych i jego przyczyn. Wyniki opublikował w 2024 r. Sporo miejsca przeznacza w nich niechęci wymiaru sprawiedliwości do wznawiania prawomocnie zakończonych postępowań. Według niego włączenie analizy przypadków niesłusznych skazań do programu zajęć przyszłych prawników „mogłoby zweryfikować błędne przekonanie o nieomylności organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości.

Umożliwiłoby również częstsze podejście do idei prawomocności wyroku w bardziej racjonalnych kategoriach. W niektórych środowiskach ma on bowiem obecnie podobno status bliski świętości, co zdecydowanie utrudnia podejmowanie decyzji o wznowieniu postępowania czy kasacji". Dodaje, że określenie „prawomocność wyroku jest w Polsce święta" zostało już użyte na konferencji prawników. Uważa, że „nadzwyczajność" środków zaskarżania, takich jak wniosek o kasację czy wznowienie postępowania, nie jest tylko retorycznym ozdobnikiem. Według niego są one niesłychanie rzadkie nie tylko z powodu słusznie wysokich wymogów ich zastosowania, ale i istniejącego przywiązania do idei prawomocności wyroku. Jest zatem o co walczyć, bo ceną bywa wieloletnie więzienie dla niewinnych ludzi.

VIOLETTA KRASNOWSKA

eprasa.pl 99f292badc



Ubiegłoroczne obchody 15-lecia Politechniki Bydgoskiej Trzeciego Wieku

Za młodzi na starość

Angielski, zajęcia taneczne, wykłady z kultury japońskiej albo dietetyki. Do tego: potańcówki, wyprawy do kina, na basen... Pomysłów na aktywną trzecią – a może i czwartą – młodość są dziesiątki. Kto z nich korzysta? I dlaczego warto wychodzić z domu?

KATARZYNA KACZOROWSKA

Prof. Krzysztof Wronecki, kardiochirurg dziecięcy, nie tak dawno uroczyście świętował 80-lecie. Był tłum gości, okolicznościowy film, gratulacje, kwiaty, toasty. On sam, dziękując za życzenia, podkreślił, że jego największym szczęściem w życiu jest... żona Elżbieta. Dzisiaj pytany o receptę na dobrą starość mówi wprost: – *Relacje z ludźmi. My pielęgnujemy przyjaźnie, spotykamy się z przyjaciółmi, a przede wszystkim pamiętamy o tych, którzy są starsi od nas.*

I tak na ostatniej kolacji u państwa Wroneckich gościła prof. Janina Kwiatkowska-Korczak, wybitna biochemiczka, która właśnie rozpoczęła setny rok swojego życia, a w 2018 r. kandydowała do Sejmiku Województwa Dolnośląskiego z listy komitetu Rafała Dutkiewicza, byłego prezydenta Wrocławia, wywołując niemałe poruszenie i zdziwienie obserwatorów nie tylko życia politycznego. „Chcę pokazać, że starsi ludzie wcale nie muszą zamykać się w domach. Mogą i powinni być aktywni. Zresztą brak aktywności negatywnie wpływa na zdrowie oraz na samopoczucie" – tłumaczyła dziennikarzom seniorka.

Na tej kolacji obok niej siedziała córka, która dopiero co przyleciała ze Stanów Zjednoczonych. Pytana o wiek z rozbawieniem odpowiada: – *Ile mogę mieć lat, jeśli moja mama ma 100?* Kolejna przy stole była prof. Maryla Krasnowska, zbliżająca się do dziewięćdziesiątki, zaangażowana w Stowarzyszenie Dzieci Holocaustu, jeszcze do niedawna czynna zawodowo jako biegła sądowa. – *Pamięć – to jest najważniejsze. O żywych, których wyciągamy z domów na spotkania, mniejsze czy większe uroczystości. I wspomnienia. To niewiele kosztuje, a tyle daje* – uśmiecha się Elżbieta Wronecka, która po cichu przyznaje, że obok kontaktów towarzyskich na starość nie pozwalają jej wnuki i ogród, który wymaga pracy, czyli mówiąc wprost: sił.

Najmłodszą uczestniczką owej kolacji była prof. Urszula Glensk, która nie tak dawno temu zdobyła Grand Press za reporterską książkę roku „Pinezka" – o kryzysie uchodźczym na granicy z Białorusią.

Uczyć (się) każdy może

Rok temu w maju cała Polska mogła poznać 85-letniego maturzystę Józefa Perugę, który do egzaminu dojrzałości podszedł już drugi raz. W 2024 r. zdał egzaminy ustne z geografii i niemieckiego, ale nie poradził sobie z pisemnymi z matematyki i polskiego. Jak tłumaczył, miał problemy ze wzrokiem po przebytej operacji oczu i wynikające z tego trudności z pisaniem. Za drugim podejściem też się nie udało, więc zapowiedział, że wbrew powiedzeniu, że do trzech razy sztuka, chyba już na maturę się nie porwie. Dostał zresztą po tych egzaminach honorowe świadectwo dojrzałości od prezydenta Kalisza Krystiana Kinastowskiego.

– *Byłem pod wrażeniem jego determinacji. Uznałem, że warto docenić trud, który włożył w dotychczasowe przygotowania. To honorowe świadectwo było symbolicznym wyrazem uznania dla jego wytrwałości i chęci zdobywania wiedzy, którymi zaimponował całej Polsce. Na świadectwie znalazły się same oceny celujące. Za ciekawość świata i chęć nauki, wytrwałość w dążeniu do celu, inspirację dla innych, odwagę*

© FACEBOOK POLITECHNIKA BYDGOSKA III WIEKU, ARCHIWUM PROF. KRZYSZTOFA WRONECKIEGO

eprasa.pl 99f292badc

w podejmowaniu wyzwań, przełamywanie barier pokoleniowych, serdeczność i pozytywne nastawienie – tłumaczy prezydent Kalisza, podkreślając, że pan Józef pokazał, że zawsze jest czas na realizację marzeń.

– *Tym razem już nie będę zdawał matury w Kaliszu* – przekazał nam bohater zeszłorocznych egzaminów. Krótko, bo miał sporo spraw do załatwienia, czasu na dłuższą pogawędkę znaleźć nie mógł.

Rektor Politechniki Bydgoskiej prof. Marek Adamski o kolejnych etapach późnej młodości jeszcze nie myśli, myśli za to o strategii uczelni, którą lada moment przyjmie senat. I w tę strategię wpisana jest mocna obecność w społeczności lokalnej, a więc i wśród seniorów. – *Uczelnia największą część swojego kampusu ma w Fordonie, sypialni Bydgoszczy. Ale ta lokalizacja w znacznej mierze wyznacza nasze cele i charakter naszej obecności w mieście* – mówi prof. Adamski. Jak dodaje, uczelnia, kiedy jeszcze była Uniwersytetem Technologiczno-Rolniczym, miała Uniwersytet Trzeciego Wieku, a odkąd została politechniką, zaprasza na zajęcia na Politechnikę Bydgoską Trzeciego Wieku.

– *Jest angielski, są wykłady, zajęcia plastyczne, taneczne, komputerowe. A także sportowe, dostosowane do możliwości i wieku. Jest też zespół wokalno-taneczny Krąg, bez którego trudno sobie wyobrazić nasze jarmarki* – wylicza prof. Adamski. Dwa lata temu rektor otworzył politechnikę na wybory Miss 80+, jedyne takie w Polsce, organizowane przez Stowarzyszenie Kuźnia Pomysłów na Fordonie. I został przewodniczącym jury, co, jak przyznaje, jest nie lada wyzwaniem.

Prof. Zbigniew Dobrzański (79 lat) śmieje się, że jest najstarszym w Polsce szefem uczelnianej katedry – na Uniwersytecie Przyrodniczym we Wrocławiu kieruje Katedrą Higieny Środowiska i Dobrostanu Zwierząt. Ale szefuje też Otwartemu Uniwersytetowi Trzeciego Wieku, podkreślając, że ten „otwarty" w nazwie nie jest przypadkowo, bo słuchacze – w liczbie 419 w tym roku akademickim – mają od 40 do 89 lat.

– *Ci studenci, tak jak ich młodsi koledzy i koleżanki, mają swój samorząd, inaugurację roku akademickiego, uroczyste zakończenie, świadectwa. Zdecydowaliśmy, że ze względu na profil uczelni OUTW będzie kierował się hasłem: „Człowiek i środowisko", bo to relacja kluczowa dla współczesnego pojmowania świata, budowania relacji społecznych i osiągania optymalnego poziomu jakości życia* – mówi prof. Dobrzański. I dodaje, że oprócz nauki języków obcych (pięciu), wykładów z historii, prawa, medycyny czy warsztatów podologicznych jego studenci mogą też skorzystać z wycieczek po Dolnym Śląsku. – *Bo niezależnie od zdobywania nowych umiejętności i wiedzy najważniejsze jest poznawanie ludzi, budowanie relacji, po prostu życie towarzyskie, które nas mobilizuje i daje radość* – tłumaczy profesor, któremu energii mogłaby pozazdrościć niejedna wypalona po kilku latach pracy zetka.



Prof. Krzysztof Wronecki z żoną Elżbietą

Senior w mieście

Sopot to nie jest typowe miasto. Latem pełen turystów, dopiero zimą pokazuje swoje prawdziwe oblicze: ponad 30 proc. stałych mieszkańców to seniorzy. Magdalena Czarzyńska-Jachim, prezydentka Sopotu, tłumaczy: – *Żeby prowadzić mądrą politykę senioralną, trzeba mieć rozpoznane potrzeby tego środowiska ze świadomością, że każdy senior ma inne.*

Za rozpoznanie owych potrzeb odpowiada m.in. Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, który zapewnia mieszkańcom wsparcie w codziennym funkcjonowaniu czy wkracza wtedy, kiedy to funkcjonowanie jest utrudnione. Ale działa też: sopocka Rada Seniorów, która przekazuje informacje o oczekiwaniach różnych grup, organizacje pozarządowe, Związek Emerytów i Rencistów, Uniwersytet Trzeciego Wieku, wreszcie – tzw. domy sąsiedzkie, czyli przestrzenie do wspólnego spędzania czasu, integrujące mieszkańców.

– *Postawiliśmy na rozwój miasta praw człowieka. Nasi seniorzy mają pełne wsparcie i dobrą, jakościową ofertę kulturalną, edukacyjną, rekreacyjną. Tak, by mogli i mieli w czym wybierać* – tłumaczy prezydentka Sopotu, nie kryjąc, że w gruncie rzeczy to seniorzy dzisiaj są najbardziej aktywną grupą w tej kurortowej społeczności. Ci sopoccy: bawią się na miejskich potańcówkach (jedna w miesiącu okazała się niewystarczająca, są więc dwie), podpisują petycję, by miasto przedłużyło umowę z Multikinem na seanse dla seniorów, korzystają z sopockiego sanatorium, bo lepiej zapobiegać, niż leczyć (program finansuje gmina). Najstarszy tancerz na ostatnim balu seniora liczył sobie – bagatela! – 101 lat. A kiedy tylko wybrzmiewają pierwsze takty, parkiet od razu zapełnia się parami, w kuluarach zaś trwają twarde negocjacje, kto z kim będzie dalej tańczył.

– *Jedną z ważnych dla nas kwestii jest wsparcie: psychologiczne, wytchnieniowe, każde. Dzisiaj właściwie normą jest, że seniorem opiekuje się inny senior. To niesie ze sobą wiele obciążeń, dlatego też właśnie realizowaliśmy z seniorami cykl szkoleń dotyczących opieki* – opowiada Magdalena Czarzyńska-Jachim, dodając, że zainteresowaniem cieszą się porady psychogeriatryczne w tamtejszym szpitalu geriatrycznym. Prezydentka Sopotu nie kryje, że miasto łata dziury w systemie NFZ – realizuje program profilaktyczny dotyczący osteoporozy, szczególnie groźnej dla osób starszych, finansuje USG piersi dla seniorek, dla seniorów zaś badania urologiczne.

– *Rozdaliśmy naszym najstarszym mieszkańcom tablety do trenowania pamięci i smartwatche dbające o ich bezpieczeństwo, monitorujące stan ich zdrowia. Kiedy unijny program wygasł, seniorzy upomnieli się o jego kontynuację. Nie chodziło jednak o to, że trzeba było zwrócić urządzenia, ale o zwyczajną rozmowę, bo w trakcie programu raz w tygodniu dzwonił do nich pracownik z telecentrum, by zapytać, jak się czują, co u nich słychać i czy czegoś im nie potrzeba. To właśnie te relacje okazały się kluczowe* – tłumaczy prezydentka Sopotu. Obecnie miasto posiada własny system teleopieki, obsługujący go pracownicy są często traktowani przez seniorów jak członkowie rodziny. To bardzo dobry sposób na ograniczenie problemu, z którym często zmagają się seniorzy: uciążliwej samotności.

– *Mój tato zmarł, mając 106 lat, więc naprawdę rozumiem potrzeby starszych osób, ich pragnienie aktywności, chęć działania jak najdłużej. Ostatnio nasi seniorzy na sopockim dworcu zrobili flash mob, tańcząc w holu i zachwycając wszystkich, którzy tam akurat byli. A mój tato, pytany o receptę na długie życie, zawsze powtarzał, że we wszystkim potrzebny jest umiar. We wszystkim z wyjątkiem ruchu* – opowiada Magdalena Czarzyńska-Jachim. ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ I w małej gminie

Wińsko to wieś i zarazem siedziba gminy liczącej według spisu z 2020 r. 8241 mieszkańców. W centrum wsi jest Centrum Seniora Srebrna Podkowa. Sabina Baryluk z Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej pytana, jak to jest być seniorem w gminie, gdzie wszyscy się znają, przyznaje, że na początku, kiedy powstawał dzienny dom opieki, była pewna nieufność, jakby się wszyscy bali tego, co może ich tam spotkać, bo przecież w swoich czterech ścianach najlepiej. Zatem pracownicy GOPS-u musieli namawiać wińskich seniorów, by przyszli do Srebrnej Podkowy. Dziś już nikogo namawiać nie trzeba. A ci, którzy tu przychodzą, wspierają się choćby w czasie zajęć plastycznych. Ktoś podpowie kolor, ktoś inny pomoże przy szyciu maskotek. – *Ale kto wie, czy naszym największym sukcesem nie jest wydobycie jednego z naszych mieszkańców z kryzysu bezdomności* – mówi Sabina Baryluk. Jak opowiada, pan, nazwijmy go X, mieszkał w toalecie w starej zrujnowanej szkole. I wszyscy o tym wiedzieli. Aż gmina, a konkretnie wójt Jolanta Krysowata, zadbała o mieszkanie socjalne dla niego, pracownicy GOPS-u zaś namówili go na pobyt w domu seniora. Początkowo się opierał. – *A teraz, proszę sobie wyobrazić, nie opuścił ani jednego dnia pobytu w domu seniora! Tak się wciągnął w zajęcia. I jak wraca do siebie o 15.30, to i tak zabiera różne rzeczy do dokończenia. I mówi nam, że dzięki tym zajęciom nie myśli o swoim trudnym życiu i przeszłości.*

W Wińsku działa zresztą nie tylko Srebrna Podkowa. Jest też chór Harfa, założony przez byłego dyrektora miejscowej szkoły, 87-letniego dzisiaj Stanisława Wymazałę, który zresztą wciąż w tym chórze śpiewa. Na wszystkich gminnych jubileuszach, złotych, diamentowych i kamiennych godach, w czasie świąt... Chór śpiewa pieśni patriotyczne, kościelne, ludowe, popularne. – *Niedługo będziemy obchodzili 35-lecie i rzeczywiście jestem najstarszym członkiem chóru spośród naszej osiemnastki* – mówi pan Stanisław, dodając, że jest też przewodniczącym oddziałowej Sekcji Emerytów Nauczycieli i Pracowników Administracji Obsługi Szkoły Związku Nauczycielstwa Polskiego. I że sekcja liczy sobie 91 osób, a on nawet napisał książkę o historii szkoły w Wińsku – od 1945 r. i pierwszego dzwonka dla polskich uczniów, do połowy lat 80. ubiegłego wieku. A jego recepta na aktywność jest prosta: dużo ruchu. – *Nie ma dla mnie czasu straconego. Ciągle gdzieś jestem, coś robię. Nie siedzę i nie czekam, aż przyjdzie do mnie ta, która zabiera... Bo jak będę w takim ruchu, to może mnie nie zauważy?* – uśmiecha się pan Stanisław.



Sopocki bal seniora

Różne czwarte młodości

Socjolog Paweł Kubicki, profesor Szkoły Głównej Handlowej, tłumaczy: – *W dużym mieście jest więcej opcji sformalizowanych, stowarzyszeń, uniwersytetów trzeciego wieku, oferty instytucji publicznych. Jeśli więc mierzyć aktywność seniorów organizowaną przez jakieś podmioty, to siłą rzeczy w miastach jest jej więcej.* Jak jednak zaznacza, warto docenić też wagę odwiedzin „po sąsiadkach", działań w ramach parafii i innych niesformalizowanych aktywności. – *Nie należy więc zakładać, że aktywność seniorów na wsi jest dużo niższa. Na pewno niższa jest ta sformalizowana* – podkreśla. I dodaje, że inaczej wygląda aktywność kobiet, a inaczej mężczyzn. Bo te pierwsze były historycznie i tradycyjnie organizatorkami życia domowego, tworząc szerszą sieć kontaktów nieformalnych. Ci drudzy skoncentrowani byli zaś na aktywności zawodowej. Po przejściu na emeryturę gwałtownie spadła ich sieć kontaktów społecznych oraz aktywność.

– *Jest jeszcze jeden aspekt. Część aktywności oferowanych seniorom, jak choćby gimnastyka czy zajęcia artystyczne, jest postrzegana jako typowo kobieca, a zatem niemęska. Mężczyźni też mogą mieć swoje aktywności, tyle że te często są samotnicze lub okazjonalne, jak choćby wędkowanie, nie budują więc takiej sieci kontaktów towarzyskich* – mówi profesor. Pytany zaś, czy istnieje jakaś recepta, by ta starość była dobra, zauważa, że gdyby taka istniała, to pewnie wszyscy by ją stosowali. Więc jeśli już, to raczej powinniśmy mówić o pomyślnej starości, a nie o jakiejś „recepcie".

Na tę pomyślność wpływ mają rzecz jasna pieniądze – oszczędności, finansowe zabezpieczenie własnej starości. – *Z niską emeryturą przy jakimkolwiek kryzysie, także zdrowotnym, bardzo trudno pokryć wszystkie koszty. Drugim elementem przygotowania na starość, który budujemy przez całe życie, jest zaś sprawność fizyczna. Utrzymywanie masy mięśniowej zapobiega różnym schorzeniom, złamaniom, niesprawności. To pozwala dłużej być aktywnym, ale też chroni przed chorobami cywilizacyjnymi. I wreszcie trzeci wymiar: kontakty społeczne* – tłumaczy profesor. I dodaje, że ze względów demograficznych oraz przemian społecznych rodzina będzie odgrywać w wielu przypadkach mniejszą lub wręcz minimalną rolę i bardzo trudno będzie przeżyć starość tylko w kręgu rodzinnym. Na znaczeniu będą zyskiwać za to nieformalne kontakty pozarodzinne, które jednak też w miarę upływu czasu będą się kurczyły.

– *Z im większą pulą znajomych i przyjaciół wejdziemy w naszą starość, tym potencjalnie będzie ona lepsza* – podkreśla socjolog. – *Te trzy elementy: pieniądze, zdrowie i kontakty społeczne to dobra wzajemnie się uzupełniające, częściowo zamienne.* Jak zauważa nasz rozmówca: dzisiaj starość system wiąże z wejściem w wiek emerytalny, choć należałoby ją (wraz z tym wiekiem) przesunąć do 70. roku życia.

Zamiast puenty: 51 lat temu premierę miał serial Jerzego Gruzy (współscenarzystą był Krzysztof Teodor Teoplitz), kultowy dziś, „Czterdziestolatek". Tytułowy bohater, grany przez Andrzeja Kopiczyńskiego, właściwie szykuje się na koniec wszystkiego. Widać zatem, że w ciągu tego półwiecza granice rozumienia, kiedy zaczyna się starość, znacznie się przesunęły. Dzisiejsze 40-latki wciąż poszukują pomysłu na życie, 60-latki nie czują się staruszkami, a niejeden 80-latek aktywnością bije na głowę przyklejone do telefonów zetki.

KATARZYNA KACZOROWSKA

© ANNA BOBROWSKA/KFP

ODCHODZIĆ PO LUDZKU

Wszystkie teksty i wywiady, które do tej pory ukazały się w cyklu „Odchodzić po ludzku", znajdą Państwo w specjalnej zakładce na naszej stronie: **www.polityka.pl/odchodzicpoludzku**

eprasa.pl 99f292badc

POLITYKA słuchaj i oglądaj







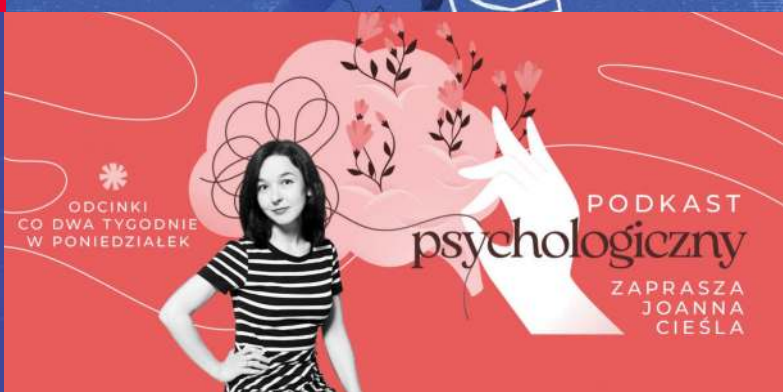





Rozmawiamy nie tylko o polityce.
Poruszamy sprawy, które mają znaczenie.
Szukamy odpowiedzi na trudne pytania.

youtube.com/@Tygodnik_Polityka **polityka.pl/podkasty**

eprasa.pl 99f292badc



„Poradnik bezpieczeństwa” rozsyłany przez rząd do wszystkich polskich domów obok instrukcji przetrwania w sytuacjach kryzysowych zawiera długą listę urządzeń, które mogą nam w tym pomóc. W sklepach zrobił się ruch, bo o istnieniu niektórych często nie mieliśmy nawet pojęcia.

Ile za czarną godzinę?

eprasa.pl 99f292badc



© SHUTTERSTOCK

ADAM GRZESZAK

„Poradnik bezpieczeństwa" jest już drugą instrukcją, jaką dostajemy. Poprzednia z 2022 r. „Bądź gotowy – poradnik na czas kryzysu i wojny", przygotowywała głównie do wojny i radziła, jak przed nią uciekać (choć nie mówiła dokąd). Sporo było o strzałach, wybuchach, skażeniu radioaktywnym i żołnierzach obcych armii. Obecna wersja jest nieco mniej militarna. Ma nas przygotować na rozmaite dramatyczne doświadczenia, w tym także niewojenne kataklizmy: pożary, powodzie, przerwy w dostawie prądu, cyberataki itd.

Poradnik nie jest wyłącznie polskim pomysłem. Podobne powstały w innych krajach Europy w ramach Unijnej Strategii Gotowości. Komisja Europejska zwróciła się też do obywateli UE z wezwaniem o przygotowanie zestawu przetrwania, abyśmy we własnym zakresie zapewnili sobie – jak wyjaśniała Hadja Lahbib, komisarz UE ds. gotowości i zarządzania kryzysowego – wystarczającą ilość żywności, leków i energii na wypadek nieprzewidzianego kryzysu. To właśnie za sprawą tych zaleceń w „Poradniku" znalazła się instrukcja, by zgromadzić zapasy na 72 godziny. W przypadku wody mają to być 3 litry na osobę dziennie (dwa do picia, jeden do celów higienicznych). Poprzednio zalecano, by zapas wystarczył na tydzień. Bruksela jednak uznała, że trzy doby wystarczą, by władze państwowe jakoś ogarnęły sytuację. Bo na rządach też spoczywa obowiązek gromadzenia awaryjnych zapasów.

Jak żyć bez prądu?

O tym, jak przetrwać najgorsze, najlepiej wiedzą preppersi (od ang. *prepare* – przygotowywać), czyli ludzie, którzy od dawna są przekonani, że armagedon to tylko kwestia czasu, i przygotowują się do niego z głębokim przekonaniem, że zdołają przetrwać koniec świata. Dziś mają chwilę satysfakcji, bo kiedy państwo namawia wszystkich do prepperingu, oni od dawna są gotowi.

Tu już nie chodzi o sam plecak ucieczkowy zwany w „Poradniku" bardziej uspokajająco „plecakiem ewakuacyjnym". Preppersi nazywają go BOB (od angielskiej nazwy *Bail Out Bag*), mówi się też o torbie rychłej ucieczki. Kilka miesięcy temu ankieterzy pracowni Opinia24 zapytali Polaków o to awaryjne wyposażenie. Połowa badanych zapewniła, że wie, co ma się w plecaku znaleźć, ale nieliczni zadeklarowali, że taki posiadają. Do uciekania szykują się głównie młodzi mężczyźni, ale ponad 90 proc. kobiet nie ma plecaka. Jego posiadaniem oficjalnie pochwalił się za to szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz, co wywołało komentarze, dlaczego chce uciekać i czy jesteśmy gotowi do obrony.

Preppersom nie wystarcza jednak zestaw podstawowy z „Poradnika" – latarka, radio na baterie lub korbkę, telefon, powerbank, wodoodporne ubranie czy scyzoryk itp. Oni muszą mieć wyposażenie ekstra, w tym np. folię termiczną, linkę spadochronową (ale bez spadochronu), oświetlenie chemiczne, tabletki do uzdatniania wody, ogrzewacz chemiczny do ciała i wiele innych gadżetów ze sklepów dla miłośników survivalu, czyli sztuki przetrwania w dzikich ostępach. Ceny survivalowo zaopatrzonych plecaków ucieczkowych wahają się od kilkuset złotych do kilku tysięcy.

Osoby poszukujące ucieczki od wydatków mogą na platformie Temu znaleźć chińskie wyroby za ok. 100 zł albo tańsze. Pierwsze plecaki ucieczkowe pojawiły się w handlu już dwa lata temu (sprzedawała je nawet Biedronka), dziś są dostępne w sklepach sportowych i turystycznych oraz w e-handlu dla survivalowców i preppersów. Jak na razie podaż góruje nad popytem, zdarzają się nawet promocje.

Jednak plecak ucieczkowy to nie wszystko. Poradnik bowiem radzi, jak przygotować się na przetrwanie we własnym domu. Kiedy zgaśnie światło, zrobi się zimno, zabraknie wody, telefony stracą zasięg, a komputery dostęp do internetu. Czy w tych warunkach da się żyć?

Cały nasz dzisiejszy świat jest zelektryfikowany, więc odcięcie od prądu może być wyjątkową traumą. Tak zdarza się w czasie ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ blackoutów, czyli potężnych awarii zasilania. W ostatnich latach doświadczyli tego Hiszpanie i Portugalczycy, a całkiem niedawno, po ataku niemieckich lewicowych ekstremistów na infrastrukturę energetyczną, bez prądu zostało 30 tys. berlińskich domów. A o tym, jak wygląda wojenna sytuacja energetyki w Ukrainie, wiemy z codziennych komunikatów. Ukraińcy nauczyli się żyć w rytm włączeń i wyłączeń prądu.

„Brak prądu – spowodowany katastrofą naturalną lub celowym działaniem – może potrwać nawet kilka dni. Stracisz wówczas dostęp do wody, ogrzewania, internetu i telefonu oraz możliwość płacenia kartą" – ostrzega „Poradnik". I radzi, by korzystać z latarki (z zapasem baterii), powerbanku (naładowanego) albo grzejąc się ciepłem rodzinnego ogniska (wszyscy w jednym pokoju). Sugeruje też zaopatrzenie się w spalinowy generator prądu. Pomysł dobry, ale ma kilka wad, bo wymaga benzyny, hałasuje i wydziela spaliny. W handlu za to bogactwo urządzeń – od niewielkich generatorów za niespełna tysiąc złotych aż po olbrzymy za kilkanaście tysięcy w zależności od mocy typu i tego, czy zapewniają prąd jedno- czy trójfazowy.

– *Produkty zabezpieczające energetycznie, począwszy od powerbanków, poprzez różnego typu baterie, na agregatach prądotwórczych kończąc, są szczególnie poszukiwane przez klientów. W ostatnim roku notujemy dwucyfrowe wzrosty każdej kategorii, dużo wyższe niż średni wzrost całej sieci* – wyjaśnia Paweł Stefaniak, dyrektor handlowy sieci Bricomarché. Jego zdaniem Polacy praktycznie podchodzą do odporności na sytuacje kryzysowe. Najczęściej uzupełniają podstawowe wyposażenie – baterie, latarki oraz pojemniki na żywność i wodę. A sprzedaż agregatów prądotwórczych rośnie najszybciej. Dlaczego? – *Mroźna zima i przerwy w dostawach energii są bezpośrednim bodźcem zakupowym, ale edukacja prowadzona m.in. przez rządowy „Poradnik" też jest nie bez znaczenia* – wyjaśnia Marta Dylejko z biura zarządu sieci OBI. Tu sprzedaż agregatów prądotwórczych wzrosła w ciągu roku o ponad 500 proc. – *Oferujemy blisko 70 modeli – od małych jednostek przenośnych po zaawansowane agregaty przeznaczone do pracy ciągłej i zasilania całych budynków.*

Nie wolno, ale można

Jeśli ktoś chce się przygotować na długotrwały blackout, musi zgromadzić zapas benzyny do generatora, a tego w mieszkaniu ani piwnicy robić nie wolno ze względu na ryzyko pożaru. To niejedyna sytuacja, gdy realizacja podpowiedzi „Poradnika", jak radzić sobie z jednym zagrożeniem, może sprowadzić na zainteresowanego inne. Podobne wątpliwości pojawiają się, gdy przychodzi do awaryjnego ogrzewania. Połowa Polaków mieszka w indywidualnych budynkach i ogrzewa się we własnym zakresie. Są nawykli do kryzysów, bo to albo węgla zabrakło, albo gaz czy pellet zdrożał. Poradnik podpowiada kryzysowe rozwiązania: „Przygotuj piecyk gazowy lub olejowy, kominek".

Nie wszędzie jednak wolno palić węglem w piecu czy drewnem w kominku ze względu na obowiązujące zakazy lub ograniczenia ustalone w uchwałach antysmogowych. Łukasza Horbacza, prezesa Polskiej Izby Gospodarczej Sprzedawców Węgla, oburza, że państwo w „Poradniku" rekomenduje paliwa, których zakazuje lub stara się je eliminować: „Najpierw przez lata konsekwentnie odbierano nam energetyczną niezależność i wszelkie odporne na kryzysy sposoby ogrzewania, a teraz, w obliczu potencjalnego kryzysu, te same sposoby ogrzewania wskazuje się jako ratunek w kryzysie".



W ofercie „ucieczkowej" przewidziano także przenośne schronienia dla zwierząt. Opiekę nad nimi także przewidziano w „Poradniku".

Ci, którzy korzystają z ogrzewania elektrycznego, pompy ciepła albo pieca gazowego, zależni od działania sieci energetycznej lub gazowej, w razie blackoutu lub awarii gazociągu mogą się znaleźć w sporym kłopocie. Jednak z największym wyzwaniem zderzą się mieszkańcy budynków wielorodzinnych podłączonych do sieci centralnego ogrzewania, jeśli ciepłownia przestanie grzać. Ratunek może wówczas dać grzejnik na gaz płynny LPG z butli – małej, turystycznej lub większej (11 kg) używanej często w domowych kuchniach tam, gdzie nie ma dostępu do gazu ziemnego. Wybór grzejników jest spory, od prostych kosztujących ok. 100 zł, po większe i droższe. Do tego niezbędna jest butla gazu propan-butan: mała za ponad 100 zł, duża za ponad 200 zł. Gaz LPG jest uniwersalnym paliwem, bo może zasilać kuchenkę, ogrzewać, ale także służyć do oświetlenia. Lampy gazowe kosztują ok. 100 zł.

Można też skorzystać z piecyka olejowego lub naftowego. To przenośne źródła ciepła wykorzystywane często na kempingach, wymagające jednak specjalnego paliwa – lekkiego oleju opałowego lub nafty grzewczej. Trzeba je zmagazynować na czarną godzinę, więc znów pojawia się problem pożarowy. Można też zaopatrzyć się w ekokominek ogrzewany płynnym lub żelowym paliwem na bazie alkoholu. Nie potrzebuje montażu instalacji odprowadzającej dym, jest nastrojowy, choć nie ma się co spodziewać, że ogrzeje całe mieszkanie. No i znów pojawia się problem bezpieczeństwa. Biopaliwo jest łatwopalne, trzeba trzymać się zasad bezpieczeństwa, a gaśnicę mieć pod ręką. Gaśnice i czujniki dymu to kolejne urządzenia, których zakup rekomenduje „Poradnik". Nie są drogie, a przydatne nie tylko w sytuacjach kryzysowych.

Są też rozwiązania budżetowe: grzanie się przy świecach. Służy do tego podgrzewacz ceramiczny przypominający lampkę stołową, w której abażur jest odwróconą ceramiczną donicą. Pod nią na podstawce palą się małe świeczki, a gliniana skorupa akumuluje ciepło. Taką lampę można samemu zrobić lub kupić za kilkadziesiąt złotych. No i trzeba zmagazynować większy zapas świeczek.

W przypadku kryzysowej łączności, bez sieci komórkowych i internetu, „Poradnik" rekomenduje krótkofalówki, czyli przenośne radiotelefony. Ale znów – uwaga na przepisy. Urządzeń, które pracują na częstotliwościach PMR (Private Mobile Radio), jeśli ich moc nie przekracza 0,5 W, można używać bez przeszkód. Zapewniają łączność na dystansie kilku kilometrów. Ale mocniejsze wymagają już zezwolenia Urzędu Komunikacji Elektronicznej (UKE). Obok krótkofalówek drugim sugerowanym rozwiązaniem jest CB-radio pracujące na innych częstotliwościach, lecz

eprasa.pl 99f292badc



© SHUTTERSTOCK (2)

Szczególnym zainteresowaniem cieszą się ostatnio generatory prądu. Ceny: od kilku do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Choć są i droższe.

także niewymagające zezwolenia. CB-radio kojarzy się z niezwykle popularnymi niegdyś urządzeniami montowanymi w samochodach. Są jednak również małe przenośne CB-radia. Kosztują kilkaset złotych.

Domowa elektrownia

W dziedzinie samodzielnego zaopatrzenia w prąd generator nie jest jedynym rozwiązaniem. W najlepszej sytuacji są ci, którzy w ostatnich latach zainstalowali sobie na dachu fotowoltaikę. Taka domowa elektrownia dostarcza na ogół energię, która wystarcza na w miarę normalne funkcjonowanie gospodarstwa, a czasem pozwala nadwyżkę sprzedać do sieci energetycznej. Jednak w ramach przygotowania na sytuację kryzysową każdy może kupić niewielki przenośny zestaw fotowoltaiczny. Panele PV, niepodłączone do sieci energetycznej, to rozwiązanie znane turystom lubiącym kempingi, lecz sprawdzi się także na domowym balkonie. Nie zaspokoi energetycznie potrzeb gospodarstwa domowego, ale pozwoli na oświetlenie mieszkania, naładowanie telefonu i komputera czy zagrzanie wody.

W zestawie są też często przenośne magazyny energii, czyli powerbanki wielkości walizki, które gromadzą nadwyżkową energię produkowaną przez panele. Można je też doładować z sieci, jeśli w domowym gniazdku okresowo pojawi się prąd. Dostępne są też większe domowe magazyny energii, wykorzystują je ci, którzy mają na dachu fotowoltaikę. Są użyteczne także bez niej, jeśli korzysta się z dynamicznej taryfy lub z systemu dwutaryfowego. Można ładować magazyn z sieci nocą, gdy prąd jest tańszy, a czerpać z niego w dzień, gdy jest droższy. – *W ciągu ostatniego roku liczba magazynów energii podłączonych do mikroinstalacji w sieciach Tauron Dystrybucji wzrosła ponaddwukrotnie* – informuje Renata Szczepaniak, rzeczniczka spółki.

Domowe magazyny energii są wyposażone w inwentery, więc zapewniają prąd przemienny 230 V. Kosztują od kilkuset złotych do kilku tysięcy, w zależności od wielkości i pojemności. W ostateczności można też skorzystać z energii zgromadzonej w samochodowym akumulatorze, korzystając z przetwornicy – niewielkiego i niedrogiego (60–100 zł) urządzenia, które zamienia akumulatorowy prąd stały 12 V na przemienny 230 V, taki jak w domowym gniazdku.

Bądź gotowy

Przygotowanie rodziny i domu według instrukcji „Poradnika bezpieczeństwa" rodzi kilka poważnych wyzwań. Po pierwsze, finansowe. Koszt zapasów żywności, wody, paliwa, sprzętu technicznego, medycznego itd. to kwota od tysiąca złotych w przypadku małej rodziny i skromnego arsenału przetrwania do kilkudziesięciu tysięcy złotych. Do tego trzeba doliczyć zapas gotówki na czarną godzinę w małych nominałach, którą należy mieć w domu. Minimum 500–3000 zł w zależności od tego, jak liczna jest rodzina i jak zamożna. W sumie robi się więc spora inwestycja.

Wyzwanie drugie: gdzie to wszystko przechowywać? Właściciele domów wolnostojących mają zwykle jakieś piwnice, strychy, mogą tam wiele rzeczy zmagazynować, o ile nie wpłynie to na stan urządzeń albo żywności. Ale mieszkańcy miejskich bloków, jeśli mają piwnicę albo komórkę lokatorską, raczej nic tam nie zmagazynują z obawy przed kradzieżą. A w domu często nie ma na to wszystko miejsca.

Do tego dochodzi wreszcie problem trzeci, który dobrze znają doświadczeni preppersi: dyscyplina. Należy wszystko przetestować, by w krytycznym momencie nie szukać instrukcji obsługi i o wszystkim cały czas myśleć. Trzeba odnawiać zapasy żywności w miarę upływu terminów przydatności, regularnie odpalać generator prądu, bo nie znosi bezruchu, podładowywać powerbanki, kontrolować stan baterii itd. No i pilnować kryzysowej rezerwy gotówki, bo jest pokusa, by ją wydać, a przecież nie wolno. Amerykańscy preppersi zwykle na wyposażeniu mają też potężny zestaw broni, by w razie czego obronić swoje zasoby. Ale my musimy ograniczyć się do noża wielofunkcyjnego, cena 50–100 zł.

ADAM GRZESZAK

REKLAMA

PRZEKAŻ 1,5% PODATKU

FUNDACJI TYGODNIKA POLITYKA

KRS 0000104137

Fundacja Tygodnika POLITYKA wspiera następujące przedsięwzięcia:

PASZPORTY POLITYKI

NAGRODY NAUKOWE POLITYKI

HISTORYCZNE NAGRODY POLITYKI IM. MARIANA TURSKIEGO

NAGRODA ARCHITEKTONICZNA POLITYKI

pulsar

eprasa.pl 99f292badc



Agenci ICE pacyfikują protest w Minneapolis po śmierci Alexa Prettiego

Czyszczenie Ameryki

Dla Donalda Trumpa ściganie i deportowanie z kraju nielegalnych imigrantów może być tylko pretekstem do militaryzacji kolejnych służb. Przydatnych do pacyfikacji niezadowolonych.

TOMASZ ZALEWSKI Z WASZYNGTONU

W stolicy USA jest dość spokojnie. Niewiele przypomina o tym, że Ameryka burzliwie zamyka granice przed obcymi. Tylko Dolores, która sprząta mieszkanie moich przyjaciół, zadzwoniła do nich, że nie może przyjść, bo boi się aresztowania. Kilka latynoskich restauracji zamknięto, bo personel trzeba było zwolnić albo ukryć przed agentami służb imigracyjnych. Wiele innych jest bliskich bankructwa, bo do Waszyngtonu przyjeżdża znacznie mniej zagranicznych turystów.

Poza stolicą dzieje się dużo więcej. Ulicami wielu amerykańskich miast suną tłumy ludzi niosących transparenty z hasłami potępienia polityki rządu. A w Minneapolis w stanie Minnesota polała się krew – dwoje białych Amerykanów zginęło od kul agentów federalnych polujących na imigrantów.

Nasilające się po zabójstwach protesty i zaostrzenie politycznego podziału w kraju to efekt trwającej od roku antyimigracyjnej rewolucji Donalda Trumpa. W USA mieszka 11–14 mln nielegałów (to szacunkowe liczby). A prezydent obiecał wydalić wszystkich albo przynajmniej bliżej nieokreślone „miliony”.

Deportacje są głównym, ale nie jedynym, filarem programu „czyszczenia” Ameryki z obcokrajowców bez amerykańskiego obywatelstwa lub prawa stałego pobytu (zielonych kart). Trump uchylił najpierw prawo do ubiegania się o azyl na granicy – można to robić u siebie w kraju – i zlikwidował mechanizm „warunkowej ochrony” przed deportacją 1,5 mln osób o nieuregulowanym

eprasa.pl 99f292badc

statusie. Drastycznie ograniczył też limity przyjęć politycznych uchodźców, wyjątek czyniąc dla białych Afrykanerów z RPA. Powróciły znane z pierwszej kadencji zakazy wjazdu do USA obywateli krajów określanych przez prezydenta jako „gówniane", czyli przeważnie z biednego Południa. Restrykcje wizowe obcięły liczbę zagranicznych studentów. Wszystkich imigrantów „nieupoważnionych" do pobytu w USA zachęcono do „samodeportacji", oferując im darmowe bilety na podróż.

Celem programu, nieformułowanym oficjalnie, jest prawdopodobnie zahamowanie naporu imigracji z kolorowego i biednego tzw. Trzeciego Świata. Trumpistom przyświeca wizja Ameryki na zawsze zdominowanej przez białą, „judeochrześcijańską" większość. Marzy o niej ideologiczny guru prezydenta, jego doradca Stephen Miller.

Poprzednicy Trumpa w Białym Domu też deportowali nielegalnych imigrantów – Barack Obama na dość masową skalę. Robili to jednak inaczej. Akcje aresztowań i deportacji przeprowadzano dyskretnie. Jakby czując, że eksmisje tych, którzy pragną pozostać, nie pasują do stereotypu Ameryki otwartej dla przybyszów z całego świata. Na Statui Wolności widnieją przecież słowa z poematu Emmy Lazarus: „Daj mi twoich biednych, znękanych, stłoczone masy pragnące oddychać swobodnie".

Nie tak miało być

Dla Trumpa walka z nielegalną imigracją jest sztandarowym punktem jego programu. Deportacjom towarzyszy retoryka prezydenta podszyta ksenofobią, rasizmem i islamofobią. Do akcji aresztowań i deportacji zmobilizował ICE (Immigration and Customs Enforcement), agencję egzekucji prawa imigracyjnego, przekształcając ją w formację zmilitaryzowaną. Uzbrojeni po zęby, zamaskowani agenci działają w biały dzień, paradują ulicami, demonstrując siłę i stanowczość władz.

Są głośno chwaleni przez prezydenta. Mają aresztować jak najwięcej *indocumentados*, bo Trump obiecał deportowanie miliona rocznie. Aby ułatwić agentom pracę, zniesiono dotychczasowe prawne bariery i restrykcje – mogą teraz wchodzić do szkół i kościołów, co wcześniej było zabronione, i bez nakazu sądowego przeprowadzać przeszukania prywatnych domów i mieszkań. Swoje innowacje Trump wprowadził dekretami, nie fatygując się przekonywaniem Kongresu do zmiany prawa.

ICE współpracuje z CBP (Customs and Border Protection), agencją straży granicznej, ale pomagają im – co także nie zdarzało się raczej w przeszłości – inne, niezajmujące się na co dzień imigracją agencje federalne, jak FBI, IRS (służby podatkowe) i DEA (ściganie handlu narkotykami). Izba skarbowa i SSA (Administracja Ubezpieczeń Społecznych) zostały zobowiązane do dzielenia się z ICE danymi o obywatelach – kolejny wyłom w dotąd przestrzeganej praktyce chroniącej prywatność Amerykanów.

Na kampanię deportacji przeznaczono 170 mld dol. – wydatki pięciokrotnie przekraczające łączny budżet ICE i CBP. Do walki z nielegalną imigracją zaangażowano prywatnych detektywów, „łowców nagród" i cały arsenał technologii cyfrowej, z AI włącznie. Software Palantir, firmy Petera Thiela, tworzy megabazę danych do identyfikacji nadających się do wydalenia mieszkańców USA bez obywatelstwa. A osób takich, głównie cudzoziemców pracujących lub studiujących na wizach pracowniczych, są miliony.

Na początku drugiej kadencji Trumpa jego politykę imigracyjną popierała większość Amerykanów. Prezydent mógł za to podziękować Joe Bidenowi, który w kampanii przed wyborami zaprosił do USA pragnących się tam osiedlić obcokrajowców, a kiedy je wygrał, zniósł restrykcje imigracyjne wprowadzone za pierwszej kadencji Trumpa.

Powrót do praktyki *catch and release*, gdzie imigranci zgłaszali się do pograniczników, wnioskując o status uchodźcy, byli natychmiast zwalniani z nakazem stawienia się do sądu, po czym znikali z radaru władz, przyniósł fatalne konsekwencje. Na granicy zapanował chaos, a wielu z setek tysięcy nowych imigrantów wylądowało w miastach, licząc na zasiłki lub żebrząc. Obrazki koczujących na ulicach ludzi były dla telewizji Fox News doskonałą ilustracją dla historyjek o imigrantach gwałcących kobiety i mordujących dzieci.

Mając od społeczeństwa zielone światło, Trump liczył, że będzie mu ono pomagać w ściganiu nielegałów. Amerykanów poinformowano, że mogą dzwonić na gorącą linię i donosić, kto przebywa i pracuje w USA nielegalnie. Nie wiadomo, ile takich telefonów władze otrzymały, ale stanowisko Amerykanów wobec imigracyjnej czystki się zmieniło, kiedy zobaczyli, jak wygląda akcja aresztowań i deportacji.

Trump ogłaszał, że celem działań ICE i CBP są „najgorsi z najgorszych", imigranci kryminaliści, bandyci z latynoskich gangów. Federalni agenci łapią jednak wszystkich, których podejrzewają, że nie są obywatelami USA, głównie czarnych lub mówiących z hiszpańskim akcentem.

W tak szeroko zarzuconą sieć wpadają Latynosi bez amerykańskiego paszportu lub zielonej karty, w tym tysiące mieszkających w USA od lat, z założonymi tu rodzinami. Ludzie przestrzegający prawa, pracujący i płacący podatki. A czasem naturalizowani obywatele, bo zatrzymani nagle przez agentów nie mogą obywatelstwa udowodnić. Rodowici Amerykanie są świadkami wyciągania z domów i samochodów ich własnych sąsiadów, którzy pielęgnują ich ogrody albo opiekują się ich dziećmi. Grozę pogłębiają wiadomości o zgonach aresztowanych w przepełnionych do granic ośrodkach zatrzymań.

Nie tak miało być – rozległy się głosy także w zdominowanych przez Republikanów stanach. „ICE działa jak gestapo" – powiedział popierający dotąd Trumpa, słuchany przez miliony młodych Amerykanów podkaster Joe Rogan. W demokratycznych stanach i miastach opozycja wobec imigracyjnej polityki prezydenta nie ustaje od jego pierwszej kadencji. Władze największych, liberalnych metropolii, „miast-azylów", chronią imigrantów przed deportacją, odmawiając współpracy z rządem.

Kiedy ICE rozpoczęło obławy w Kalifornii i jej mieszkańcy zaprotestowali, Trump ściągnął do stanu 2 tys. żołnierzy Gwardii Narodowej i 600 piechoty morskiej. Prezydent chciał powtórzyć ten manewr w Chicago i Nowym Jorku, ale Sąd Najwyższy – gdzie przeważają konserwatywni sędziowie – nie pozwolił mu na sprzeczne z konstytucją użycie wojska do zaprowadzania porządku w kraju.

Moralna klęska

Do dramatycznej konfrontacji rządu federalnego z proimigracyjną opozycją doszło w Minneapolis w stanie Minnesota. Mieszkańcy tego miasta, gdzie w 2020 r. policja zabiła podczas aresztowania czarnoskórego George'a Floyda, zorganizowali sieć pomocy dla imigrantów, dowożąc ukrywającym się żywność i zdalnie ucząc ich dzieci. Trump wysłał do Minnesoty rekordowo liczny oddział ICE – 3 tys. agentów. 7 stycznia jeden z nich zastrzelił 37-letnią Renee Nicole Good, nieuzbrojoną uczestniczkę ▶

© RICHARD TSONG-TAATARI/THE MINNESOTA STAR TRIBUNE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 99f292badc

▶ pokojowych protestów. 24 stycznia od kul agentów CBP zginął jej rówieśnik Alex Pretti, pielęgniarz w szpitalu dla weteranów.

Natychmiast po zabójstwach Stephen Miller i Kristi Noem, szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego, oświadczyli, że funkcjonariusze działali w obronie własnej. Według nich jadąca samochodem Good omal nie przejechała próbującego ją zatrzymać agenta. Noem nazwała ją „krajową terrorystką". Pretti miał przy sobie pistolet, „wymachiwał nim" i opierał się aresztowaniu, więc funkcjonariusze „musieli użyć broni". Zastrzelony mężczyzna – oświadczył Miller – był „potencjalnym mordercą". Oboje sami są sobie winni, że zginęli, bo „utrudniali pracę" agentom.

Nagrania z incydentów pokazały, że oficjalna wersja rażąco mija się z prawdą. Good chciała uciec, by uniknąć zatrzymania, ale wystarczyło spisać numer rejestracyjny jej wozu. Agent, który oddał do niej trzy strzały, mógł zostać potrącony przez samochód, bo wbrew regułom stał przed jego maską, co potwierdziło, że personel ICE ma braki w wyszkoleniu. Nie powinno to dziwić, bo formacji tej nigdy nie używano do zaprowadzania porządku na ulicach. Pretti został powalony na ziemię, rozbrojony i dopiero chwilę potem – gdy nikomu nie zagrażał – zastrzelony. Przybocznі Trumpa argumentowali, że nie powinien przychodzić na demonstrację z bronią, ale miał prawo ją przy sobie nosić. Nawet NRA, prawicowe lobby posiadaczy broni, oburzyło się, że rząd kwestionuje drugą poprawkę do konstytucji.

Ewidentne morderstwa i bezkarność sprawców – bo administracja nie dopuszcza śledztwa z udziałem władz Minnesoty – wywołały lawinę protestów. Pokojowe marsze przeszły ulicami Minneapolis i wielu innych miast. Demonstracje odbywają się nawet w republikańskich stanach, jak Teksas. Demokraci w Kongresie wezwali do dymisji Noem, grożąc jej impeachmentem. Domagają się obcięcia funduszy dla ICE i CBP.

Krytyczne oświadczenia wygłosiło również kilkunastu republikańskich kongresmenów. Brutalność akcji przeciw imigrantom potępiło wiele konserwatywnych mediów. „To moralna i polityczna klęska prezydentury Trumpa" – orzekł w edytorialu „Wall Street Journal". Poparcie opinii publicznej dla deportacyjnej rewolucji, która dla prezydenta miała być przepustką na górę Rushmore, czyli do panteonu prezydentów USA, spadło do 35–39 proc.

Administracja tłumaczy, że wszystko byłoby OK, gdyby tylko władze Minnesoty i innych rządzonych przez Demokratów stanów współpracowały z federalnymi agencjami. Gubernator stanu Minnesota Tim Walz i burmistrz Minneapolis Jacob Frey odmawiają. Nie muszą współpracować, gdyż gwarantuje im to 10. poprawka do konstytucji. Także w sprawie imigracji, choć niewykluczone, że istnieje tu pole do odmiennych interpretacji. Spory w sądach trwają.

Ryzykowna konfrontacja

Trump ostatecznie zmienił front. Podobno pod wpływem krytyki w Fox News i Republikanów zaniepokojonych, że problemy z deportacjami zaszkodzą im przed połówkowymi wyborami do Kongresu, które już w listopadzie. Prezydent zaczął rozmawiać z Walzem i Freyem, zdystansował się od kłamliwej i jątrzącej retoryki Noem i Millera oraz oświadczył, że zarządzi „deeskalację" konfliktu.

Nawet Miller spuścił z tonu i powiedział, że agenci-zabójcy mogli „nie działać według protokołu". Szef CBP Dan Bovino, gloryfikujący brutalność funkcjonariuszy, poszedł w odstawkę i w Minneapolis zastąpił go Tom Homan, mniej radykalny „car granic", nadzorujący całość polityki imigracyjnej USA. Agentów, którzy zastrzelili Prettiego, wysłano na „administracyjny urlop".

Trudno na razie ocenić, co to oznacza. Czytając sondaże, Trump mógł dojść do wniosku, że siłowa konfrontacja grozi dalszymi ofiarami, więc się nie opłaca. Jeżeli tak, to wobec społecznego oporu prezydentowi nie uda się deportować obiecanych milionów imigrantów.

Być może pogodził się z tym, zrozumiawszy, że wyrzucenie z USA tylu ludzi wykonujących prace, których unikają rodowici Amerykanie, zaszkodzi gospodarce. Straty będą największe w budownictwie, rolnictwie, gastronomii i opiece nad dziećmi. Konserwatywny American Immigration Council alarmuje, że deportacje poczyniły spustoszenia w lokalnych firmach w stanach o największej populacji imigrantów, jak Kalifornia, Teksas czy New Mexico.

– *Deportowanie ludzi, którzy produkują lub przetwarzają żywność i pracują w budownictwie, spowoduje podwyżkę kosztów w tych sektorach, a przecież wyborcy już cierpią przez drogą żywność i drogie mieszkania* – mówi Todd Belt z George Washington University. Może więc doczekamy się poluzowania deportacji i amnestii dla niektórych *indocumentados*, jak w przeszłości. Część obozu Trumpa, Republikanie probiznesowi, to nie fanatyczni natywiści jak Miller.

Demokraci uderzają w Departament Bezpieczeństwa Krajowego, domagając się ukrócenia jego polujących na imigrantów agencji ICE i CBP. Postulują ich „zreformowanie", poddanie kontroli Kongresu i cięcia funduszy. Co radykalniejsi wzywają do likwidacji ICE. Trudno się jednak spodziewać, że Trump i jego sojusznicy z Partii Republikańskiej w Kongresie zgodzą się na znaczące osłabienie ICE. Agencja ta w obecnej postaci jest dla prezydenta zbyt cenna. Jej rola – jak się podejrzewa – nie ogranicza się bowiem do obław na nielegalnych imigrantów.

Rubikon Trumpa?

W USA nie ma scentralizowanych, federalnych sił porządkowych, jak w krajach europejskich. FBI to biuro śledcze, a nie organizacja do tłumienia zamieszek – zadanie takie spada na władze stanów. Tymczasem Trump najwyraźniej chce dysponować siłami zdolnymi do pacyfikacji rozruchów w nieprzyjaznych mu regionach. – *Chce mieć swoją policję tam, gdzie nie może liczyć na lojalność miejscowych władz, taką jak Guardia Civil generała Franco w Hiszpanii* – mówi Alex Keyssar z Uniwersytetu Harvarda.

Tylko po co? Sukcesy ruchu oporu przeciw rewolucji deportacyjnej – ulica, media, sądy, częściowo Kongres – sugerują, że demokracja amerykańska trzyma się mocno. A Trump panicznie obawia się listopadowych wyborów do Kongresu, bo przewidywane zdobycie większości przez Demokratów co najmniej w Izbie Reprezentantów grozi mu parlamentarnymi śledztwami i impeachmentem. „Obecna kampania Trumpa ma na celu przejęcie kontroli nad tymi wyborami" – powiedział demokratyczny senator Chris Murphy.

Z kolei redaktor naczelna tygodnika „The Economist" Zanny Minton Beddoes przekonuje, że wydarzenia w Minneapolis mogą się okazać rubikonem Trumpa: „Czy jego administracja tworzy paramilitarne organizacje z prawie nieograniczoną władzą, by używać przemocy przeciwko Amerykanom? To linia podziału między wolnością a tyranią".

TOMASZ ZALEWSKI

eprasa.pl 99f292badc



Artykuł 5 czy Paragraf 22?

O szansach przetrwania NATO bez USA opowiada politolog Carlo Masala z Uniwersytetu Bundeswehry, autor książki „Jeśli Rosja wygra. Scenariusz”.

MATEUSZ MAZZINI: **– NATO powstało jako sojusz oparty na wiarygodności odstraszania. Potencjalni przeciwnicy mieli wiedzieć, że w przypadku ataku na jedno państwo nastąpi odwet wszystkich innych członków. Mamy jeszcze tę wiarygodność?**

CARLO MASALA: – Percepcja NATO jest jednak bardziej złożona, bo składa się z dwóch równie ważnych fundamentów. Pierwszy to fizyczna, materialna struktura wojskowa. Myśliwce, drony, czołgi, fregaty – jeśli ich nie posiadasz, nie odstraszysz nikogo. Drugim fundamentem jest psychologia, wysyłanie sygnałów adwersarzom. Muszą być przekonani, że w przypadku złego zachowania spotka ich kara. Przekaz od krajów sojuszniczych musi zawierać zarówno stanowczość psychiczną, jak i manifestację zasobów materialnych. Bo jeśli masz tonę sprzętu, ale twoje zachowanie publiczne nie wskazuje na gotowość do użycia go, wtedy przeciwnik może dojść do wniosku, że jakaś operacja mu się jednak opłaci.

To porozmawiajmy o tym zachowaniu publicznym. Zgadza się pan z premier Danii Mette Frederiksen, że ewentualna inwazja Stanów Zjednoczonych lub interwencja militarna w jakiejkolwiek formie na Grenlandii oznaczałaby koniec NATO?

To nie byłby pierwszy przypadek, kiedy państwo Sojuszu wchodzi w konflikt z innym krajem NATO. Brytyjczycy starli się z Islandią w sprawie zakresów terytorialnych połowu ryb, mieliśmy też kilka przypadków napięć między Grecją a Turcją. Oczywiście sytuacja, w której największy członek Sojuszu grozi innemu państwu członkowskiemu użyciem siły względem jego terytorium – to już moment bezprecedensowy i ogromny cios w wiarygodność art. 5. Właściwie to nie potrzeba ▶

© MŁ.CHOR. RAFAŁ SAMLUK/COMBAT CAMERA POLAND

eprasa.pl 99f292badc

▶ już nawet operacji wojskowej na pełną skalę, żeby uderzyć w Sojusz. Ewentualna inwazja na Grenlandię byłaby gwoździem do jego trumny, ale już sam fakt, że Donald Trump, prezydent USA, od lutego 2025 r. grozi użyciem siły wobec tej wyspy, działa na szkodę strategii odstraszania w ramach NATO.

Coś z tej wspólnej wiarygodności odstraszania jeszcze zostało?

Niech pan sobie sam zada pytanie, jak wiarygodne w obliczu tych słów jest teraz stwierdzenie, że w przypadku agresji Rosji wobec państw bałtyckich Amerykanie przyjdą im z pomocą? Od lutego 2025 r., kiedy obecna administracja zaczęła poważnie prowadzić swoją politykę zagraniczną, z ust amerykańskich oficjeli padło już kilka niepokojących deklaracji co do spójności Sojuszu. W grudniu sekretarz handlu Scott Bessent powiedział w Fox News, że w razie rosyjskiej inwazji na kraje NATO USA nie przyślą do Europy wojsk, jedynie mogą zaoferować broń na sprzedaż. Wcześniej Pete Hegseth na swoim pierwszym spotkaniu ministrów obrony państw członkowskich w kwaterze głównej Sojuszu przekazał im, by przestali postrzegać USA jako podstawowego gwaranta konwencjonalnego bezpieczeństwa w Europie. To pojedyncze stwierdzenia czy hasła, które jednak w oczach Rosjan układają się w większą całość. Moskwa nie jest już wcale pewna, że w przypadku agresji na małą skalę wobec kraju z jej „bliskiej zagranicy" Amerykanie jakkolwiek zainterweniują.

Pewien były urzędnik z otoczenia Joe Bidena przekonywał mnie, że Władimir Putin nie zaufa żadnej amerykańskiej administracji, nawet z Trumpem w Białym Domu.

Odstraszanie to kalkulacja. Chodzi o to, żeby zachować 1 proc. niepewności co do naszej reakcji. Przeciwnik może być na 99 proc. pewien, że jego inwazja nie spotka się z naszą odpowiedzią, ale zawsze musi pozostać ten 1 proc. sugerujący, że może jednak dojdzie do konfrontacji. Nawet jeśli to nie jest racjonalne. Proszę spojrzeć na rywalizację amerykańsko-rosyjską. Czy z racjonalnego punktu widzenia miałoby sens dla Amerykanów podejmować działania militarne przeciw Rosji, gdyby Rosjanie zajęli małą część jednego z państw bałtyckich? Oczywiście, że nie, zwłaszcza że ta rywalizacja ma podtekst nuklearny. Dlaczego prezydent USA miałby ryzykować zniszczenie Nowego Jorku w imię obrony Rygi czy Tallina?

Niemniej pozostaje ten 1 proc. niepewności. Bo może jednak to zrobią? Niestety, sygnały, które docierają do nas z Waszyngtonu, mogą sprawić, że Moskwa w tę strategiczną niepewność nie uwierzy. Zresztą to nie są tylko publiczne deklaracje. Dokumenty, które ta administracja produkuje, w tym Narodowa Strategia Bezpieczeństwa, komunikują ten sam przekaz, wywołujący w Moskwie te same reakcje, prowadzący do tych samych wniosków. Nie chcę przez to powiedzieć, że Rosjanie na pewno zaatakują np. Polskę. Akurat to uważam za mało prawdopodobne, przynajmniej w konwencjonalnym rozumieniu wojny – dywizje czołgów raczej nie będą wjeżdżać do was przez granicę z Białorusią, żeby podbić i okupować Warszawę.

Dlaczego?

Bo Polska jest zbyt dużym i zbyt ważnym krajem. W waszym przypadku aktywacja art. 5 z całą jego mocą i zasięgiem byłaby po prostu zbyt prawdopodobna, co w oczach Rosjan zwiększa ryzyko nie do przyjęcia. Niewykluczone jednak, że w rosyjskiej kalkulacji strategicznej ryzyko inwazji krajów bałtyckich jest definiowane jako znacznie niższe i staje się akceptowalne. A Putin chce udowodnić, że gwarancje bezpieczeństwa nie są ani automatyczne, ani równe, ani nawet realne. Dzisiaj to może zrobić przy bardzo niewielkim progu wejścia. Jeśli do tego dojdzie, to wracamy do świata z czasów Sun Tzu, chińskiego teoretyka wojny, który pisał, że jeśli ważny cel strategiczny może zostać osiągnięty przy użyciu niewielkiej siły militarnej, stwarza to idealną sytuację dla najeźdźcy.

Gideon Rachman z „Financial Timesa" ostrzega, że Europa „musi zacząć myśleć o tym, co było nie do pomyślenia" w kwestii NATO, czyli o Sojuszu bez Ameryki. To już ten czas?

Wszyscy w Europie musimy się przyzwyczaić do tego, że USA nie będą już zaangażowane w obronę naszego kontynentu, przynajmniej nie na takim poziomie jak wcześniej. Tymczasem deklaracje naszych polityków wcale nie świadczą o gotowości na takie myślenie. Minister spraw zagranicznych Niemiec Johann Wadephul niedawno był w Waszyngtonie i po spotkaniu z amerykańskimi politykami próbował minimalizować zagrożenie w sprawie Grenlandii. Mam wrażenie, że nawet za zamkniętymi drzwiami, na najwyższym poziomie polityki, w rozmowach takich ludzi jak Emmanuel Macron czy Friedrich Merz nie ma jeszcze pełnej świadomości tego, jak bardzo Ameryka od nas się w tej chwili oddala. Nasi przywódcy nie są gotowi szczerze o tym rozmawiać. Właśnie teraz, kiedy musimy w Europie mieć plan B, bo co zrobimy, kiedy obecne struktury bezpieczeństwa całkowicie się zawalą?

To jest chyba też pytanie o to, czy istnieje NATO bez USA? I czy wówczas nadal miałoby nazywać się NATO?

Może utrzymać swoją nazwę, w końcu Islandia czy Kanada nadal byłyby członkami, geograficznie więc zachowujemy spójność. Problem polega na tym, że Europa znalazła się w sytuacji rodem z książki „Paragraf 22". Nie stać nas na zerwanie więzi z Ameryką, bo tylko Waszyngton jest w tej chwili w stanie zmusić Rosję, żeby usiadła do rozmów w sprawie zakończenia wojny w Ukrainie. Europejskie państwa nie są w stanie nałożyć na Moskwę odpowiednio dużej presji. Oczywiście Amerykanie już nie pomagają Ukraińcom tak jak wcześniej, nie wysyłają broni, najwyżej ją sprzedają za europejskim pośrednictwem. My możemy Ukraińcom kupić sprzęt, ale tylko USA mogą zapewnić dane wywiadowcze.

Dlatego się obawiam, że Europa dokona tu strategicznej kalkulacji. Wybór polegać będzie na powstrzymaniu USA przed przejęciem Grenlandii w takiej czy innej formie albo utrzymaniu relacji z Białym Domem w celu uratowania Ukrainy. Moim zdaniem ta decyzja została już podjęta – Ukraina jest dla Europy ważniejsza. Gdyby jednak się okazało, że Amerykanie odchodzą od rozmów w sprawie zakończenia wojny w Ukrainie, wtedy Europa musi szybko zacząć myśleć o alternatywie. To będzie ostatni moment na znalezienie takiego rozwiązania.

Tylko na czym taka alternatywa miałaby polegać? Da się zreformować NATO od środka? Bez amerykańskiego komponentu?

Ważniejsze pytanie brzmi: czy Europa jest w stanie przejąć odpowiedzialność i kontrolę nad NATO od środka? Bo tego właśnie oczekują od nas Amerykanie. Ich ambasador przy Sojuszu publicznie powiedział, że chciałby, żeby w 2027 r. funkcję SACEUR, czyli naczelnego dowódcy wojsk sojuszniczych w Europie, pełnił ktoś z krajów

eprasa.pl 99f292badc

europejskich, a nie Amerykanin. Nie ma znaczenia, czy byłby to Niemiec, Polak czy Szwed – wszyscy szefowie gabinetów politycznych w europejskich ministerstwach obrony zebrali się na nagłe spotkanie, bo te słowa wywołały absolutną panikę. Taka decyzja całkowicie zmieniłaby strukturę wojsk NATO, bo stacjonujące tu amerykańskie wojska byłyby de facto wyłączone spod sojuszniczego dowództwa. Amerykańskie wojsko nie walczy pod obcym dowódcą, tak byłoby także z SACEUR. Wtedy rodzi się problem, bo mamy do czynienia z podwójną strukturą na kontynencie: z jednej strony wojska USA, z drugiej – NATO. Czy jesteśmy w stanie przewodzić Sojuszem w takim kształcie? Nie wiem, czy to w ogóle możliwe, stąd nagłe reakcje i niedowierzanie.

Czemu miałoby to nie być możliwe?

Spójrzmy na historię i podstawowe założenia NATO. Sojusz powstał, by dokonać gigantycznej synchronizacji i integracji sił zbrojnych różnych krajów. Przez 70 lat nie odbywało się to jednak równomiernie, to była integracja reszty członków z siłami zbrojnymi USA, wszystko kręciło się wokół Amerykanów. Teraz wyobraźmy sobie, że oni znikają i Europa musi radzić sobie sama. Wymagałoby to olbrzymiej liczby informacji i reform, ale trzeba iść w tym kierunku, bo budowa całkowicie nowej struktury nie ma sensu. Unia Europejska nie zastąpi NATO. Nie ma odpowiednich struktur, nie można tu też mówić o wspólnym postrzeganiu zagrożeń. Wewnątrz Unii nie ma przecież zgody co do tego, czy Rosja zaatakuje państwo członkowskie. Nie wyobrażam sobie Węgrów, Słowaków, a do pewnego stopnia też Czechów zgłaszających gotowość do uczestnictwa w nowym NATO z unijnymi ramami instytucjonalnymi.

W stosunkach transatlantyckich jest obecnie bardzo dużo myślenia życzeniowego. Nasi przywódcy wciąż się łudzą, że albo z Trumpem uda się dogadać, albo damy radę go przeczekać. Tymczasem powoli kończy nam się czas. W dodatku mylimy się co do dalszego działania, szukając jednego państwa, które mogłoby przejąć rolę Amerykanów w Sojuszu.

Czy nie powinny to być Niemcy? Tylko czy elity polityczne w Berlinie są na to gotowe?

Moim zdaniem nie należy liczyć na jedno konkretne państwo w tej kwestii. Powinno się to raczej dziać w ramach E5,



Carlo Masala – niemiecki analityk, politolog, wykładowca akademicki, profesor Uniwersytetu Bundeswehry i Uniwersytetu Monachijskiego. W Polsce ukazała się jego książka „Jeśli Rosja wygra. Scenariusz".

czyli Polski, Niemiec, Francji, Włoch i Wielkiej Brytanii. Rola Niemiec to osobny temat.

Jednak stanowicie największą siłę militarną w regionie. W przypadku ewentualnej inwazji ze strony Rosji Polska potrzebowałaby niemieckiego wsparcia, tak samo kraje bałtyckie. Tymczasem od kilkunastu lat nasze elity orientują się raczej przeciw Berlinowi.

W badaniach niemieckiej opinii publicznej od mniej więcej dwóch lat utrzymuje się zgoda co do tego, że wzrost wydatków na obronność i większy nacisk na kwestie militarne były właściwą decyzją władz. Problem pojawia się dopiero, kiedy zaczyna się mówić o politycznej płaszczyźnie tych zmian. Zgadzamy się, że mamy właściwe instrumenty, również fiskalne, żeby wzmocnić swoje bezpieczeństwo. Nie ma jednak woli politycznej, żeby przewodzić tym wysiłkom w Europie. Niemieckie elity nie mają chyba jeszcze pełnej świadomości wyzwania, przed jakim stoją. To kwestia naszej historii, zbiorowej psychiki, wielu czynników, na tyle trudna do rozwiązania, że nasi politycy boją się zrobić krok w tym kierunku. A potrzebujemy dużo silniejszego i bardziej wyrazistego przywództwa.

A komponent społeczny? W Polsce słyszy się dużo narzekania na obywateli, którzy niespecjalnie wydają się zainteresowani przygotowaniem do wojny. Bledniemy w porównaniu z Finami czy Szwedami. A czy to nie wynika właśnie z faktu, że oni do niedawna pozostawali poza NATO, a my za bardzo liczyliśmy na Amerykanów?

Właśnie na tym polega problem. Szwedzi wrzucili wyższy bieg już w 2018 r., wprowadzając politykę zintegrowanej obronności obejmującą zarówno państwo, jak i społeczeństwo. Finowie mają jeszcze głębszą tradycję samoobrony, bo w mniejszym lub większym stopniu zawsze byli pozostawieni sami sobie. Można przyjąć zasadę, że im dalej od Moskwy, tym mniej odporne na zagrożenia okazują się poszczególne społeczeństwa.

Warszawa jest relatywnie bardzo blisko Moskwy. I nic z tego dla nas nie wynika.

Wy, podobnie jak Niemcy, jesteście wyjątkiem. Oba te narody za bardzo wierzyły w amerykańską osłonę. Każdy był przekonany, że koniec końców Amerykanie przyjadą i nas wszystkich ochronią, tylko dlatego, że USA miały interes w ochronie Polski czy Niemiec. Przez całe dekady jeździliśmy na gapę, myśląc, że z tyłu za nami idzie starszy brat. A jego może zaraz zabraknąć.

Co można zrobić, i to w miarę szybko, żeby taką odporność społeczną zwiększyć?

Zawsze w takich sytuacjach wracam do punktu wyjścia w rozmowach o Rosji. Może to nie do końca pasuje do polskiego przypadku, ale na pewno trzeba o tym mówić w Niemczech, we Włoszech, Francji, do pewnego stopnia w Wielkiej Brytanii także. Musimy zrozumieć, że Moskwa prowadzi równolegle dwie wojny. Pierwszą jest tradycyjna wojna kinetyczna trwająca od czterech lat w Ukrainie. Druga to wojna kognitywna, której celem jest zniszczenie europejskich społeczeństw demokratycznych. Tu nie ma sensu używać eufemizmów, celem Putina jest całkowite niszczenie europejskich demokracji i zamach na nasze wartości, światopoglądy, na nasz sposób życia. Co gorsza, Rosjanom częściowo już się to udaje. W ostatnich wyborach parlamentarnych w Niemczech aż 25 proc. wyborców poparło partie otwarcie prorosyjskie. Nie dlatego, że ci wyborcy popierają Rosję, tylko dlatego, że im już prorosyjskość nie przeszkadza. Stała się całkowicie akceptowalna. To wielki triumf rosyjskiej propagandy.

Domyślam się, że nie lubi pan takich pytań, ale trzeba je zadawać. Ile mamy czasu?

Ukraina kupuje nam ten czas. Od czterech lat. W momencie, gdy ich wojna się zatrzymuje, bez względu na powód, wchodzimy wszyscy w nową fazę konfliktu. To mogą być dwa lata, trzy, cztery, może pięć, ale konkretna liczba nie ma znaczenia. Duński wywiad szacuje, że Rosjanie w dwa lata odbudują pełną sprawność wojskową, ale już po sześciu miesiącach byliby w stanie zrobić coś na mniejszą skalę. Musimy być gotowi natychmiast.

ROZMAWIAŁ MATEUSZ MAZZINI

© MP

eprasa.pl 99f292badc

Cyfryzator

Mychajło Fedorow zastał Ukrainę analogową i wcisnął państwo do smartfona. Teraz jako nowy minister obrony ma digitalizować pole walki.

LEON PIŃCZAK



Gdy w połowie lat 90. mały Mychajło przyjechał z rodzicami na weekend do Zaporoża w południowo-wschodniej Ukrainie, nie chciał wracać. Pierwszy raz zobaczył duże miasto, restauracje, nieradzieckie samochody. Wtedy – jak wspomina – podjął decyzję, że musi się wyrwać z rodzinnej Wasyliwki. Po powrocie do domu, 40 km na południe od Zaporoża, wdrożył swój plan: zaczął zarabiać, pomagał lokalnym rolnikom przy zbiorach arbuzów, uprawiał i sprzedawał cebulę. Wszystko w jednym celu – aby się stamtąd wyrwać.

Trzy dekady później nie może wrócić do rodzinnej wioski, którą okupują Rosjanie, a trasa do Zaporoża jest dziś linią frontu. 35-letni Mychajło Fedorow, który został właśnie ministrem obrony Ukrainy, zamierza to zmienić. Jako nowy szef najważniejszego resortu w czasie wojny ma zadbać m.in. o większy komfort – w tym finansowy – żołnierzy walczących na pierwszej linii frontu. Ma to związek z innym zadaniem nowego ministra, czyli powstrzymaniem coraz liczniejszych dezercji. Przede wszystkim ma jednak nie przegrać wojny, o czym przesądzi prawdopodobnie jego „konik", czyli drony.

Dziecko epoki

Lata 90. w Ukrainie były czasem chaosu. Związek Radziecki się rozpadł, a nowe państwo nie było pewne swojej roli. Dzieci dorastające w tym okresie mogły już oglądać w telewizji hollywoodzkie filmy, ale ich codzienność wyznaczały poradzieckie mieszkania z obdartą tapetą i rozpadającą się infrastrukturą.

Dla wielu z nich przełomem był komputer w domu, rodzina Fedorowów kupiła swój pierwszy wysiłkiem zbiorowym. Składali się na niego wszyscy krewni, a mimo to konieczne było zaciągnięcie kredytu. Sprzęt kosztował ok. 4 tys. hrywien przy średnich zarobkach rzędu 200. Uzbrojony we własny sprzęt Mychajło pomagał nauczycielom cyfryzować pierwsze lekcje. A równolegle próbował zarabiać na nowej technologii: wygrywał wirtualną walutę w grach komputerowych i sprzedawał ją za realne pieniądze w lokalnych klubach komputerowych.

Tego procederu nie zaniechał, studiując socjologię i zarządzanie na Zaporoskim Uniwersytecie Narodowym, co dało mu sporą rozpoznawalność wśród rówieśników. W 2012 r. został nawet studenckim merem Zaporoża, angażował się w życie społeczne miasta. Wciąż pod finansową kreską, chwytał się kolejnych biznesów internetowych. Jeszcze na studiach założył firmę SMMSTUDIO – robił to, co wychodziło mu najlepiej: marketing cyfrowy, reklamę w mediach społecznościowych.

Jak niemal każda kariera polityczna epoki Wołodymyra Zełenskiego, również ta miała swój początek w osobistej relacji z popularnym komikiem, który w 2019 r. dość niespodziewanie został prezydentem Ukrainy. Firma Fedorowa przez kilka lat współpracowała bowiem z wytwórnią Studio Kwartał 95, z której wywodzi się Zełenski oraz znaczna część jego zaplecza politycznego.

Jak wspomina Fedorow w licznych podkastach, przyszłego prezydenta poznał jeszcze w czasach przedpolitycznych. W biurze Kwartału jeden z menedżerów zaprosił Zełenskiego do sali spotkań, gdzie siedział młody biznesmen. Obaj zafascynowani potencjałem cyfryzacji szybko znaleźli wspólny język. Fedorow

© SASHA MASLOV/THE NEW YORK TIMES/EAST NEWS

eprasa.pl 99f292badc

wspomina, że ich pierwszy wspólny pomysł dotyczył cyfryzacji usług publicznych, zgodnie z hasłem, że „komputer nie bierze łapówek". Gdy w sylwestrową noc 2018 r. Zełenski ogłosił start w wyborach prezydenckich, u jego boku – jako specjalista od mediów i komunikacji – stał Fedorow.

Kampanię w internecie wzorował m.in. na pierwszej kampanii Donalda Trumpa. Kluczem był pomysł angażowania obywateli, w działania wolontariackie na rzecz partii Sługa Ludu włączyło się ponad 800 tys. osób. Fedorow odpowiadał za stworzenie sloganu kampanii „Ze!" (skrócone nazwisko kandydata), strony internetowej oraz spójnego systemu identyfikacji wizualnej.

Zamiast charakterystycznej dla ukraińskich kampanii dystrybucji prezentów wyborczych – długopisów, parasoli czy reklamówek – Fedorow postawił na jaskrawe zdjęcia, krótkie wideo oraz memy z udziałem Zełenskiego. Całość doprowadziła do tzw. elektoralnego Majdanu – w drugiej turze wyborów Zełenski zdeklasował Petra Poroszenkę, zwyciężając z przewagą blisko 50 pkt proc.

Państwo i Ja

W końcu Fedorow sam trafił na listę wyborczą i w 2019 r. wszedł do parlamentu, a zaraz potem został wicepremierem i ministrem cyfryzacji. Wtedy rozpoczął swój najambitniejszy projekt, czyli pomysł na „państwo w smartfonie".

Pół roku później zaczęła działać państwowa aplikacja Dija (ukr. działanie) – nazwę utworzono z połączenia słów *derżawa* (ukr. państwo) oraz ja. Początkowo oficjalna apka oferowała tylko podstawowe funkcje: cyfrowy dowód osobisty, prawo jazdy, legitymację studencką. Ukraińcy nie od razu dali się przekonać – w ciągu pierwszych dwóch miesięcy aplikację pobrało zaledwie 2 mln użytkowników.

Dija jednak pęczniała o kolejne obszary państwowej papierologii: od dokumentów związanych z narodzinami dziecka, przez zmianę miejsca zameldowania, po założenie spółki. Skróciło to czas załatwiania spraw urzędowych z tygodni do kilkunastu minut. Roczne oszczędności na biurokracji sięgnęły co najmniej 49 mld hrywien (ponad 4 mld zł), a koszty uzyskania usług publicznych spadły średnio sześciokrotnie. Na koniec 2025 r. z aplikacji Dija korzystało 23 mln Ukraińców (mObywatela używa ok. 10 mln Polaków).

Efekt jest widoczny w międzynarodowych zestawieniach. Według EGDI, rankingu cyfryzacji państw publikowanego przez ONZ, Ukraina w latach 2018–24 awansowała o 52 pozycje, osiągając 30. miejsce i wyprzedzając Polskę (37. miejsce). Jeszcze bardziej spektakularny był skok we wskaźniku e-Participation, mierzącym wykorzystanie technologii informacyjno-komunikacyjnych do włączania obywateli w procesy decyzyjne: Ukraina zajęła w nim pierwsze miejsce na świecie, notując w tym samym okresie awans aż o 74 pozycje.

Ministerstwo cyfryzacji zbierało też pochwały za szybkie reakcje na kryzysy, choćby podczas pandemii. Fedorow ewidentnie potrafi podchwytywać gorące z punktu widzenia państwa tematy. Choć oczywiście niemałą rolę odegrało zaufanie, jakim darzy go prezydent Zełenski. W sporach między resortami to cyfryzacja częściej wychodziła zwycięsko, a projekty ministerstwa zyskiwały status nadrzędny.

Model ten miał jednak wbudowaną słabość. Im więcej inicjatyw opierało się na osobistym autorytecie ministra, tym silniej system uzależniał się od jego bezpośredniego zaangażowania. Kilka tygodni przed rosyjską inwazją ministerstwo Fedorowa ogłosiło „przełomowy" program: telefon komórkowy dla każdego emeryta w zamian za szczepienie przeciwko Covid-19 – niewątpliwie z myślą o nadchodzących w 2024 r. wyborach prezydenckich. Ale z tym Fedorow nie zdążył.

Droniada

W piątym dniu pełnoskalowej inwazji, gdy rosyjskie wojska stały już na obrzeżach Kijowa, ministerstwo Fedorowa zaczęło pracę nad chatbotem eWróg. Sprawa była pilna: Ukraińcy masowo publikowali w mediach społecznościowych zdjęcia i nagrania wrogiego sprzętu, narażając się na niebezpieczeństwo. Konieczne było stworzenie bezpiecznego, kontrolowanego kanału komunikacji z wojskiem.

Po tygodniu intensywnej pracy zintegrowany z Dija chatbot zaczął działać. Najpierw pomógł w identyfikacji rosyjskich wojsk pod Kijowem i „nadzorował" ich odwrót, a następnie – aż do dziś – umożliwiał Ukraińcom na terenach okupowanych bezpieczne przekazywanie informacji na terytoria pozostające pod kontrolą Kijowa.

Równolegle sama Dija przeszła transformację z narzędzia stricte administracyjnego w uniwersalną aplikację cywilno-wojskową. Od pierwszych dni wojny umożliwiała szybkie raportowanie zagrożeń, rejestrację zniszczonego mienia, dostęp do dokumentów zastępczych, obsługę świadczeń dla uchodźców wewnętrznych i wypłat socjalnych, a także ułatwiała proces mobilizacji wojskowej.

Wraz z przejściem wojny w fazę „stacjonarną" ministerstwo Fedorowa skupiło się na dronach. Powstał klaster technologiczny Brave1, ułatwiający start-upom pozyskiwanie państwowych środków na rozwój technologii dronowych i systemów zakłócających. Zaczął też działać – jak mówi Fedorow – wojskowy Amazon, czyli platforma, na której jednostki wojskowe mogą wymieniać punkty za straty zadane wrogowi na nowoczesny sprzęt.

W ten sposób – w czym duża zasługa samego Fedorowa – ukraińska cyfryzacja przestała być jedynie narzędziem ułatwiającym życie obywatelom. Stała się filarem wojennej odporności całego państwa, instrumentem prowadzenia wojny.

Lista sukcesów Fedorowa jest długa. Można go wręcz uznać za przedstawiciela nowej ukraińskiej elity, „dowożącej" nie kolejne afery korupcyjne, lecz wymierne, momentami wręcz historyczne rezultaty. Sam minister, bezwzględnie lojalny wobec prezydenta i darzony przez niego osobistą sympatią, wchodząc teraz do resortu obrony, musi się jednak liczyć z polem minowym, jakie pozostawili poprzednicy.

Choć ukraińskie organy antykorupcyjne nie ujawniały dotąd systemowych afer w ministerstwie obrony, trudno zakładać, by w ciągu czterech lat wojny nie dochodziło tam do nadużyć. Ukraiński MON nie jest być może resortem tak toksycznym jak energetyka, przez lata drenowana przez ludzi Timura Mindicza, lecz potencjalnie skrywa w sobie ładunek wybuchowy o sile większej niż bomby spadające na Kijów niemal każdej nocy.

Fedorow nie ukrywa swoich planów: cyfryzacja procesów, upraszczanie procedur i wyciskanie maksimum użyteczności z ograniczonych zasobów, często poprzez maskowanie słabości państwa. Trudno dziś sobie wyobrazić w Ukrainie gorętszy obszar do przejęcia. Ale jeśli Fedorow poradzi sobie z tym zadaniem, może się stać faworytem do zastąpienia Zełenskiego. Albo przynajmniej będzie mógł wrócić do rodzinnej Wasyliwki. ■

eprasa.pl 99f292badc

Zbrodnia w Bullerbyn

Szwecja debatuje nad serią zabójstw dokonanych przez pacjentów psychiatrycznych, których prawo zabrania izolować. I którym prawo pozwala zniknąć.

KATARZYNA TUBYLEWICZ ZE SZTOKHOLMU

W tym roku święta upłynęły w Szwecji pod znakiem makabrycznej przemocy względem kobiet. Społeczeństwo od dłuższego czasu było karmione przez media i polityków mantrą o tym, że zło to inni, czyli gangsterzy o imigranckich korzeniach – wystarczy ich deportować i będzie Bullerbyn. Tym razem jednak potworami okazali się rodowici Szwedzi, na pierwszy rzut oka raczej potencjalne ofiary niż sprawcy. A obrazu dopełnia fakt, że do zła przyczyniły się reformy państwa szwedzkiego, które miały przynieść dobro.

Przed południem pierwszego dnia świąt w raczej nudnej miejscowości Boden na dalekiej północy została zamordowana 55-letnia mieszkanka przytulnego drewnianego domu. 22-letni napastnik skatował też dwie nastoletnie córki kobiety i – co ważne – był to człowiek bez żadnych związków z zamordowaną. Nigdy wcześniej jej nie spotkał. Otworzyła mu drzwi, bo miał kupić od niej jakąś rzecz, którą zamieściła na platformie sprzedaży rzeczy używanych.

Mężczyzna maltretował ją przez wiele godzin, a kiedy w końcu jednej z córek udało się wezwać policję, szwedzcy policjanci, słynący z nienadużywania broni, zastrzelili napastnika na miejscu.

Zbrodnia nieizolowana

Kim był? Pacjentem psychiatrycznym – jego matka od dawna drżała przed atakami furii syna i błagała odpowiednie instytucje o pomoc. Informowała też, że syn przestał brać antypsychotyczne leki. Szkopuł w tym, że w Szwecji prawie się dziś nie zdarza, żeby osoba chora psychicznie była od otoczenia izolowana. Zresztą odpowiednie placówki od lat nie dysponują już odpowiednimi narzędziami przymusu.

Najnowsza reforma szwedzkiej psychiatrii, przepełniona humanitaryzmem, polega głównie na jej deinstytucjonalizacji, czyli odejściu od masowego leczenia w dużych szpitalach psychiatrycznych na rzecz opieki środowiskowej, której podstawowym celem jest integrowanie chorych psychicznie ze społeczeństwem oraz dbałość o ich godność. Reforma zaszła tak daleko, że nie wiadomo, co robić z pacjentami, którzy stanowią zagrożenie dla otoczenia.

We wrześniu ratowniczka medyczna Helena Löfgren, lat 47, została zadźgana nożem przez psychotycznego pacjenta, który był nawet hospitalizowany na oddziale psychiatrycznym, ale wrócił do domu. Nadal był tak agresywny, że ze szpitala do mieszkania wiózł go radiowóz policyjny. Pacjent ten dzwonił wielokrotnie na numer 112, informując, że chce się zabić, ale chce też mordować innych. A kilka dni przed tym, jak zabił ratowniczkę, zaatakował kijem bejsbolowym innego pracownika pogotowia, który się jednak wybronił, bo trenował sporty walki. Historia podobna do tej świątecznej z Boden, gdzie pacjent psychiatryczny, na siłę integrowany ze społeczeństwem, zabił matkę dwóch córek i sam stracił życie.

Dosłownie chwilę po tym wydarzeniu, późnym wieczorem 25 grudnia, w podsztokholmskim Rönninge zaginęła 25-letnia My. Internet wypełnił się zdjęciami ślicznej studentki, która wracała podmiejskim pociągiem ze spotkania z przyjaciółmi i zniknęła bez śladu. Wiadomo było jedynie, że wysiadła na stacji w rodzinnym Rönninge, bo uchwyciły to zamontowane tam kamery. Rodzina, która rozpoczęła poszukiwania na własną rękę, znalazła w pobliżu stacji słuchawki do iPhone'a zaginionej, młotek i opaski zaciskowe.

Analiza śladów DNA doprowadziła śledczych do mężczyzny, który siedział już w szwedzkim więzieniu za próbę porwania 10-letniej dziewczynki oraz posiadanie w komputerze ponad 40 tys. zdjęć pornograficznych z udziałem dzieci. Chodziło więc o pedofila – i to znanego, bo kiedy mężczyzna jako 19-latek próbował uprowadzić dziecko, sprawa była głośna w całej Szwecji.

Psychiatrzy już dawno ostrzegali, że w jego przypadku prawdopodobny jest powrót do działań przestępczych. Podobną opinię na temat wyglądającego jak niewinny blondynek Robina (tak miał wówczas na imię), zwanego też pedofilem z Ekerö, wystawili jego opiekunowie więzienni. Ale Robin wyszedł na wolność, i to szybciej niż planowano. Tę decyzję ostro krytykował najsłynniejszy szwedzki kryminolog Leif G.W. Persson. Ostrzegała walcząca z pedofilią organizacja Dumpen, a także osoby prywatne, jedna z nich została nawet skazana za publiczne zniesławienia Robina.

W grudniu 2025 r. pedofil z Ekerö został ponownie aresztowany w chwili, gdy próbował pochować w lesie poćwiartowane zwłoki 25-letniej My. W jego komputerze i telefonie znaleziono ponownie kilkadziesiąt tysięcy zdjęć pornograficznych, tym razem były to także zdjęcia nekrofilskie.

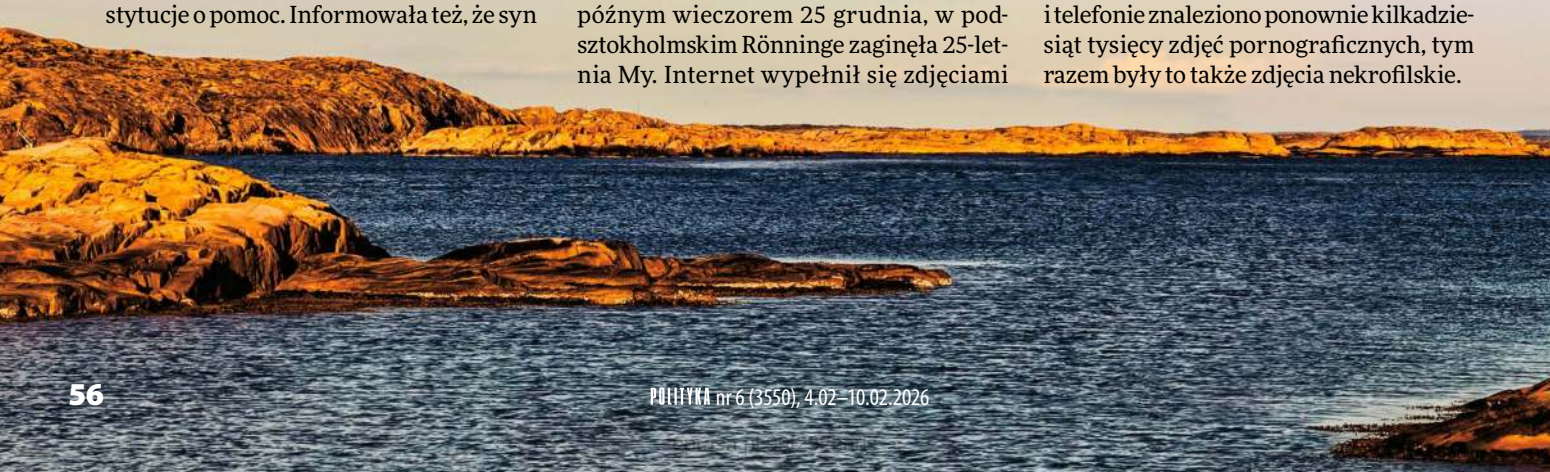

Robin, czyli Vilma

Robin przed dokonaniem tego morderstwa „wyprał" swoją tożsamość. Miał mieszkanie i pracę – i mógł spokojnie planować zbrodnię, a w tym wszystkim pomogło mu, niestety, szwedzkie państwo. Po pierwsze, jego tożsamość była chroniona. W Szwecji, w której można bez problemu sprawdzić w internecie adres domowy każdego polityka, jego adresu znaleźć się nie dało, był utajniony. Powód? On, a także jego rodzice, czuli się wytykani palcami.

Poza tym morderca My trzykrotnie skorzystał z możliwości zmiany imienia i nazwiska. Było to proste, bo od 2017 r. szwedzkie prawo pozwala na to bezpłatnie, bez uzasadnienia i online. To ukłon w stronę imigrantów o nieszwedzko brzmiących nazwiskach, rodzin patchworkowych, rozwodników oraz ludzi, którzy wybierają sobie nowe imię ze względów tożsamościowych.

I kiedy morderca My został aresztowany, okazało się, że jest nim... Vilma Andersson, blondynka o umalowanych powiekach. Media przez długi czas pisały o zabójcy „ona" albo ewentualnie *hen* (ten niedawno wprowadzony do użytku szwedzki zaimek osobowy może być stosowany zarówno do określenia kobiet, jak i mężczyzn) i trochę trwało, zanim kolejne redakcje zaczęły się z tego wycofywać. Dlaczego?

Robin Andersson nie zmienił prawnie płci, a to w Szwecji jest także proste i nie wymaga bycia w procesie tranzycji płciowej. Wystarczy zaświadczenie lekarza lub psychologa o tym, że zainteresowany lub zainteresowana taką prawną zmianą nie identyfikuje się ze swoją płcią. Morderca My nie skorzystał z tej możliwości.

Ponadto żeńskie imię i nazwisko, które sobie wybrał, nie było przypadkowe. Tylko jedna litera różni je od imienia i nazwiska Wilmy Andersson – 17-letniej dziewczyny, która była ofiarą głośnego morderstwa i została poćwiartowana przez swojego chłopaka.

Sofia Löwenmark w liberalnym tygodniku „Fokus" przekonuje, że mamy tu do czynienia z seksualnym sadystą, podejrzanym o skrajnie brutalne morderstwo. A w takim kontekście imiona i zaimki stają się częścią samego aktu przemocy. „Część osób zbywa kwestię nazewnictwa jako szczegół. Ale nasz język współtworzy rzeczywistość – pisze Löwenmark. – Kiedy media decydują się określać sprawcę »ona«, morderstwo przestaje być częścią przestępstw określanych jako przemoc względem kobiet".

Można pójść dalej. Jak ewentualne uznanie mordercy studentki z Rönninge za kobietę („ona" mówił już o nim prokurator oraz sędzia, podczas gdy adwokat nazywał go konsekwentnie mężczyzną) wpłynęłoby na statystykę? Czy mielibyśmy nagle do czynienia z precedensem – kobietą dokonującą napadu i morderstwa o podtekście seksualnym? To dość rzadkie zjawisko w kryminologii.

Nadużycia rewolucji

W Polsce o wydarzeniu donosiły głównie media prawicowe, informując o morderstwie w Szwecji dokonanym przez „transseksualistę". A Robin, zwany obecnie Vilmą Andersson, transseksualistą nie jest i prawdopodobnie trudno go też nazwać osobą niebinarną. Gdyby taką był, prawdopodobnie skorzystałby z możliwości prawnej zmiany płci. Inna rzecz, że patrząc na Szwecję, nie trzeba być oskarżaną dziś o transfobię J.K. Rowling ani zagorzałą feministką, żeby mieć także wątpliwości co do tego, czy łatwość prawnej zmiany płci jest dobra w każdej sytuacji i dla wszystkich.

W zeszłym roku głośna była sprawa mężczyzny z Södertälje, odsiadującego wyrok dożywocia za zamordowanie dwójki swoich dzieci, który już po osadzeniu zmienił prawnie tożsamość płciową i ma teraz zostać przeniesiony do więzienia dla kobiet. Krytycy twierdzą, że będzie tam stanowił zagrożenie dla osadzonych, i uważają to za drwienie z prawa, z więziennictwa i nawet z praw osób niebinarnych.

To oczywiście pojedyncze wydarzenie w morzu innych sytuacji, kiedy możliwość szybkiej zmiany tożsamości ratuje komuś życie i przywraca godność. Wygląda jednak na to, że przy okazji rewolucji obyczajowej, uwalniającej ludzi od niechcianej tożsamości i pozwalającej na wolność bycia sobą, trzeba zwracać uwagę na nadużycia. Na przykład czy zmiana tożsamości powinna być dostępna tylko dla ludzi niekaranych?

Tymczasem Szwecja powoli wychodzi z szoku. Odbyło się kilka demonstracji przeciw przemocy wobec kobiet. Szwedzi zebrali duże sumy na wsparcie rodzin ofiar z Boden i Rönninge. Toczy się dyskusja, kto jest winny temu, że osoby, które mogą zagrażać otoczeniu, nie są od niego izolowane. I czy możliwe jest izolowanie takich osób bez nadwerężania zasad demokracji.

Rząd zapowiedział zaostrzenie kar. Już niedługo sprawcy wielokrotnych brutalnych gwałtów będą mogli zostać skazani na dożywocie. Jeszcze tej wiosny zostanie też wprowadzona w Szwecji tzw. detencja zabezpieczająca sądowo-psychiatryczna polegająca na przymusowym umieszczeniu sprawcy czynu zabronionego w zakładzie psychiatrycznym. Premier Kristersson twierdzi, że dzięki temu mężczyźni mordujący kobiety, seryjni gwałciciele i pedofile nie będą ponownie wypuszczani na wolność po odsiedzeniu kary. ■



© SHUTTERSTOCK

Świata rozumem nie pojmiesz

Myślenie naukowe od czystego szaleństwa często dzieli tylko krok. I może to być wielki krok w dziejach ludzkości – ostrzega pisarz i eseista **Benjamín Labatut**.

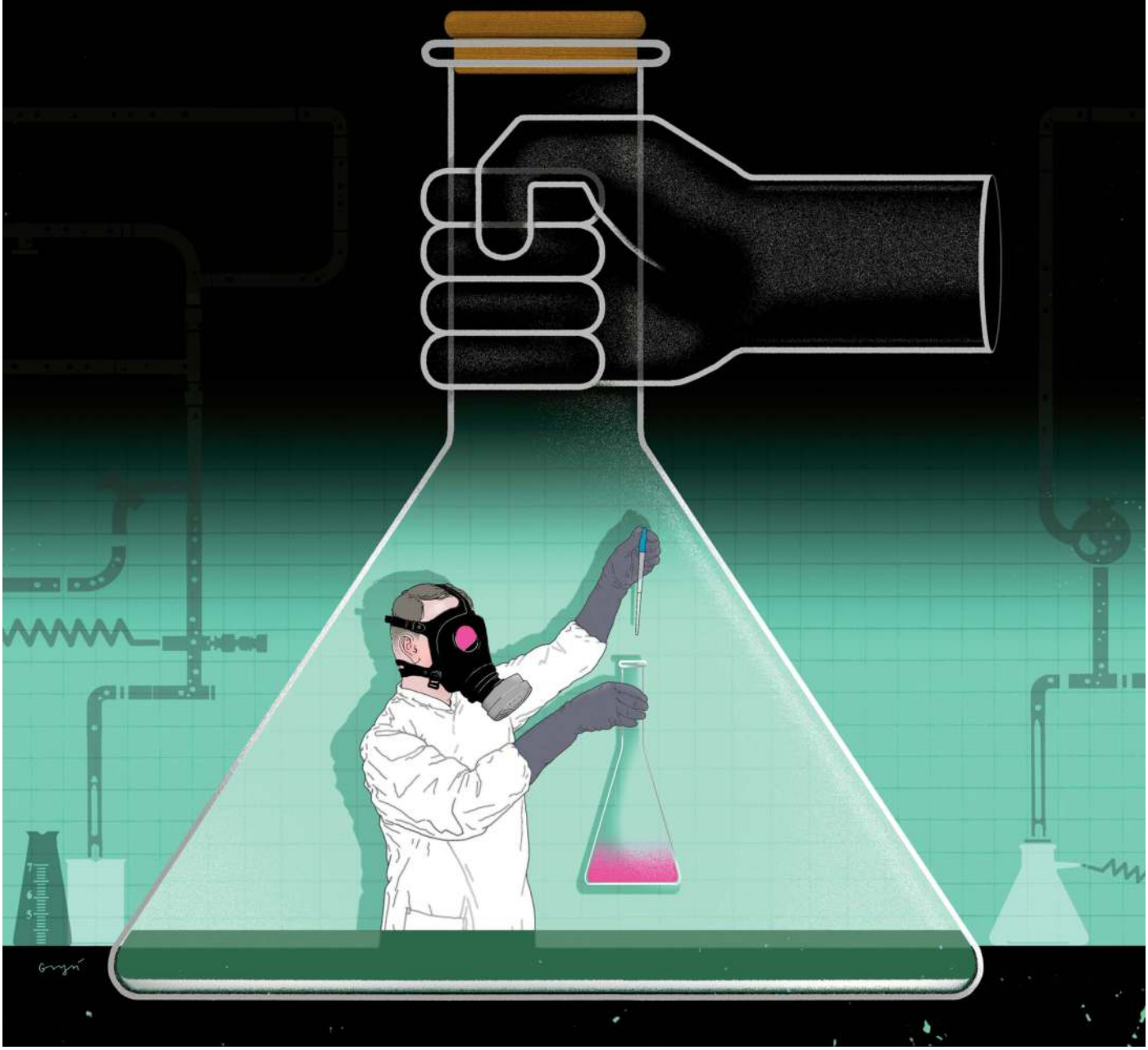

ILUSTRACJA **MIROSŁAW GRYŃ**

eprasa.pl 99f292badc

TOMASZ TARGAŃSKI: **– W pańskich książkach, „Maniaku" czy „Strasznej zieleni", nauka wygląda na obszar nawiedzony przez demony. A ludzie, którzy się nią zajmują, zmagają się z czymś, co wymyka się rozumowi. Skąd ten mrok?**

BENJAMÍN LABATUT: – Wychodzi z nas, ponieważ jesteśmy gatunkiem nawiedzonym przez własny umysł. Mówię o ciemności albo demonach, bo bardzo trudno określić coś, co pojawia się w chwili, gdy przestajemy rozumieć świat. Te martwe pola, osobliwości, matematyczne aberracje nawiedzały największe umysły epoki, kiedy się okazało, że metoda, w którą wierzyli, której poświęcili życie, zawiodła ich do granicy nie do przekroczenia.

Trudno to zaakceptować, ponieważ nauka miała być remedium na chaos świata. Oczekiwaliśmy, że da nam klarowny obraz rzeczywistości, tyle że coś takiego po prostu nie istnieje. Każde narzędzie, którego używamy do interakcji z rzeczywistością – czy to zmysły, technologia, czy wzory matematyczne – rzuca na nią własny cień. Nawet matematyka jest zainfekowana. Nasze dążenie do czystości prawdy to nieosiągalne marzenie, bo świata nie da się objąć rozumem.

Zejdźmy na moment na poziom konkretu. W jakich sytuacjach ów mrok się pojawia?

Weźmy Karla Schwarzschilda, wybitnego fizyka, który badał teoretyczną możliwość istnienia czarnych dziur. Teoretyczną, bo na początku XX w. mało kto wierzył, że one faktycznie istnieją. Schwarzschild wyliczył, że w samym środku tego obszaru znajduje się osobliwość, czyli punkt, w którym prawa fizyki ulegają załamaniu, a krzywizna czasoprzestrzeni staje się nieskończona. Był przerażony, że coś takiego może naprawdę istnieć. Stawiało to pod znakiem zapytania sensowność ogólnej teorii względności, ale przede wszystkim podważało fundamenty fizyki, ponieważ w tych warunkach traciły sens pojęcia przestrzeni i czasu. Schwarzschild szukał logicznego wyjścia z zagadki, ale go nie znalazł. Umarł niedługo po odkryciu osobliwości, trawiony przez widmo wiecznej pustki, która nie rośnie ani się nie zmniejsza i nie poddaje się wpływowi czasu.

Inny przykład to John von Neumann. Chyba najbardziej błyskotliwy umysł XX w. – autor teorii gier, pionier informatyki i komputeryzacji. Był przekonany, że mając do dyspozycji komputer o odpowiedniej mocy obliczeniowej, można będzie zmatematyzować całe życie: wyrazić w liczbach każdy biologiczny proces i każdą ludzką decyzję. Wtedy, jak sądził, w każdej sytuacji będzie można znaleźć optymalny sposób postępowania.

Jego teoria zakładała jednak istnienie idealnie racjonalnych i logicznych uczestników. Nie było w niej miejsca na ludzką niedoskonałość. Tymczasem normalni ludzie oszukują, zdradzają, zapominają, podejmują nieprzemyślane decyzje. Nawet w sytuacjach, które wymagają chłodnego osądu, zdajemy się na instynkt. Życie to znacznie więcej niż tylko gra liczb. Bogactwa jego struktury nie sposób wyrazić za pomocą równań.

Inny pana bohater to Fritz Haber, genialny chemik, który stworzył i opatentował metodę produkcji nawozów azotowych. Dlaczego on?

Haber uosabia pewien paradoks. To dzięki niemu Niemcy nie umarli z głodu podczas pierwszej wojny światowej, kiedy alianci zablokowali import nawozów. O Haberze mówiło się, że „wydobył chleb z powietrza", ponieważ jego metoda pozwalała uzyskiwać amoniak z azotu i wodoru. Utrzymanie światowej populacji na obecnym poziomie nigdy nie byłoby możliwe bez tego odkrycia. Jednocześnie ten sam Haber odegrał kluczową rolę w opracowaniu gazu musztardowego użytego pod Ypres w 1915 r. A już po wojnie, jako dyrektor Instytutu Chemii Cesarza Wilhelma, wyprodukował wiele nowych substancji trujących: jedną z nich był wyjątkowo śmiercionośny środek owadobójczy – gaz znany później jako cyklon B. Haber, który sam był Żydem, stworzył zatem narzędzie, którym uśmiercono miliony ludzi w komorach gazowych.



Benjamín Labatut (ur. 1980 r.) – pisarz chilijsko-holenderski, autor prozy eseistycznej na pograniczu literatury faktu i fikcji, skupionej na historii nauki i jej mrocznych konsekwencjach. W Polsce ukazały się jego książki „Straszliwa zieleń" i „Maniak". W swojej twórczości inspiruje się dziełami chilijskiego poety Samira Nazala oraz takich pisarzy jak William S. Burroughs, Roberto Bolaño czy W.G. Sebald.

Jego postać świetnie unaocznia fakt, że w nauce nie ma czegoś takiego jak niewinne odkrycia. Każde z nich, nawet pozornie czyste i dobre, może prowadzić do zła. Pisząc o tym i innych przypadkach, nie mogłem przestać myśleć o taoistycznej idei, że nie da się dodać do tego świata nawet jednego fotonu światła, nie dodając tyle samo cienia. Myślimy, że nauka rozświetla otaczający nas mrok, ale zapominamy, że zawsze podąża za nią cień.

Te martwe pola raczej nie są tematem naukowych debat. Jakimi narzędziami w takim razie je badać?

Najbardziej odpowiednim sposobem wydaje mi się właśnie literatura. Tylko ona ma wgląd w niedostępne umysłowi zakamarki naszego życia. I to dzięki niej możemy spojrzeć na niedające się pogodzić paradoksy, które tkwią w sercu nauki. Ta dwoistość – odpowiedzi, które otwierają nowe obszary niewiedzy – jest czymś bardzo ludzkim. Wpisuje się w naszą dramatyczną ▶

© MARILLA SICILIA/MONDADORI/GETTY IMAGES

eprasa.pl 99f292badc

▶ egzystencję. Jak pokazują losy moich bohaterów, język nauki jest zbyt ubogi, żeby opisać zjawiska, które sam odkrywa.

Dlaczego?

Fizycy zajmujący się naturą czasu czy przestrzeni pewnie nie zgodzą się z tym, co powiem, ale nauka w dużej mierze zajmuje się prawdami tymczasowymi, bo z definicji musi co chwila kwestionować samą siebie. Literatura natomiast szuka prawd wiecznych, związanych z tym, że jesteśmy istotami śmiertelnymi.

Najgłębszych prawd o naszym bycie nie da się jednak ubrać w słowa – one leżą poza symbolami. To kolejny paradoks: próbujemy opisać te prawdy, choć wiemy, że to niemożliwe. Traktuję naukę nie jako jedyną, lecz jedną z wielu symbolicznych prób dotarcia do prawdy. Jest siecią, którą zarzucamy na świat, by go schwytać i pojąć. Są też inne sposoby: mity, opowieści. Nawet dziś, w świecie, który szczyci się swoją logiką i racjonalnością, czasami wolimy interpretować rzeczywistość poprzez obrazy zaczerpnięte z filmów czy wizje autorów science fiction. Naukowy światopogląd współistnieje w nas z fantazjami, snami i zabobonami.

Wbrew temu, co chcielibyśmy sądzić, nasze mózgi to nie superkomputery ze snów Neumanna. Żyjemy w sieci półprawd i projekcji. Zauważmy, że nauka staje się dziwna i pełna paradoksów, gdy zaczyna patrzeć na samą siebie. To są momenty przebudzenia. Umysł, który próbuje poznać sam siebie, natrafia na coś, co nie mieści się w jego aparacie poznawczym. Kiedy laik styka się z funkcją falową, może mówić o niej tylko w jej własnych kategoriach. Ta autoreferencyjność jest również cechą boską, ponieważ bóg jest zarówno źródłem, jak i treścią swojego bytu.

Często odwołuje się pan do ciemności, pisze o demonach. To coś realnego czy tylko figura retoryczna?

Zdecydowanie coś realnego. Jednym z powodów, dla których my, ludzie szeroko pojętego Zachodu, jesteśmy dziś tak zagubieni, jest to, że nie umiemy nadać ciemności właściwego miejsca. Raz po raz dajemy się oślepić światłu, które ma oczyścić świat z mroku. Najpierw było to chrześcijaństwo, później renesans, potem oświecenie i wiara w rozum. Dziś to technologia. Podążamy do tego światła, ale jesteśmy żywymi, cielesnymi istotami: mamy pragnienia, cierpimy i zadajemy cierpienie, jesteśmy chciwi i świadomi własnej śmiertelności.

Kolejną, jeszcze głębszą warstwą mroku jest świadomość, że umysł nigdy nie pozna samego siebie. To nasz największy martwy punkt. Ludzie przednowocześni mieli narzędzia, by się z tymi kwestiami obchodzić: bogów, mity, demony. W tradycji wedyjskiej najciekawszym bogiem jest Śiwa: ciemny, niepojęty, wymykający się rozumieniu. Współcześnie takich przestrzeni jest niewiele. Przy czym, gdy mówię o ciemności, nie mam na myśli zła. To raczej obszar tego, co niepoznawalne i niepomyślane.

Śiwa jest mroczny i nieodgadniony właśnie dlatego, że wymyka się zdroworozsądkowemu pojmowaniu. Większość dawnych kultur umiała zachować kruchą równowagę między światłem a mrokiem, które istniały w symbiozie. Dziś niemal całkowicie wypchnęliśmy symboliczną ciemność z naszego życia. Mimo to ona wraca do nas w postaci snów, niezrozumiałych wizji czy paranoi.

W pana książkach naukowcy dotykają tej ciemności nieoczekiwanie, podążając ścieżką logiki. Czy to właśnie skrajny racjonalizm doprowadził ich na skraj obłędu?

Myślę, że popchnięcie logiki do ekstremum to prosta droga do paranoi. Do tych sytuacji świetnie pasuje określenie „amok", które oznacza szał wskutek opętania przez demona. To kolejny dowód, że język nauki jest niewystarczający do opisania fenomenów, które odkrywa. Na przykładzie Neumanna widać, co się dzieje, gdy logika dostaje owego „amoku". Tak powstają totalitarne wizje świata jako wielkiego komputera, którego mechanizmem jest czysta matematyka.

Dla kontekstu warto pamiętać, że najbardziej mordercze reżimy XX w. hołdowały zasadom skrajnej racjonalności. Również myślenie spiskowe to specyficzna jej forma, ponieważ wszystko, co nas spotyka, musi mieć przyczynę i skutek. Czasem szaleństwo, i nie mówię tu o chorobie psychicznej, jest adekwatną odpowiedzią na rzeczywistość, kiedy ta wyrywa się spod kontroli.

Nawet Kurt Gödel, największy logik XX w., wpadł w sidła własnego umysłu i skończył jako paranoik.

Kiedy w latach 30. XX w. sformułował twierdzenie o niezupełności, wywołał wielki szok. Dowiódł mianowicie, że istnieją w matematyce twierdzenia niewątpliwie prawdziwe, ale niemożliwe do udowodnienia. Pokazał, że każdy system logiczny, wolny od paradoksów i sprzeczności, musi być niekompletny, ponieważ zawiera tezy niemożliwe do dowiedzenia przy pomocy reguł tego systemu.

Ludzie łapali się za głowy, bo co to niby miało znaczyć? Przed Gödlem nikt nie miał wątpliwości, że uzbrojeni w logikę matematycy mogą rozwiązać dowolną tajemnicę. Teraz stało się jasne, że istnieje ontologiczna granica ludzkiej myśli. Gödel obrócił wniwecz ideał kompletnej wiedzy, całkowitego poznania. Wykazał, że nawet w tak „idealnej" dyscyplinie, jaką miała być matematyka, istnieją niedowodliwe prawdy i nieuniknione sprzeczności.

Paradoksalnie odkrycie Gödla niesie ze sobą pokrzepiające wnioski dla natury ludzkiego umysłu: dysponujemy narzędziami zdolnymi dotrzeć do prawd, które znajdują się poza zasięgiem jakiegokolwiek systemu logicznego. Gdyby było inaczej, żaden człowiek nie sformułowałby przecież twierdzenia o niezupełności. To ważne w dobie ekspansji sztucznej inteligencji, która jest systemem logicznym i jako taki ma ograniczenia, z których sama nie zdaje sobie sprawy.

A czy AI jawi się panu jako konsekwencja marzeń o idealnie logicznym i bezbłędnym systemie nieobciążonym słabościami ludzkiego umysłu?

Jednocześnie niepokoi i fascynuje mnie fakt, że coś, co narodziło się jako czysto teoretyczne matematyczne gry, przerodziło się w byt realny i potężny na tyle, że kwestionujemy przez niego naturę rzeczywistości. Dziś nie możemy już ufać, że jakiekolwiek zdjęcie czy dźwięk są prawdziwe. A to dopiero początek. Twórcy AI chcieli zbudować systemy obliczeniowe inspirowane ludzkim mózgiem. Zrobili to jednak, nie wiedząc, jak działa mózg ani czym jest świadomość. Nauka nie ma odpowiedzi na te pytania, ale nie przeszkodziło nam to w stworzeniu takiej technologii. Budowanie takich narzędzi na grząskim z punktu widzenia ontologii gruncie jest niebezpieczne.

Jako kogoś, kto zajmuje się fikcją, ciekawią mnie też czysto teoretyczne konsekwencje stworzenia samoświadomej maszyny. Jako ludzie płacimy przecież za swoją świadomość bardzo wysoką cenę. Jest nią między innymi cierpienie, które leży w sercu człowieczeństwa. Czy to oznacza, że świadome systemy zaczną cierpieć? Może dostaną paranoi albo oszaleją? Swoją drogą, trudno wyobrazić sobie bardziej ludzki odruch.

ROZMAWIAŁ TOMASZ TARGAŃSKI

eprasa.pl 99f292badc



Splądrowane Muzeum Narodowe w Chartumie

Sudan milczy, Gaza krzyczy

Dziedzictwo kulturowe jest jedną z pierwszych ofiar współczesnych konfliktów. Dwie wojny – w Afryce i na Bliskim Wschodzie – to jednocześnie dwa modele destrukcji pamięci.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Wojna wybuchła nagle w sobotę 15 kwietnia 2023 r. Ani dr Ghalia Garelnabi Babiker, dyrektorka Muzeum Narodowego w Chartumie, ani dr Shadia Abdrabo, Huyam Khalid Madani czy inni pracownicy tej gromadzącej 100 tys. zabytków z różnych epok placówki, nie mieli czasu, żeby je zabezpieczyć. Złodzieje krążyli pośród porozbijanych gablot. Z początku była jeszcze nadzieja, że sytuacja się unormuje, ale konflikt między sudańską armią a paramilitarnymi Siłami Szybkiego Wsparcia (RSF) narastał. Zaczęły się ataki dronów, braki w dostawie prądu i wody, na ulicach leżały ciała zabitych. Muzealnicy znaleźli się w centrum kryzysu. Nie dochodziło wprawdzie do propagandowych egzekucji jak w Syrii (w 2015 r. bojownicy ISIS publicznie ścięli głowę dyrektorowi Palmyry), ale w zawierusze wojennej zginęło wielu muzealników i archeologów, a część opuściła Sudan i działa na uchodźstwie.

Dr Abdrabo trafiła do Paryża, gdzie dzięki wsparciu International Alliance for the Protection of Heritage in Conflict Areas, British Council, Luwru i British Museum pracuje nad cyfrową bazą sudańskich zbiorów muzealnych, stanowisk i archiwów, opartą na przedwojennych katalogach oraz informacjach napływających od jej nielicznych pozostałych w kraju współpracowników. Jej przełożoną, dr Garelnabi Babiker, ściągnął nad Wisłę mąż, zatrudniony od lat na Uniwersytecie Warszawskim, skąd kieruje National Corporation for Antiquities and Museums in Sudan (NCAM). Dzięki wyrobionej jeszcze przed wojną wizie do Warszawy przyjechała Huyam Khalid Madani i teraz pisze na UKSW doktorat o problemach ochrony dziedzictwa Sudanu.

Zagadkowa cisza

Z raportu opublikowanego w październiku w „Antiquity" wynika, że najgorzej sytuacja wygląda w Darfurze Północnym, ale wiadomo też, że w całym Sudanie spośród 17 regionalnych muzeów aż dziewięć ograbiono lub spalono, a za zaginione uznano setki tysięcy artefaktów. W mieście Nijala budynek muzeum wykorzystywano od początku wojny jako bazę wojskową, a zbiory rozgrabiono, podobnie jak w Al-Dżunajnie. Natomiast w Al-Faszir przed zbombardowaniem muzeum pracownicy zdążyli przenieść zbiory, jednak po wysiedleniu mieszkańców losy przedmiotów są niepewne. – *Mam nadzieję, że ukryte zabytki z Muzeum Szajchan w Al-Ubajjid pozostaną bezpieczne, ale wojna trwa. Co prawda, gdy sytuacja się uspokoiła, w naszym muzeum dyrekcja ds. zabytków powołała komisję, która ocenia szkody i straty, ale nadal nie ma gwarancji, że w budynek nie uderzą drony* – mówi Madani.

Nie lepiej jest ze stanowiskami archeologicznymi – o tych w Darfurze Północnym prawie nie ma informacji, ponieważ obszar ten pozostaje strefą działań wojennych. Przyszłość szpiczastych piramid budowanych dla władców królestwa Kusz ▶

© GILES CLARKE/AVAAZ/GETTY IMAGES

eprasa.pl 99f292badc

▶ (IX w. p.n.e. do III w. p.n.e.) i Meroe (III w. p.n.e. – IV w. n.e.), starożytnych miast czy chrześcijańskich klasztorów z okresu Makurii (IV w. – 1317 r.) pozostaje niejasna. Zagrożone są też stanowiska położone z dala od stref walk, bo w ruinach mieszkają przesiedleńcy, których jest ok. 10 mln, oraz grasują szabrownicy. – *Wynika to po części ze słabości państwowych mechanizmów ochrony zabytków, przede wszystkim jednak z tego, że handel antykami to dochodowy biznes. Wiemy, że niektóre obiekty z naszego muzeum pojawiły się w sprzedaży na południu Sudanu, a te z innych miejsc wystawiano na internetowych aukcjach. Policji udało się odzyskać część muzealiów znajdujących się jeszcze w kraju, ale wątpliwe, czy wrócą do nas te, które zdążyły opuścić granice państwa* – zauważa muzealniczka.

Co jest do stracenia

UNESCO prowadzi inwentaryzację, szkoli policjantów i celników, jak rozpoznawać skradzione zabytki, i apeluje do kolekcjonerów, by powstrzymali się od nabywania dóbr kultury z Sudanu (co raczej nie przekonuje bogaczy). Straty są rejestrowane także na podstawie baz danych, zdjęć satelitarnych oraz raportów nielicznych muzealników, którzy zostali i ryzykując życie, zbierają informacje o muzeach pod ostrzałem i starają się ratować, co się da – jak Sami Elamin z Dżebel Barkal czy Mahmoud Suliman Bashir z Meroe. Zdarza się, że o zniszczeniach stanowisk donoszą wolontariusze. Jednak w przeciwieństwie do kryzysów, jakie nastąpiły np. po wojnie w Afganistanie czy w Iraku, zniszczenia kulturowe w Sudanie nie są tak nagłaśniane medialnie. I mało kto zdaje sobie sprawę, że straty w dziedzictwie kulturowym tego kraju są na pewno nie mniejsze, jeśli nie większe, niż te w Ukrainie czy Strefie Gazy.

A przecież położona na północy Sudanu Nubia była jedną z ważnych cywilizacji, po której nad Nilem zostało mnóstwo wspaniałych zabytków z różnych epok. To miejsce wyjątkowo bliskie sercom polskich archeologów, którzy od lat 60. XX w. brali czynny udział w tworzeniu nubiologii i do wybuchu wojny pracowali na kilku prestiżowych stanowiskach. Po odkryciu przez zespół prof. Kazimierza Michałowskiego katedry w Faras część zdjętych z jej ścian fresków trafiła do Warszawy, a reszta została w Chartumie. Z doniesień pracowników tamtejszego muzeum wiadomo, że malowidła biskupów i świętych są w dobrym stanie. O tym jednak, co mogło zostać utracone wskutek wojny, przypominają sudańskie zabytki pozostające w zagranicznych kolekcjach.

Obraz zniszczenia

Inną specyfikę ma wojna w Gazie, bo chociaż rozgrywa się na naszych ekranach niemal na żywo, nieczęsto słyszymy o ginących archiwach i zabytkach. Jednak i tam od 7 października 2023 r. izraelska ofensywa unicestwia całe obszary kulturowe i miejskie. Według monitoringu strat dziedzictwa kulturowego przygotowanego przez Cultural Heritage Protection Center (CCHP) w Betlejem oraz ekspertów z zespołu Endangered Archaeology in the Middle East and North Africa (EAMENA) przy Uniwersytecie Oksfordzkim, do września 2025 r. na terytorium Strefy Gazy udokumentowano 316 obiektów dziedzictwa, w tym meczetów, kościołów, stanowisk archeologicznych, mozaik, łaźni, archiwów i muzeów. 138 zostało poważnie zniszczonych, a 88 uszkodzonych. Przy czym większość tych zniszczeń była skutkiem bombardowań, ostrzałów artyleryjskich lub operacji lądowych. Na zdjęciach satelitarnych obszaru wokół Wadi Gaza sprzed wojny i wykonanych kilka miesięcy po rozpoczęciu ofensywy widać, że niegdyś gęsto zabudowane zabytkowymi budynkami dzielnice tworzą dziś jednolitą, pozbawioną konturów przestrzeń gruzów.

Statystyki mówią o skali, konkretne historie poruszają. Liczący ok. 800 lat Pałac Paszy w Gazie, jedna z najstarszych zachowanych rezydencji mameluckich, przekształcony w muzeum historii miasta, został poważnie zniszczony podczas nalotów na przełomie 2023 i 2024 r. Z obiektu, w którym jeszcze niedawno wystawiano setki unikatowych artefaktów, pozostały jedynie fragmenty murów oraz częściowo zachowany łuk. Symboliczne jest to, że dyrektor Hamouda al-Dahda, który pozostał na miejscu wraz z rodziną, stracił podczas jednego z bombardowań 12-letnią córkę.

Kilkaset metrów dalej znajdował się Hamam al-Samara, łaźnia działająca nieprzerwanie od VII w., jeden z najstarszych wciąż użytkowanych zabytków Gazy. Po bombardowaniach uległ niemal całkowitemu zniszczeniu. Jego strażnik, 74-letni Salim al-Wazir, mówił dziennikarzom „Guardiana", że jeśli nikt inny się tym nie zajmie, sam poświęci resztę życia na odbudowę łaźni. Ucierpiał także meczet Al-Omari – największy i najstarszy w Gazie, pierwotnie kościół bizantyjski. Po bombardowaniach zawaliła się znaczna część dachu, ściany są poważnie uszkodzone, a minaret jest częściowo przewrócony. Uszkodzeń nie doznała natomiast słynna drewniana ambona z czasów mameluckich, co potwierdzają zdjęcia.

Ocalały także – dzięki udanej ewakuacji – zbiory z magazynu archeologicznego na parterze wieżowca Al-Kawthar w Gazie, w którym przechowywano zabytki z ostatnich 25 lat wykopalisk na najważniejszych stanowiskach w regionie. Akcja przeprowadzona została przez pracowników lokalnych służb konserwatorskich i międzynarodowej organizacji pomocowej Première Urgence Internationale (PUI). Nad ranem 11 września 2025 r. izraelskie władze poinformowały pracowników École biblique et archéologique française (EBAF) w Jerozolimie, że jej magazyn w Gazie zostanie zbombardowany. Zostało kilka godzin, by podjąć działania i przenieść do utajnionych miejsc zgromadzone tam artefakty. W kilkudziesięciu skrzyniach upchnięto obiekty z pięciu najważniejszych stanowisk w Strefie Gazy (m.in. z wpisanego na listę UNESCO klasztoru św. Hilariona z IV w.). Uratowano ceramikę, mozaiki, monety, malowane stiuki, kości, dokumentujące 2 tys. lat obecności w okolicy różnych kultur i religii.

Destrukcja w Gazie analizowana jest także w kontekście humanitarnym i prawnym. W raportach ONZ dotyczących domniemanych naruszeń międzynarodowego prawa humanitarnego pojawia się pojęcie „celowego niszczenia obiektów kulturowych, religijnych i edukacyjnych", które – jeśli byłoby prowadzone z zamiarem unicestwienia struktury społecznej lub kulturowej danej grupy – mogłoby podlegać kwalifikacji jako zbrodnia prawa międzynarodowego. Według ekspertów rujnowanie dziedzictwa kulturowego utrudnia lub wręcz uniemożliwia odbudowę więzi społecznych po zakończeniu konfliktu. Tymczasem eksperci podkreślają, że kolejna eskalacja konfliktu może doprowadzić do zniszczenia tego, co jeszcze się uchowało, np. pozostałości po Grekach i Rzymianach czy historycznych cmentarzysk. Według ich szacunków sama ochrona zabytków w Strefie Gazy przed dalszymi zniszczeniami może kosztować 33 mln dol., a odbudowa – nawet dziesięć razy tyle.

eprasa.pl 99f292badc

W chaosie wojny pojawiają się sygnały o rabunkach zabytków oraz ich znikaniu z miejsc, które jeszcze niedawno były badane, katalogowane i objęte opieką konserwatorską. Po zbombardowaniu Pałacu Paszy miejscowi badacze szacowali, że przepaść mogło nawet 20 tys. artefaktów. Władze palestyńskie oraz organizacje zajmujące się ochroną dziedzictwa w wielu przypadkach donoszą o podejrzeniu grabieży kolekcji ze zbombardowanych budynków, których ruiny nie były pilnowane, na razie nie ma jednak potwierdzenia, żeby zaginione artefakty pojawiły się w handlu lub przejęły je służby.

Kto wie, czy za moment nie będzie tu jak w Syrii, gdzie po upadku reżimu Asada w 2025 r. wojna formalnie się zakończyła i wiele miejsc jest względnie spokojnych, ale na portalach społecznościowych i platformach sprzedażowych masowo zaczęły się pojawiać syryjskie antyki z nielegalnych wykopalisk, których liczba w ostatnich latach gwałtownie wzrosła. Grabieże i handel antykami wynikają tam z braku skutecznej ochrony i nadzoru nad stanowiskami historycznymi, co pokazuje, że nawet w sytuacji względnego spokoju brak instytucjonalnej lub państwowej kontroli nad dziedzictwem kulturowym otwiera szerokie pole dla przemytników i handlarzy.

Groźba rabunku nie jest jedynie skutkiem działań wojennych, lecz także strukturalnym problemem państw i społeczności, które nie są w stanie chronić swego dziedzictwa przed rozproszeniem i utratą. To stanie się największym wyzwaniem i dla Sudanu, i dla Gazy.

Rozproszona przeszłość

Wojny w Afryce, na Bliskim Wchodzie i w Ukrainie łączy jedno – atak na pamięć. W Ukrainie Rosja od początku inwazji systematycznie uderzała w biblioteki, muzea, cerkwie i zabytkowe centra miast, próbując „wyczyścić" przestrzeń z wszystkiego, co ukraińskie. Kijowskie Ministerstwo Kultury mówi dziś już o prawie 3 tys. przypadków zniszczeń i uszkodzeń dziedzictwa, od małych domów kultury po wielkie katedry. UNESCO, które weryfikuje tylko część zgłaszanych ataków, potwierdziło do jesieni 2025 r. ponad 500 uszkodzonych świątyń, muzeów, bibliotek, zabytkowych kamienic.

Ukrainie udało się jednak zbudować coś w rodzaju wojennej straży kultury, do czego włączyli się też Polacy, współtworząc system dokumentacji zniszczeń, zabezpieczania zabytków i szkolenia lokalnych specjalistów. W kontekście tej brutalnej, ale dobrze udokumentowanej wojny o dziedzictwo Ukraina wygląda jak kraj, który z rozmachem korzysta z pomocy organizacji międzynarodowych i w tym momencie ma już stosunkowo ustabilizowaną sytuację, co nie znaczy, że rozwiązała wszystkie problemy, takie jak nielegalne wykopaliska czy przemyt zabytków. Sudan i Strefa Gazy mają swoją specyfikę.

W Sudanie mamy do czynienia z rozpadem państwa, zanikiem struktur administracyjnych i utratą kontroli nad zasobami kultury. To wojna, podczas której nie tyle bombarduje się zabytki, ile biernie przyzwala na szaber. Muzea zamieniają się w opuszczone budynki, które można splądrować, a brak dokumentacji i archiwów sprawia, że w wielu przypadkach będzie trudno stwierdzić, co właściwie utracono.

W Gazie zniszczenia mają charakter gwałtowny i spektakularny, są rejestrowane przez satelity, dokumentowane w raportach i obrazach medialnych. Dziedzictwo ginie w wyniku działań militarnych, co prowadzi do masowej destrukcji całych fragmentów miast. Jednak w przeciwieństwie do Sudanu możliwa jest częściowa dokumentacja strat, czasami nawet podejmuje się próby ewakuacji zabytków. Kultura jest tam zarówno celem agresji, jak i bronią defensywną, wspieraną przez międzynarodowe instytucje.

Gaza to wojna hałasu i widzialności, Sudan to wojna milczenia, podczas której dziedzictwo znika przy braku obserwatorów i struktur, które mogłyby je chronić. Więcej niż od państwa i aparatu ochrony zależy tam od improwizowanych sieci – kilku ludzi z dostępem do satelitarnych zdjęć, odważnych kustoszy, którzy zostali „na miejscu", i archeologów próbujących z zagranicy poskładać w całość informacje o rozproszonej przeszłości.

Całe życie

Dr Abdrabo ściga się z czasem, bo jej stypendium w Paryżu kończy się w kwietniu, a baza danych jest uzupełniona co najwyżej w połowie. „Pracując nad nią, płaczę – powiedziała francuskim dziennikarzom – ale jeśli teraz tego nie zrobimy, nie zostanie ślad po naszym dziedzictwie".



Zniszczony meczet w Bajt Lahija w północnej części Strefy Gazy

Dr Garelnabi Babiker, przeglądając album z 1998 r. „Sudan. Antike Königsreiche am Nil" (Sudan. Antyczne królestwa nad Nilem), smutnieje, gdy trafia na stronę ze wspaniałą złotą biżuterią meroickiej królowej Amanishakheto, która do 2023 r. była w jej muzeum. – *Te zdjęcia to być może jedyne, co po niej zostało.* Huyam Madani przyznaje, że nie opuszcza jej żal, poczucie bezsilności i strachu, odkąd w internecie zobaczyła film z bojownikami RSF krążącymi po muzeum. – *Odtwarzam w pamięci jego rozkład i zastanawiam się, co mogło zostać zabrane lub zniszczone, ale niezależnie od tego mam wrażenie, że wraz z tą grabieżą utraciłam część siebie, bo muzeum było niemal całym moim życiem.* 13 stycznia w Port Sudan po miesiącach śledztw ogłoszono, że odzyskano ponad 570 skradzionych zabytków, które wrócą do Narodowego Muzeum Sudanu w Chartumie. Nie ma wśród nich meroickiego złota.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

© OMAR AL-QATTAA/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 99f292badc

Co ma soma?

Wedyjskie hymny opisują napój dający natchnienie, „nieśmiertelność” i kontakt z bogami. Czym był i co ma wspólnego z genezą jogi?



Soma w hinduizmie to wedyjskie bóstwo uosabiające święty, halucynogenny napój ofiarny oraz roślinę, z której go wytwarzano. Uważany za „króla roślin” i boga Księżyca.

MACIEJ LORENC

W dużych miastach roi się od szkół jogi, a korporacje coraz częściej oferują ją w ramach benefitów dla swoich pracowników. Jednocześnie indolodzy i badacze z innych dziedzin poszukują odpowiedzi na pytanie, jakie czynniki mogły mieć wpływ na jej powstanie w starożytnych Indiach i rozwój. – *Niewykluczone, że przyczynił się do tego rytualny napój nazywany somą* – przypuszcza prof. Joanna Jurewicz, filolożka i indolożka z Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Liczne wzmianki o procesie przygotowywania somy i wywoływanych przez nią doświadczeniach można znaleźć w „Rygwedzie”, jednej z czterech Wed, czyli świętych ksiąg hinduizmu leżących u podstaw kultury indyjskiej. Dzieło to składa się z ponad tysiąca poetyckich hymnów skomponowanych w języku sanskryckim przez półkoczownicze indoirańskie ludy, które same siebie nazywały Arjami. Ich pieśni powstawały od ok. 1500 r. p.n.e. i przez wiele pokoleń były przekazywane ustnie (spisane zostały setki lat później).

Przypuszcza się, że ok. 5 tys. lat temu Arjowie rozprzestrzenili się z Azji Środkowej po kontynencie eurazjatyckim, docierając m.in. do dzisiejszych Indii i Iraku. Byli to pasterze, a jednocześnie wojownicy, kapłani i poeci. Nie pozostawili po sobie wielu jednoznacznie identyfikowalnych artefaktów archeologicznych, takich jak świątynie, pałace czy posągi, więc nasza wiedza o ich kulturze w znacznej mierze bazuje na spekulacjach.

Podczas rytuałów Arjowie prawdopodobnie grupowo recytowali swoje hymny. – *Odnoszą się one do różnych bogów i poruszają wiele fundamentalnych kwestii religijno-filozoficznych, takich jak pytania o naturę człowieka czy powstanie świata. Ich treść pomagała uporządkować otaczającą rzeczywistość i nadać jej sens. Zawierają wiele złożonych i niejednoznacznych metafor mających pobudzać wyobraźnię, przez co są bardzo trudne w interpretacji* – mówi prof. Jurewicz.

Wiele hymnów „Rygwedy” poświęcono somie. Tak nazywano nie tylko napój, lecz również roślinę, z której go sporządzano, a którą dziś trudno zidentyfikować (o czym za chwilę). Jednocześnie było to imię bóstwa powiązanego m.in. z całą roślinnością. Po spożyciu soma wywoływała uczucie gorąca i niespokojnego wyczekiwania, a następnie poruszające ekstatyczne przeżycia, którym towarzyszyły wrażenie wszechwiedzy i przypływ natchnienia.

– *Jej działanie porównywano do wartkiego strumienia górskiego albo pędzącego stada zwierząt. Twierdzono, że za jej sprawą w człowieku budził się ogień. Jak zapewniają nas wedyjscy poeci, soma uwalniała*

eprasa.pl 99f292badc

od ciasnoty umysłowej, zwiększała zdolność ekspresji, dawała nieśmiertelność, umożliwiała lot na słońce, chroniła przed siłami zła i pomagała w komunikacji z bogami – opowiada prof. Jurewicz.

Według „Rygwedy" po wypiciu somy bóg Indra stał się wielki i silny, dzięki czemu udało mu się wyrwać z uścisku wężowego demona o imieniu Wrytra i pokonać go za pomocą ciśniętego gromu. W wyniku tego zwycięstwa popłynęła woda i pojawiła się rozległa przestrzeń. Według badaczki można to interpretować zarówno jako opowieść o narodzinach świata, jak i opis działania napoju.

Z hymnów wiemy, że somę zbierano w górach, a jej łodygi rozgniatano kamieniami i tłoczono z nich sok przecedzany przez wełnę z owczego runa. Część płynu wylewano do ognia jako ofiarę dla bogów, co Arjowie na poziomie symbolicznym łączyli ze wschodem słońca. Resztę wypijano w połączeniu z wodą, mlekiem i roztopionym masłem, a być może również z miodem. Somę opisywano jako ostrą w smaku.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, co było głównym składnikiem tego napoju. Jedną z najgłośniejszych hipotez wysunął Robert Gordon Wasson, amerykański bankier zafascynowany mykologią. W latach 50. XX w. jako pierwszy człowiek Zachodu wziął udział w tradycyjnej meksykańskiej ceremonii z użyciem grzybów zawierających psylocybinę. W 1968 r. w książce „Soma: Divine Mushroom of Immortality" (Soma: boski grzyb nieśmiertelności) argumentował, że soma była muchomorem czerwonym. Powoływał się m.in. na opisy jej wyglądu, gdzie wspominano o czerwonawej barwie, a pomijano typowo roślinne cechy, jak korzenie, liście, nasiona czy kwiaty. Zauważał też, że pozyskiwano ją z terenów górskich, a muchomory czerwone można znaleźć również na dużych wysokościach.

Skądinąd wiadomo, że mieszkańcy Syberii od niepamiętnych czasów używają tych grzybów do wywoływania transu podczas rytuałów szamańskich, a nie jest wykluczone, że Arjowie mieli z nimi styczność. Co więcej, w „Rygwedzie" wspomina się o „podwójnym oczyszczaniu" somy, a wśród ludów syberyjskich istnieje podobno zwyczaj odurzania się poprzez wypicie moczu osoby, która wcześniej spożyła muchomory. Zawarte w tych grzybach substancje psychoaktywne, zwłaszcza muscymol, są bowiem wydalane w niezmienionej formie przez nerki.



Prof. **Joanna Jurewicz** – filolożka i indolożka z Wydziału Orientalistycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Autorytet w badaniach nad Wedami i wczesnym buddyzmem. Autorka publikacji poświęconych filozofii i kulturze indyjskiej, a także tomików poetyckich i powieści. Tłumaczka hymnów „Rygwedy". W 2023 r. uhonorowana – jako pierwsza osoba z Polski – prestiżową nagrodą dla wybitnych indologów przyznawaną przez Indian Council for Cultural Relations.

Niektórzy badacze potraktowali argumentację Wassona jako przekonującą, ale wielu indologów uznało, że dokonał nadinterpretacji wskutek nieznajomości sanskrytu. – *Choć jego hipoteza pod wieloma względami wydaje się przekonująca, informacje na temat somy i opisy procedur związanych z jej przygotowywaniem niezbyt pasują do jakichkolwiek grzybów. Ktoś mógłby uznać, że używane w hymnach „Rygwedy" sanskryckie słowo „amśu", oznaczające łodygę albo promień słońca, odnosi się do wysokiego grzybowego trzonu. Gdyby jednak somę faktycznie sporządzano z muchomora czerwonego, więcej sensu miałoby użycie kapeluszy, w których stężenie substancji psychoaktywnych jest znacznie wyższe* – zauważa prof. Jurewicz.

Część ekspertów, m.in. Harry Falk, indolog z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, uważa, że somą mogła być roślina o nazwie prześl, która zawiera efedrynę – stymulant zbliżony pod względem chemicznym do amfetaminy. – *Prześl ma długie łodygi, a na dodatek znaleziono ją w grobowcach odkrytych na terenach, przez które Arjowie wędrowali na wschód. Jej pobudzające działanie mogło wywoływać przypływ natchnienia, ale niekoniecznie prowadzi do ekstatycznych doświadczeń wizyjnych, które opisano w „Rygwedzie". Odnoszę wrażenie, że Falk podobnie jak Wasson pozwalał sobie na dość odważne interpretacje, aby dowieść swoich racji* – mówi prof. Jurewicz.

Iraniści David Flattery i Martin Schwartz z Uniwersytetu Kalifornii nie wykluczają, że somą mogła być ruta stepowa, dość powszechna w Eurazji. Zawiera harminę i harmalinę, które wykazują pewne właściwości psychoaktywne. Substancje te znajdują się również w lianach, których w połączeniu z innymi roślinami używa się w Amazonii do przyrządzania halucynogennego wywaru *ayahuasca*. Sugerowano też, że somą mogły być mak lekarski, konopie, grzyby psylocybinowe albo sporysz, ale propozycje te spotkały się ze stosunkowo niewielką akceptacją.

– *Wśród badaczy nadal nie ma zgody co do tego, czym była soma, a większość z nich uważa, że jej zidentyfikowanie jest niemożliwe* – zastrzega prof. Jurewicz. – *Oczywiście jest też możliwe, że była to mieszanka różnych składników pochodzenia naturalnego. We współczesnych hinduskich rytuałach ofiarowania somy spożywa się natomiast obojnik, który nie jest rośliną psychoaktywną i stanowi substytut oryginału używanego w starożytności.*

Na początku pierwszego tysiąclecia p.n.e. Arjowie oddalili się od terenów górskich, z których pozyskiwali somę. – *Arjowie znali swoje święte hymny na pamięć i przekazywali je sobie ustnie z pokolenia na pokolenie* – opowiada indolożka. – *W codziennych recytacjach przypominali sobie opisy nadludzkich stanów świadomości. Utrwalanie ich w pamięci i regularne powtarzanie z pewnością zajmowały dużo czasu. Długa recytacja – zwłaszcza w języku sanskryckim – wymaga natomiast głębokiego oddychania z wykorzystaniem przepony, co może wywoływać intensywne odczucia zarówno w ciele, jak i świadomości.* Niewykluczone, że w ten sposób odtwarzano niektóre efekty działania somy, np. wrażenie wewnętrznego rozgrzania.

Według prof. Jurewicz mogły do tego dojść także praktyki ascetyczne, jak post przed rytuałami, a także wyczerpujące aktywności fizyczne mające prowadzić do doświadczeń duchowych. We wschodnich tradycjach nie brakuje technik opartych na powtarzaniu mantr, specjalnym oddechu czy pracy z ciałem. Są one zaświadczone w powedyjskich tekstach; poszukiwali ich mieszkańcy starożytnych Indii, np. żyjący w V w. p.n.e. Budda.

– *Podejrzewam, że wiele cielesnych i mentalnych praktyk używanych w hinduskich i buddyjskich tradycjach skupionych na duchowym samorozwoju, np. joga, mogło powstać wskutek utraty dostępu do somy, aby osiągnąć odmienne stany świadomości bez jej spożycia. Im dłużej się temu przyglądam, tym bardziej wydaje mi się to prawdopodobne* – podsumowuje prof. Jurewicz. ■

© ROLAND I SABRINA MICHAUD/AKG\FORUM, ANNA A MAROWICZ

eprasa.pl 99f292badc

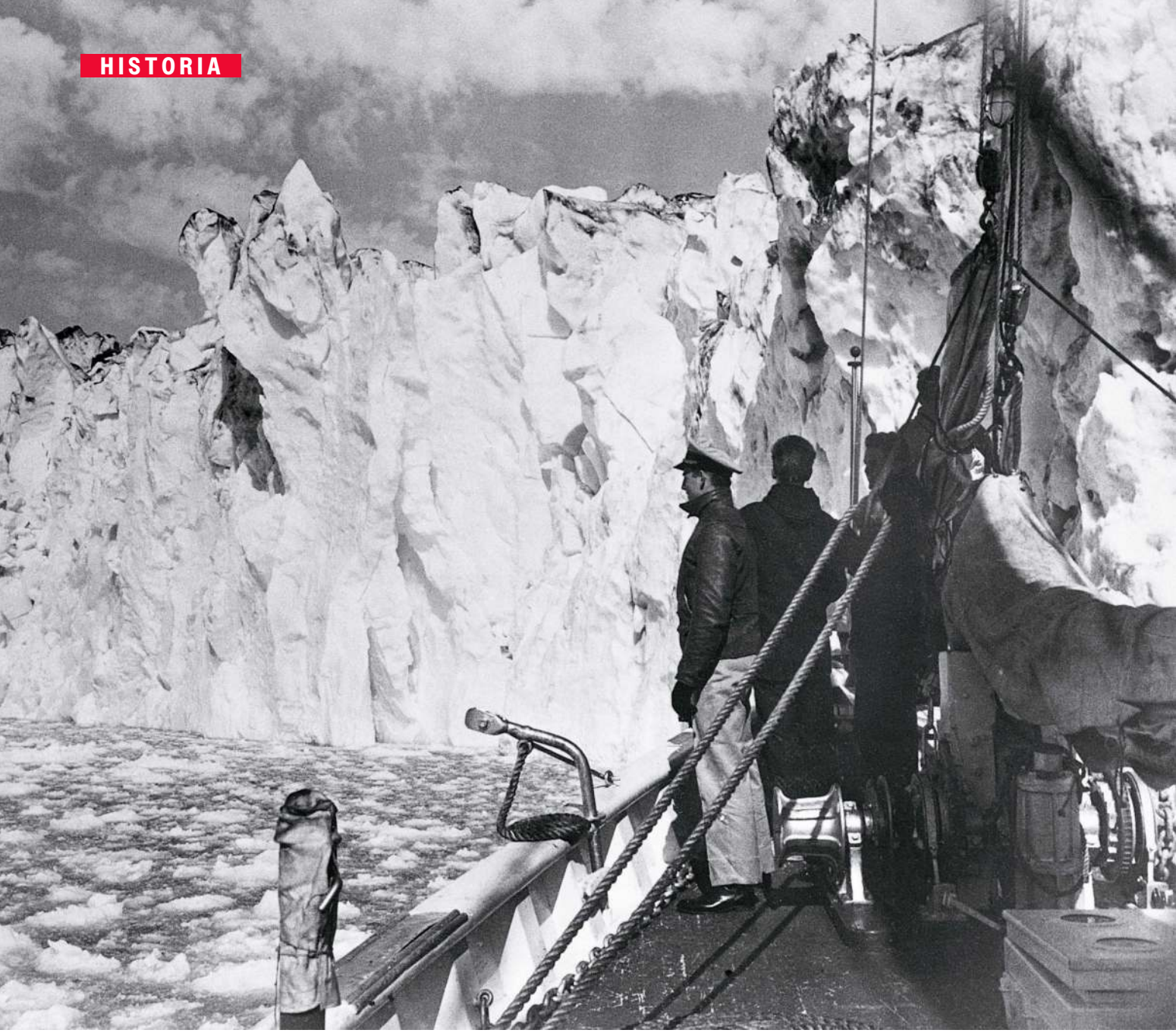

Góry lodowe widoczne z pokładu amerykańskiego kutra patrolowego na północnym Atlantyku, 1941 r.

Wojna o Arktykę

TOMASZ TARGAŃSKI

Na dalekiej Północy rywalizacja o surowce, szlaki zaopatrzeniowe i bezcenne dane pogodowe zaczęła się podczas drugiej wojny światowej.

eprasa.pl 99f292badc

Czerwiec 1942 r. Pierwsze amerykańskie bombowce dalekiego zasięgu B-17 zbliżały się do południowych wybrzeży Grenlandii. Stanowiły one część długo wyczekiwanej 8. Armii Powietrznej, która miała wesprzeć Brytyjczyków w wojnie z Niemcami. Kiedy oczom amerykańskich pilotów ukazała się skrząca w promieniach słońca bezkresna połać lodu, wiedzieli, że zbliżają się do jednego z najbardziej niebezpiecznych lotnisk na świecie – Bluie West One. Ze względu na otaczające je wysokie góry, silne wiatry i złe warunki pogodowe lądowanie tam było trudne nawet dla najbardziej doświadczonych załóg. Podejście wymagało lotu na niskiej wysokości wewnątrz wąskiego fiordu otoczonego ostrymi klifami. Wlatując do środka, piloci byli w potrzasku. W niewielkiej odległości za pasem startowym wznosiła się potężna ściana kamieni i lodu, a gwałtowne podmuchy wiatru mogły rzucić samolotem o pas startowy lub taflę wody.

Szacuje się, że w ciągu drugiej wojny światowej przez Grenlandię przewinęło się 10 tys. alianckich samolotów zmierzających do Europy. Wyspa stanowiła kluczowe ogniwo północnoatlantyckiej trasy powietrznej, łączącej Amerykę Północną z Wyspami Brytyjskimi. Większość ówczesnych samolotów miała zbyt krótki zasięg, aby bez międzylądowania pokonać drogę z baz w Maine do Anglii, musiały więc zatrzymać się po benzynę właśnie na Grenlandii. U szczytu swojej działalności w roku 1943 baza Bluie West One była tętniącym życiem miastem w sercu fiordu, gdzie stacjonowało ok. 4 tys. amerykańskich żołnierzy. Poza lotniskiem, szpitalem, setkami baraków były tam również piekarnia, kino, a nawet wydawana z myślą o personelu gazeta.

Wojna meteorologów

Amerykanie zbudowali Bluie West One na mocy porozumienia w sprawie obrony Grenlandii, podpisanego 9 kwietnia 1941 r. między Henrikiem Kauffmannem, ambasadorem Danii w Waszyngtonie, a Cordellem Hullem, sekretarzem stanu USA. Oddawało ono bezpieczeństwo wyspy w ręce Stanów Zjednoczonych, pozwalając im na budowę baz, stacji meteorologicznych i innych instalacji obronnych. Ameryka przystąpiła tym samym do rozgrywki o Arktykę, która toczyła się w cieniu głośniejszych bitew i kampanii tamtej wojny. Rywalizacja o daleką Północ była starciem nie tylko militarnym – choć i tych nie brakowało – ale strategiczną walką o surowce, szlaki zaopatrzeniowe i bezcenne dane pogodowe.

III Rzeszy zależało przede wszystkim na rozmieszczeniu w Arktyce stacji meteorologicznych. To właśnie zderzające się nad Arktyką prądy powietrzne kształtowały pogodę nad Europą i Atlantykiem. Ich analiza pozwalała z dużym prawdopodobieństwem przewidywać zmiany pogody. Na początku drugiej wojny światowej Niemcy gromadzili te dane za pomocą statków z urządzeniami pomiarowymi pływającymi między Danią a Islandią. Zostały one jednak skutecznie przegonione z tych wód przez okręty norweskie i brytyjskie.

Niemcy nie ustawali jednak w wysiłkach, aby ustanowić na Grenlandii swoje stałe bazy meteorologiczne. Pierwsza o kryptonimie Holzauge powstała pod koniec sierpnia 1942 r. Znajdowała się na wyspie Sabine na wschodnim wybrzeżu Grenlandii. Od amerykańskiej bazy Bluie West One dzieliło ją



przeszło 5 tys. km, co sprawiło, że pozostała ona niezauważona aż do marca 1943 r.

Ze względu na ogromne przestrzenie alianci wykorzystywali patrole – niewielkie oddziały złożone z Duńczyków, Grenlandczyków i Norwegów – przemieszczające się szybko dzięki psim zaprzęgom. Jeden z takich patroli odkrył położenie stacji i wdał się w wymianę ognia z personelem, co było pierwszą zbrojną konfrontacją podczas drugiej wojny światowej na Grenlandii. Dwa miesiące później stacja Holzauge została zbombardowana przez amerykańskie lotnictwo. Później Niemcy przedsięwzięli jeszcze kilka podobnych misji. Edelweiss II, ostatnia stacja pogodowa III Rzeszy na Grenlandii, została zniszczona w listopadzie 1944 r.

Podejmując decyzję o zaangażowaniu na duńskiej wyspie, Amerykanie brali pod uwagę istotną przesłankę, jaką była kwestia kopalni w Ivigtut. Stanowiła ona jedyne na świecie źródło naturalnego kriolitu, minerału niezbędnego do produkcji aluminium, a tym samym – budowy samolotów. Aby ją chronić, Amerykanie założyli niedaleko niej bazę morską Kangilinnguit. W obawie przed niespodziewanym atakiem U-Bootów przybrzeżne wody patrolowała US Navy. W kopalni zatrudniono dodatkowy personel, aby wydobycie trwało przez całą dobę. W samym 1942 r. z Ivigtut do Stanów Zjednoczonych wysłano 86 tys. ton kriolitu.

Rozgrywka o Spitsbergen

Łakomym kąskiem był również należący do Norwegii archipelag Svalbard. Obecność tam pozwalała na monitorowanie ruchów floty niemieckiej korzystającej z norweskich fiordów. Po ataku III Rzeszy na ZSRR w czerwcu 1941 r. Svalbard nabrał strategicznego znaczenia ze względu na bezpieczeństwo trasy łączącej Wielką Brytanię z Murmańskiem, jedynym niezamarzającym sowieckim portem arktycznym. Była to główna arteria, przez którą Moskwa otrzymywała zaopatrzenie w ramach programu Lend-Lease. Alianci nie bez powodu obawiali się, że Niemcy mogliby założyć na Spitsbergenie bazy, co pozwoliłoby im bezkarnie atakować konwoje. ▶

© BETTMANN/GETTY IMAGES, LECH MAZURCZYK

eprasa.pl 99f292badc





Żołnierze Sił Zbrojnych USA stacjonujący w Reykjavíku na Islandii z miejscowymi kobietami, październik 1943 r.

© POPPERFOTO/GETTY IMAGES (2), HULTON/GETTY IMAGES, THOMAS TRAASDAHL/EPA/PAP

▶We wrześniu 1941 r. Brytyjczycy zdecydowali się przeprowadzić operację Gauntlet. Ich marynarka wojenna ewakuowała ze Spitsbergenu całą ludność cywilną (niemal 3 tys. osób – głównie górników i ich rodziny). Zniszczyli szyby kopalń oraz wielkie zapasy węgla, aby nie wpadły w ręce wroga. Niemcy zwietrzyli okazję i kilka tygodni później wysłali na Svalbard wojskową grupę meteorologiczną Bansö. Niemiecka Kriegsmarine również wysłała na archipelag swoją ekspedycję, pod kierownictwem biologa Hansa-Roberta Knoespela. W celu rozeznania warunków meteorologicznych wysiłki w tym regionie wzmogła też Luftwaffe, prowadząc regularne loty zwiadowcze od wschodnich brzegów Grenlandii aż po Nową Ziemię.

W lipcu 1942 r. Brytyjczycy zaniepokojeni zwiększoną aktywnością Niemców przetransportowali na Spitsbergen liczący 85 ludzi oddział Norwegów. Ich zadaniem było założenie tam stałej bazy wojskowej, tropienie i atakowanie stacji meteorologicznych wroga. W obawie przed tym Niemcy regularnie przenosili swoje stacje w nowe miejsca. W czerwcu 1943 r. doszło do zaskakującego ataku Norwegów na jedną z nich. Kilku Niemców zginęło, a ci, którzy przeżyli, zdążyli nadać sygnał SOS do znajdującego się w pobliżu U-302, który zabrał ich na pokład.

W odpowiedzi Kriegsmarine postanowiła przeprowadzić na Spitsbergenie demonstrację siły. 8 września 1943 r. pancerniki „Tirpitz" i „Scharnhorst" wpłynęły do fiordu Isfjorden położonego na zachodzie wyspy. Ich potężne działa ostrzelały umocnione bazy Norwegów i niemal całkowicie zrównały je z ziemią.

We wrześniu 1944 r. Niemcy podjęli ostatnią próbę założenia bazy meteorologicznej na archipelagu Svalbard. Kierował nią por. Wilhelm Dege, geograf i doświadczony polarnik. Jego wybór padł na niewielką wyspę Nordostland w północno-wschodniej części Spitsbergenu. Załoga Degego dokonywała pomiarów ciśnienia, wilgotności, temperatury i kierunku wiatru. Dysponowała też radiosondami, wysyłanymi w dolne warstwy atmosfery. Informacje nadesłane przez niego posłużyły m.in. do opracowania prognozy pogody, która wpłynęła na początkowe sukcesy ofensywy w Ardenach w grudniu 1944 r. Dzięki danym meteorologicznym przesłanym przez bazę niemiecki atak przeprowadzono w dniu, w którym – ze względu na duże zachmurzenie i niski pułap chmur – nie mogły wystartować alianckie samoloty.

Stacja Degego działała do końca wojny, a nawet dłużej. Żołnierze otrzymali informację o kapitulacji III Rzeszy 7 maja 1945 r. Mimo to wciąż prowadzili systematyczne obserwacje. Dopiero na początku września – cztery miesiące po zakończeniu wojny – norweski kuter lodowy zbliżył się do bazy i przyjął kapitulację Degego. Jego oddział stał się tym samym ostatnią niemiecką jednostką, jaka złożyła broń.

Przez lód

Do legendy wojny w Arktyce przeszła epopeja alianckich konwojów morskich wiozących zaopatrzenie dla ZSRR. Formowanie konwoju zaczynało się na Islandii lub w północno-zachodniej Szkocji. Trasy były dwie: zimowa (prowadziła przez Morze Norweskie i Morze Barentsa aż do Murmańska i trwała ok. 10 dni) oraz dłuższa, letnia (prowadziła na zachód od Islandii przez Morze Grenlandzkie, Morze Barentsa, opływała Wyspę Niedźwiedzią



Amerykanie przybywają na Islandię, gdzie zastąpią wojska brytyjskie, 1941 r.

eprasa.pl 99f292badc

od północy, trwała ok. 15 dni). Trasa zimowa była bardziej niebezpieczna, ponieważ przez większość czasu transportowce były zagrożone przez niemieckie samoloty startujące z baz w Norwegii. Aby przerwać tę życiodajną dla ZSRR arterię, Kriegsmarine zmobilizowała spore siły, a istotną rolę w kampanii przeciw konwojom odegrał wspomniany pancernik „Tirpitz", który czyhał ukryty w wąskich, niedostępnych fiordach północnej Norwegii.

Poza Niemcami największym przeciwnikiem aliantów była pogoda. Wody dalekiej Północy były groźne o każdej porze roku. Arktyczne temperatury, porywisty wiatr, gęste mgły i sięgające kilku metrów fale rozpraszały konwoje, zwiększając ryzyko przechwycenia. Mocne prądy i mieszające się warstwy zimnej i ciepłej wody utrudniały działanie sonarów służących do wykrywania U-Bootów. W efekcie załogi konwojów były często głuche i ślepe. Ujemne temperatury sprawiały, że okręty pokrywały się warstwą lodu na tyle grubą, że obrotowe wieże dział były unieruchomione, a bomby głębinowe przymarzały do wyrzutni. W tych warunkach dochodziło do tragicznych pomyłek. W maju 1942 r. polski okręt podwodny ORP „Jastrząb" płynął jako eskorta jednego z konwojów, ale został omyłkowo zidentyfikowany jako niemiecki U-Boot i zatopiony przez sojusznicze niszczyciele.

Do największego starcia w wojnie o Arktykę doszło w ostatnich dniach grudnia 1942 r., kiedy w morze z Wielkiej Brytanii wyszedł konwój JW-51B. Składał się z 14 statków handlowych przewożących ponad 2 tys. samochodów, 200 czołgów, 87 myśliwców i 33 bombowce. W pogoń za nimi Niemcy rzucili sześć niszczycieli i dwa ciężkie krążowniki, w tym słynnego „Admirala Hippera". Obie grupy spotkały się 31 grudnia, a ich starcie nazwano bitwą na Morzu Barentsa.

Napastnicy mieli przewagę w sile ognia i zasięgu, ale zła pogoda i gęsta mgła pomieszały im szyki. Dzięki błyskawicznej i wzorowo skoordynowanej obronie brytyjskich niszczycieli konwój nie został rozproszony i wszystkie okręty dotarły do celu. Od tego momentu szala zwycięstwa w bitwie o Arktykę zaczęła przechylać się na korzyść aliantów. Rok później w grudniu 1943 r. Niemcy stracili pancernik „Scharnhorst". Podczas zasadzki na jeden z konwojów duma Kriegsmarine została posłana na dno Morza Norweskiego przez niszczyciele eskorty.

Podział łupów

W 1944 r. Królestwo Islandii, będące w unii personalnej z okupowanym Królestwem Danii, przy wsparciu Amerykanów, ogłosiło powstanie republiki i niezależność od Danii. Po 1945 r. między dotychczasowymi sojusznikami rozpoczęła się cicha rywalizacja o wpływy w Arktyce. Napięcia rodziła przede wszystkim kwestia Svalbardu. Radziecki minister spraw zagranicznych Wiaczesław Mołotow wywierał naciski na rząd Norwegii, domagając się rewizji traktatu spitsbergeńskiego z 1920 r., który uznawał wyłączną suwerenność Norwegii nad Svalbardem. ZSRR chciał współwłasności archipelagu lub bazy wojskowej na Wyspie Niedźwiedziej, co Norwegia – przy wsparciu USA i Wielkiej Brytanii – ostatecznie odrzuciła.

Amerykanie konsekwentnie umacniali swoją pozycję na Grenlandii, ponieważ jej znaczenie okazało się jeszcze większe wskutek narastającej konfrontacji ze Związkiem Radzieckim. W 1951 r. Waszyngton zawarł z Danią nowe porozumienie, na mocy którego USA otrzymały nieograniczony dostęp militarny do wyspy, która została włączona do systemu obronnego NATO. Ze względu na najkrótszą trasę nad biegunem północnym między USA a ZSRR Grenlandia stała się idealnym miejscem dla systemów wczesnego ostrzegania przed pociskami balistycznymi.

Z kolei Islandia dzięki doświadczeniu zebranemu przez arktyczne konwoje zachodni alianci zdali sobie sprawę z wartości akwenów między Grenlandią, Islandią i północnymi wybrzeżami Szkocji. Tak zwany przesmyk GIUK (z ang. Greenland – Iceland – UK) nabrał strategicznego znaczenia jako wąskie gardło oddzielające Morze Norweskie i Morze Północne od północnego Atlantyku.

TOMASZ TARGAŃSKI

Korzystałem z: **Donald L. Miller „Władcy przestworzy"**; **Richard Woodman „Konwoje arktyczne 1941–1945"**.





Amerykańska baza Pituffik Space Base (dawniej Thule Air Base) działa na Grenlandii od 1951 r.

eprasa.pl 99f292badc

Skala ocen: 1(dno)–6(wybitne)

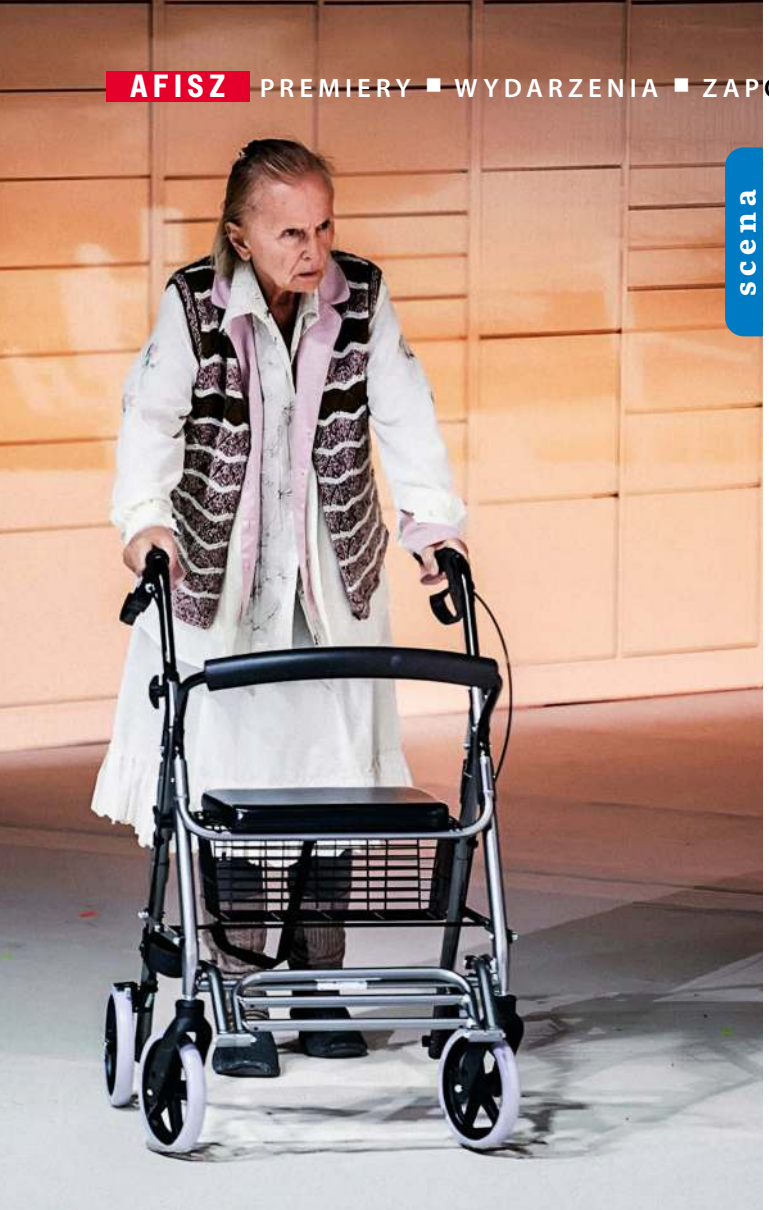

scena

Otwórzcie oczy 4/6

Zamknij oczy Nel. W pustyni i w puszczy – epilog, scen. i reż. Piotr Domalewski, Stary Teatr w Krakowie

Nie wszyscy pamiętają, że Piotr Domalewski, scenarzysta i reżyser głośnych i nagradzanych filmów „Cicha noc" i „Ministranci", jest z wykształcenia aktorem, przez kilka sezonów był związany z Teatrem Wybrzeże w Gdańsku, ma też w CV autorstwo (wystawianych) dramatów. Spektakl w krakowskim Starym to z jednej strony jego powrót do teatru, z drugiej – reżyserski debiut na scenie. Tytuł składa się z dwóch części, a samo przedstawienie nawet z trzech. „W pustyni i w puszczy" zaproponował dyrektor Starego Jakub Skrzywanek w ramach cyklu rewizji rodzimej klasyki i polskości heroicznej (o tym są też zrealizowany przez Skrzywanka „Zamach na Narodowy Stary Teatr. Narodziny narodu" czy „Straszny dwór" w reż. Anny Obszańskiej). Domalewski obudował Sienkiewicza ironicznym komentarzem inspirowanym lekturą „Bzika kolonialnego. II Rzeczpospolitej przypadki zamorskie" Grzegorza Łysia – o polskich mocarstwowych mrzonkach o posiadaniu kolonii i niewolników. Całość zaś wpisał w uniwersalną i poruszającą historię konfrontacji dorosłych dzieci z chorobą i umieraniem matki. Jak? Otóż matce (**Dorota Pomykała**), emerytowanej polonistce, po przejściu udaru wydaje się, że jest powieściową Nel, i w swoich dzieciach widzi odpowiednio Stasia Tarkowskiego, Kalego i Meę. Dla Stasia (Filip Perkowski), rozczarowanego sobą 42-letniego pośrednika rynku nieruchomości i singla, opieka nad matką, spotkania z psychoterapeutką (Dorota Segda) i inspirowane lekturą Sienkiewicza surrealistyczne sny stają się początkiem nowej drogi. Czy można być Polakiem średniakiem, a nie herosem, i czuć się wystarczającym? Czy Polska może być zwykłym, dość zamożnym krajem, który jeśli w czymś przoduje, to w produkcji jabłek? Domalewski jest storytellerem – umie opowiadać wciągająco, z odpowiednio rozłożonymi proporcjami wzruszenia i humoru. Nawet jeśli tematy nie są nowe czy oryginalne, a forma jest bezpieczna i wypolerowana. „Ministrantów" w weekend otwarcia zobaczyło w kinach 100 tys. widzów, „Zamknij oczy Nel" też ma wszelkie walory, by zostać hitem.

ANETA KYZIOŁ

film

Lekcja pokory 5/6

La grazia, reż. Paolo Sorrentino, prod. Włochy, 131 min, w kinach od 6 lutego

Intymny dramat osnuty wokół nierozwiązywalnych dylematów wygląda, jakby był syntezą dotychczasowego dorobku autora „Wielkiego piękna". Ostentacyjne odejście od spektakularnej dekoracyjności w stronę bardziej zrównoważonej estetyki zapewniło „La grazii" większy oddech, skupienie, stworzyło odpowiednią przestrzeń na filozoficzną dyskusję stanowiącą serce widowiska pytającego o Boga, władzę, miłość, wybaczenie i konsekwencje tego, co się robi. **Toni Servillo**, stworzony do ról politycznych przywódców („Boski", „Oni"), tym razem wciela się w fikcyjnego prezydenta Włoch rozważającego na kilka miesięcy przed końcem kadencji podpisanie ustawy o prawie do eutanazji. Na styku polityki i metafizyki odbywa się fascynująca wiwisekcja skomplikowanej osobowości człowieka oskarżanego, że jest emocjonalno-intelektualnym betonem – w istocie bystrego, dręczonego wątpliwościami i uwikłanego w sprzeczne wybory. Aktor, uhonorowany za tę rolę w Wenecji, tworzy kreację bez zbędnego patosu. Powracające w filmie jak mantra pytanie „Do kogo należą nasze dni?" można rozumieć w kontekście utraty kontroli. Prezydent u schyłku życia i sprawowania urzędu staje w obliczu kwestii, które są poza zasięgiem jego władzy: nieodwracalności śmierci, zdrady, upływającego czasu. Odsłania więc iluzję absolutnej autonomii, stając się głęboko ludzkim w swojej niepewności. Szkoda, że Donald Trump tego filmu nigdy nie obejrzy. Miałby się z czego uczyć.



JANUSZ WRÓBLEWSKI

eprasa.pl 99f292badc



serial

Z lodem i bez 4/6

Gorąca rywalizacja, twórca serii: Jacob Tierney, 6 odc., HBO Max, premiera: 6 lutego

Hit przełomu roku, jeden z tych seriali, które rozgrzewały (nomen omen) fora internetowe, wreszcie dociera do Polski. „Gorąca rywalizacja" to adaptacja cyklu powieściowego (już zapowiedziano prace nad drugim sezonem) „Game Changers" Rachel Reid. Bohaterami są hokeiści, kapitanowie drużyn: z Montrealu – Shane Hollander (**Hudson Williams**) i z Bostonu – Ilya Rozanov (**Connor Storrie**), którzy za dnia zaciekle rywalizują na lodzie, ubrani w wiele warstw i ochraniaczy, by nocami, w luksusowych hotelach i apartamentach, zdejmować te warstwy (ubrań, zahamowań, strachu itd.), dając się ponieść gorącemu, sekretnemu romansowi, który przeradza się w prawdziwe uczucie, łamiące bariery... Brzmi jak stary, dobry harlequin, tyle że w gejowskim wydaniu? Serial napisany i wyreżyserowany przez kanadyjską gwiazdę Jacoba Tierneya gładko wpisuje się w konwencję. Jest toksyczna rodzina i ojczyzna (pochodzący z Moskwy Ilya; akcja dzieje się przed napaścią Rosji na Ukrainę), presja bycia wzorem (kanadyjsko-azjatycki Shane), strach przed homofobią środowiska sportowego, kibiców i branży reklamowej, próby bycia „normalnym", historia starszego kolegi, wsparcie przyjaciółek itd. Ale też bohaterowie są nie tylko młodzi, pięknie zbudowani i napaleni (o seksie się tu zdecydowanie nie tylko mówi), są także ludzcy, mają poczucie humoru, potrafią wzruszać, a aktorzy – grać. AK



serial

Być gwiazdą 4/6

Wonder Man, twórcy serialu: Destin Daniel Cretton, Andrew Guest, 8 odc., Disney+

Choć „Wonder Man" zapowiadany był jako autoironiczna refleksja na temat zmęczenia superbohaterami, serial nie rozlicza się z gatunkiem niemal całkiem już wydrenowanym z energii przez ekranizacje marvelowskich komiksów. To raczej kumpelska komedia połączona z satyrą na Hollywood, łagodną w porównaniu z takimi produkcjami jak „Studio" czy „Ekipa", a tradycyjnie rozumianej superbohaterskiej akcji jest tu niewiele. Fundament fabuły to nieoczekiwana przyjaźń dwóch aktorów: Simon Williams (**Yahya Abdul-Mateen II**) próbuje przebić się w filmowej branży, a Trevor Slattery (**Ben Kingsley**) chce odzyskać wiarygodność, którą stracił, grając terrorystę o pseudonimie Mandarin (tę historię opowiadał film „Iron Man 3"). Obaj starają się o role w filmie „Wonder Man", remake'u dawnego hitu. Wspólne perypetie zacieśniają więź między nimi, ale w tej relacji jest haczyk. Simon ma prawdziwe supermoce, które ukrywa przed światem, Trevor zaś szpieguje go na zlecenie rządowej agencji. „Wonder Manowi" służy odejście od komiksowych schematów: zamiast po raz kolejny powielać pytania o odpowiedzialność i władzę, scenariusz na pierwszym planie stawia kwestie przyjaźni, zaufania i aktorskiej pasji. Wiele produkcji spod znaku Marvel Cinematic Universe powstało z miłości do komiksów, tu dołącza miłość do kina nie tyle jako sztuki, ile fascynującej, choć niezmiennie trudnej branży.

JAKUB DEMIAŃCZUK

film

Znowu grzyby 2/6

Skażenie, reż. Jonny Campbell, prod. USA, Francja, 99 min, w kinach od 6 lutego



Scenopisarski dorobek Davida Koeppa dzieli się na dzieła znakomite – jak „Życie Carlita", „Azyl" czy kilka filmów Stevena Spielberga – oraz takie, o których chciałoby się jak najszybciej zapomnieć. „Skażenie" (według jego własnej powieści, w Polsce wydanej pod tytułem „Przechowalnia śmierci") należy niestety do tej drugiej kategorii. Nie można mu odmówić niezłego tempa i kilku całkiem udanych żartów, lecz nie bronią one wtórnej, wielokrotnie już kopiowanej fabuły. Pasożytniczy grzyb wydostaje się z tajnej wojskowej bazy i zmienia ludzi oraz zwierzęta w zombie. Powstrzymać go może tylko grupa dość przypadkowych ludzi, a mianowicie dwoje nocnych stróżów pilnujących magazynów do wynajęcia oraz zgorzkniały weteran, który jako jedyny zdaje sobie sprawę ze skali zagrożenia. Podrzędne kino zrealizowane wyłącznie po to, by przez chwilę popłynąć na wciąż wartkiej fali popularności filmów o zombie i/lub biologicznej apokalipsie. Od innych produkcyjniaków z pogranicza horroru, komedii i SF odróżnia się zaskakująco solidną obsadą. Główną rolę gra znany ze „Stranger Things" **Joe Keery**, ale na drugim planie pojawiają się m.in. Liam Neeson, Lesley Manville oraz Vanessa Redgrave. Nieczęsto można zobaczyć, jak jedna z największych aktorek brytyjskich strzela do ludzi zamienionych w potwory przez toksyczne grzyby. To jednak zdecydowanie zbyt mało, żeby polecić „Skażenie" komukolwiek poza najbardziej oddanymi wielbicielami gatunku. JD

© JAKUB WŁODEK/AGENCJA WYBORCZA.PL, ANDREA PIRRELLO, HBO MAX, MARVEL/DISNEY+, STUDIOCANAL/R.BAJO

eprasa.pl 99f292badc

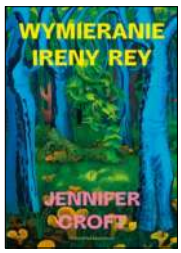

Białowieża, grzyby i tłumacze 4/6

Jennifer Croft, **Wymieranie Ireny Rey**, przeł. Kaja Gucio, Wydawnictwo Pauza, s. 460

Jennifer Croft, autorka angielskiego przekładu „Ksiąg Jakubowych" Olgi Tokarczuk, napisała zabawną powieść, w której zagadka kryminalna łączy się z satyrą i opowieścią o procesie przekładu. Do domu pisarki Ireny Rey w Białowieży przyjeżdża ośmioro tłumaczy na plenum translatorskie, czyli wspólną pracę nad przekładem jej nowej powieści. Uwielbiają ją i kochają, sami nazywają się między sobą od języków, na które tłumaczą: Serbska, Szwedzki itp. Tak jest do momentu, kiedy pisarka i jej mąż Bogdan znikają. Tłumacze pozostawieni sami sobie wreszcie zaczynają istnieć pod swoimi imionami, narratorka Emily jest tłumaczką na język hiszpański. Przez puszczę przetaczają się burze z piorunami, niektórych nawiedzają duchy. Białowieża



i sprawa jej wycinki (jest rok 2017) wchodzi w ich życie, a relacje zagęszczają się i czasem eksplodują. Narracja kryminalna łączy się z poszukiwaniem własnej tożsamości przez tłumaczy, którzy muszą odpowiedzieć sobie na pytanie o ich rolę. Czy przekład to tylko recykling? Jaka jest relacja między tłumaczem i autorem? Napięcie tej opowieści nadają też skojarzenia z rzeczywistą grupą tłumaczy Tokarczuk. Jednak powieść Croft wszystko, co realne, przenosi w sferę fantasmagorii i satyry. A tłumaczenie i pisanie wpisują się w ekosystem puszczy, razem z grzybami i starymi drzewami. Ta powieść, skrząca się grami językowymi, jest rodzajem satyrycznego przetworzenia roli tłumaczki, ale okazuje się też hołdem dla Białowieży.

JUSTYNA SOBOLEWSKA

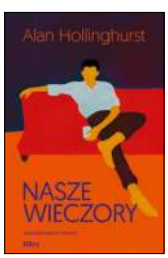

Doświadczanie 5/6

Alan Hollinghurst, **Nasze wieczory**, przeł. Katarzyna Makaruk, Wydawnictwo Filtry, Warszawa 2026, s. 444

Alan Hollinghurst jest mistrzem niuansu w relacjach między ludźmi, dlatego „Nasze wieczory" to nie jest tylko powieść gejowska czy powieść o zwieńczonej brexitem historii współczesnej Anglii, gdyby chcieć ją koniecznie szufladkować. David Win, jej bohater, pnie się społecznie dzięki stypendium szczodrego Marka Holdena. Uczy się w prestiżowej szkole z internatem i zaprzyjaźnia ze swoimi dobroczyńcami, tylko do Gilesa, syna Marka, nie pała sympatią – chłopak mu dokucza, a z biegiem lat dochrapie się dużej władzy (nie bez powodu będzie nazywany „architektem brexitu"). David często czuje się wyobcowany, nieprzystający. Ma birmańskie korzenie, wyróżnia się i przykuwa uwagę, sam bada z dużym onieśmieleniem, kim właściwie jest, czego pożąda, ale i co ukrywa jego matka. Z czasem znajduje w sobie dryg do aktorstwa, świetnie deklamuje wielką prozę i poezję, parodiuje wykładowców. Długo nie zauważa, że też się w ten sposób maskuje. To czuła opowieść o dojrzewaniu, które ma najwięcej sensu, kiedy staje się doświadczaniem, zwłaszcza bolesnym. To też wielka opowieść o Anglii od czasów tużpowojennych po współczesne. Wielka, bo historia jest tu oddalonym tłem. Z pomocą Davida i Gilesa Hollinghurst, parokrotnie nominowany do Bookera (nagrodę otrzymał za „Linię piękna"), wytycza dwie różne ścieżki życia w rozwarstwionym kraju. A najciekawsze są punkty ich przecięć i napięć.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

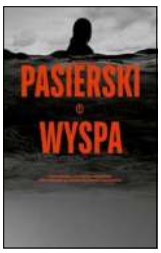

Zbrodnie rodzinne 4/6

Jędrzej Pasierski, **Wyspa**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2026, s. 344

Spokojne zamożne osiedla to dla autorów kryminałów wymarzona scenografia, która często zakrywa paskudne historie i mroczne tajemnice. Choć o wrocławskiej Wielkiej Wyspie Pasierski pisze tak, że chciałoby się tam zamieszkać mimo okazjonalnych zbrodni i grasujących w okolicznych parkach podejrzanych indywiduów. Utalentowana skrzypaczka zostaje brutalnie zamordowana, kiedy jej nastoletni syn był w domu i spędzał czas przy grach komputerowych. Nie ma bezpośrednich dowodów na jego udział w zbrodni, ale policja prosi o wsparcie psychologa dziecięcego Szczepana Turskiego, który co prawda wycofał się z zawodu i zmaga się z własnymi problemami rodzinnymi, lecz jest w stanie zrozumieć, co dzieje się w umyśle ponadprzeciętnie inteligentnego chłopaka. Oczywiście reguły gatunku nakazują, żeby podejrzanych było więcej: śledztwo wyciąga na światło kilka niewyjaśnionych sekretów z przeszłości i odsłania prawdziwe oblicze pozornie ustatkowanej rodziny. Pasierski literackiego prochu tu nie wymyśla. „Wyspa" to solidnie skrojone czytadło oparte na sprawdzonych formułach, choć kładące większy nacisk na analizę trudnych relacji między bohaterami (każdy ma tu jakieś rodzinne i osobiste problemy), a mniejszy – na rozwijającą się powoli akcję. Powieść powstała najpierw jako superprodukcja audio z udziałem m.in. Andrzeja Chyry i Mariusza Bonaszewskiego, ale wersja książkowa jest lepsza. Pasierski przeredagował i nieco rozbudował tekst, a brak muzyki i sztucznie podkręcających napięcie elementów dźwiękowych uświadamia, że to w gruncie rzeczy dramat psychologiczny ze zbrodnią w tle, a nie klasyczna powieść kryminalna.

JAKUB DEMIAŃCZUK

© MANNY CARABEL/GETTY IMAGES, FUNDACJA PROFILE, EMMA MCINTYRE/GETTY IMAGES, HBO MAX (2), MGS „OBOK", MP (4)

eprasa.pl 99f292badc

galeria

Przebudzony 4/6

Pomiędzy obrazami. Uśpiony kapitał kolekcji Andrzeja Skrzyńskiego, Fundacja Profile, Warszawa, do 21 marca



Ryszard Grzyb, „Van Gogh jedzie pod Paryż", 1984 r.

Niezwykle popularne stało się w ostatnich latach prezentowanie na wystawach prywatnych kolekcji. Większość z tych zbiorów, niekiedy bardzo okazałych, petryfikuje jednak istniejące hierarchie. Kolekcjonerzy rzadko decydują się na tworzenie własnych porządków wartości i stawianie na artystów lekceważonych przez domy aukcyjne czy mainstreamowe galerie. Do takich nieoczywistych, a przy tym imponujących zbiorów na pewno należy zaliczyć pokazywaną w 2025 r. w Toruniu kolekcję Szafrańskich. Skromniejsza, ale równie intrygująca jest prezentowana publicznie po raz pierwszy kolekcja Andrzeja Skrzyńskiego, z zawodu lekarza. W jego przypadku te nieoczywiste wybory to choćby fascynacja polską neoawangardą lat 70. czy rodzimą wczesną sztuką feministyczną, zbieraną w czasach, gdy poza historykami sztuki nikt się nią nie zajmował. Ale są tu też dzieła z obszaru surrealizmu, konceptualizmu, neoekspresjonizmu, a nawet pop-artu. I – obok gwiazd polskiej sceny artystycznej ostatniego półwiecza, jak Abakanowicz czy Wróblewski – można tu znaleźć również ciekawą grupę niedocenionych outsiderów z Wandą Czełkowską, Aliną Ślesińską czy Bronisławem Schlabsem. A także prawdziwe „perełki", jak niewielka rzeźba Henryka Morela, który zmarł młodo i pozostawił po sobie ledwie garstkę prac. Fundacja Profile zapowiada zaskakujące „uśpione kapitały" kolejnych kolekcji i ja czekam na nie z nadzieją.

PIOTR SARZYŃSKI





muzyka

Powrót do przyszłości 4/6

Julianna Barwick & Mary Lattimore, **Tragic Magic**, InFiné

Irlandzki zespół Clannad przeszedł kiedyś (w czasach znanego u nas serialu o Robin Hoodzie) od muzyki tradycyjnej do grania New Age, a jego była członkini Enya została nawet na wiele lat królową tego nurtu. Płyta „Tragic Magic", na której łączą siły dwie Amerykanki: **Julianna Barwick**, wokalistka grywająca na syntezatorach i aranżująca muzykę chóralną, oraz harfistka Mary Lattimore to coś dla miłośników tej konwencji. A przy tym muzyki z wytwórni 4AD z lat 80., ale też… Vangelisa. Obie autorki, każda ze sporym dorobkiem solowym, sięgają po filmowy utwór greckiego kompozytora z filmu „Łowca androidów": „Rachel's Song". I z jednej strony tego Vangelisa wyciągają akustycznymi brzmieniami w rejony Ennia Morricone. A z drugiej, już za chwilę, w imponującym utworze „Stardust", oddają hołd potężnym syntezatorowym brzmieniom autora ścieżki dźwiękowej do „Rydwanów ognia". To wszystko oczywiście w dużej mierze powrót do przeszłości – takiej, w której częściej myślano o tym, jak może kiedyś brzmieć muzyka. Ale powrót w dobrym stylu, godny poświęcenia mu przynajmniej jednego zimowego wieczoru w roku.

BARTEK CHACIŃSKI

nie przegap



Mel Brooks: 99-latek!, reż. Judd Apatow, Michael Bonfiglio, HBO Max

Znaczenia filmów Mela Brooksa w historii komedii nie da się przecenić: „Młody Frankenstein", „Płonące siodła" czy „Lęk wysokości" zapewniły mu nieśmiertelność. Ale wyreżyserowany przez Judda Apatowa dwuczęściowy dokument to nie tylko portret artysty, lecz przede wszystkim człowieka, budowany z opowieści samego bohatera, jego przyjaciół i znajomych z branży (m.in. Davida Lyncha, Bena Stillera i Roba Reinera). Uczta nie tylko dla kinomanów. JD

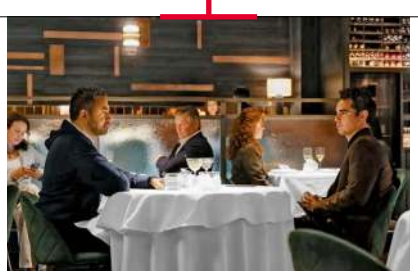

Branża 4, 8 odc., HBO Max

Serial dla sierot po „Sukcesji", z akcją osadzoną w londyńskim City, w świecie wielkich pieniędzy, wielkiej władzy i wielkich świństw. Bohaterowie zaczynali jako stażyści w banku inwestycyjnym – dziś ci, którzy przetrwali, rozpoczynają kolejną grę o wszystko. Naprzeciw siebie stają przyjaciółki i przeciwniczki: Harper (Myha'la) i Yasmin (Marisa Abela), i ich armie w garsonkach i garniturach, a nowy sezon inspiracje czerpał z thrillerów finansowych w stylu „Michaela Claytona". Plus wycieczki do Austrii i Afryki. AK

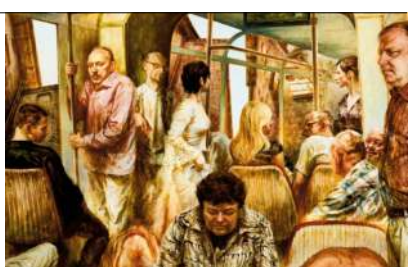

Piotr Naliwajko, **Mizogin**, Miejska Galeria Sztuki OBOK, Tychy, do 3 marca

Wystawa dla wszystkich, którzy chcą się przekonać, że współczesne malarstwo polskie to nie tylko progresywna „Bielska Jesień". Właściwie miniretrospektywa, którą otwiera wstrząsające „Przybycie Jezusa do Chorzowa" z 1986 r., a zamykają prace najnowsze. Niezmiennie prowokujące, ironiczne, oparte na fundamentach świetnego warsztatu, intelektualnego namysłu i niepokoju o to, że – jak głosi tytuł jednej z prac – „Delikatnie i powoli świat się całkiem rozpierdoli". P.SA

eprasa.pl 99f292badc



Małżonka premiera Szwecji Aina Erlander (po prawej) **z wizytą w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego, oprowadzana przez Wandę Telakowską** (po lewej)**, 1967 r.**

Rzeczy niepospolite

Wanda Telakowska nie tylko stworzyła niezwykłą instytucję, ale też wykreowała cały świat pięknych przedmiotów i zbudowała branżę zarządzaną przez kobiety. Właśnie ukazała się poświęcona jej książka pióra Katarzyny Rzehak.

eprasa.pl 99f292badc

PIOTR SARZYŃSKI

Wanda Telakowska miała dwa życiorysy. Ten przedwojenny był jak z sentymentalnego filmu z Eugeniuszem Bodo i Jadwigą Smosarską. Wychowanie w ziemiańskiej rodzinie, w patriotycznym, ale nie nacjonalistycznym duchu. Studia malarskie, szybkie sukcesy artystyczne – jak choćby złoty medal w Paryżu za barwny drzeworyt „Karuzela", wyśmienity projekt plakatu przestrzegającego przed... piciem denaturatu. Liczne okładki i ilustracje książkowe. Eleganckie mieszkanie na warszawskim Mokotowie, ze wspierającymi rodzicami osiadłymi w willi na Żoliborzu.

Równocześnie zaskakująco szybko rozwijała się jej kariera towarzyska: znajomości z Antonim Słonimskim, Marianem Hemarem, Janem Lechoniem czy ulubieńcem stołecznych elit gen. Bolesławem Wieniawą-Długoszowskim. Jej sąsiadem z tej samej kamienicy był prezydent Warszawy Stefan Starzyński, przyjaciółką – kochanka Tadeusza Boya-Żeleńskiego, pisarka i radykalna feministka Irena Krzywicka, jej towarzyskim kręgiem – legendarna kawiarnia Ziemiańska, a wielką niespełnioną miłością – Jarosław Iwaszkiewicz.

Od pewnego momentu pędzel i graficzny rysik Telakowska zamieniła jednak na urzędniczą tekę, zaliczając krótką, paroletnią, ale intensywną karierę jako sanacyjna urzędniczka Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Pisała raport o stanie edukacji artystycznej w Polsce, a jako wizytatorka przyglądała się jej w praktyce, odwiedzając liczne szkoły w całym kraju.

Elementem łączącym te wszystkie światy: sztuki, literatury i polityki stał się słynny sztambuch Telakowskiej. Ciekawe, że ową zabawkę pensjonarek rozpoczęła dość późno, mając już 30 lat. Ale warto było, bo lista wpisujących się to kawał historii polskiej kultury. Przy czym dość bezceremonialnie żartowano z fizycznych cech jego właścicielki: niebanalnego jak na owe czasy wzrostu (180 cm) i słusznej sylwetki, tudzież z panieńskiego stanu, w którym – nawiasem mówiąc – bohaterka pozostała już na zawsze.

Autorka książki dotarła do sztambucha i pomieściła w książce kilka przykładów przedwojennych „roastów". Antoni



Urodzona w 1905 r. Telakowska dopiero po trzydziestce zaczęła pisać swój słynny sztambuch

Słonimski: „Taka duża jest ta Wanda/ Taka bujna jak Uganda/ Kiedy wsadzisz ją do landa/ Ciągnąć musi cała banda". Marian Hemar: „Chociaż mam się do Ciebie/ Niestety w tym jest pech/ Że ja mam się do Ciebie/ Jak jeden do trzech". Julian Tuwim: „Dziewiczego pilnując wieńca/ Obie Wandy nas traktują srogo:/ Tamta Wanda nie chciała Niemca/ A ta Wanda – nie chce nikogo".

Co ciekawe, zabawę „we wpisy" Telakowska kontynuowała także po wojnie. Katarzyna Rzehak, autorka wydanej właśnie książki „Wanda Telakowska. Piękno dla wszystkich, czyli jak powstało polskie wzornictwo powojenne", przytacza zabawną anegdotę. Gdy okazało się, że w 1946 r. pociągiem do Paryża nasza

Drzeworyt Telakowskiej „Polska" z 1933 r.



bohaterka będzie podróżować w jednym wagonie sypialnym z kardynałem Hlondem, towarzyszący jej w podróży dramatopisarz Leon Kruczkowski wpisał: „Jadąc slipem na UNESCO/ Pani Wando, czarów nie skąp/ Na to jednak chciej mieć wzgląd/ Że za ścianą jedzie... Hlond! P.S. Byłaby to rzecz niemała/ Uwieść w slip'ie kardynała".

Drugi życiorys Telakowskiej rozpoczyna się wraz z zakończeniem drugiej wojny światowej. Bardzo szybko trafiła do pracy w Ministerstwie Kultury i Sztuki, gdzie rozpoczęła pełną zaangażowania przygodę pod hasłem: „Wszystko dla pracującego ludu polskiego miast i wsi". Jeździła po kraju, odwiedzając pracownie artystów ludowych, szukała inspiracji i wzorów dla tzw. przemysłu lekkiego. Angażowała się w budowę nowego systemu, mimo swych ziemiańskich korzeni i głębokiej wiary katolickiej. Odbierała od władz rozliczne honory.

Tak ów dysonans tłumaczy Katarzyna Rzehak: „Jak wielu polskich przedwojennych inteligentów, nie obraziła się na nowy system władzy po roku 1945, co więcej – dostrzegła w nim szansę. Przy całej świadomości zła, jakie ten system niósł, jako społeczniczka zobaczyła w nim potencjał, którego przedwojenna Polska nie dawała: na powszechną edukację, demokratyczny dostęp do dóbr, w tym dobra, jakim jest estetyka". A pomagało jej wyniesione z domu i silnie zakorzenione demokratyczne przekonanie, że wszyscy ludzie są sobie równi i o wszystkich należy podobnie dbać.

Od 1945 r. Telakowska prowadziła – cóż za socjalistyczny pomysł! – Biuro Nadzoru Estetyki Produkcji (BNEP), które współpracujący z nim przez pewien czas Leopold Tyrmand nazywał złośliwie „Biurem Niewyżytych Erotycznie Panien". W 1950 r. zaś powstało jej ukochane dziecko – Instytut Wzornictwa Przemysłowego, z którym była związana przez kolejne trzy dekady, w tym 18 lat jako szefowa. IWP miał się zajmować teoretycznymi badaniami nad różnymi aspektami rynkowych produktów: od estetyki, poprzez ergonomię, aż po funkcjonalność.

Telakowskiej udało się przejść w miarę suchą stopą przez czasy socrealizmu, może i dlatego, że o wiele więcej miał on do powiedzenia w kwestii ideowych wartości filmów, książek czy dzieł sztuki, aniżeli kubków, krzesełek czy zasłon. ▶

© BOLESŁAW MIEDZA/PAP, MUZEUM W STAWISKU/FOTONOVA, WANDA TELAKOWSKA

eprasa.pl 99f292badc





Wanda Telakowska (w środku) **chciała nieść w lud estetyczny kaganek oświaty, IWP, 1953 r.** Obok: **legendarne figurki z Ćmielowa: „Pierwszy bal" i „Indyk".**

▶ W Instytucie można więc było w miarę spokojnie koncentrować się na nowych wzorach mebli dopasowanych do małych mieszkań, eliminacji drogich materiałów i zastąpieniu ich najtańszymi (żadnych intarsji, metalowych okuć itp.) czy wymyślaniu, jak można łączyć różne funkcje w jednym meblu (regał + biurko, fotel + łóżko itd.).

Telakowska wręcz obsesyjnie chciała nieść w lud estetyczny kaganek oświaty. Czyli produkować towary powszechnego użytku, które byłyby ładne, nowoczesne, przyjazne w wykorzystywaniu. Samo wyliczenie wzorów, które wyszły z biur projektowych IWP pod ścisłym nadzorem szefowej, złożyłoby się na obszerną publikację. Ale o kilku szczególnie znanych warto wspomnieć. To na przykład zaprojektowane przez Zofię Przybyszewską zestawy do barów mlecznych – talerze, kubki, miski – z których przez całe dziesięciolecia korzystały miliony rodaków (kto w PRL-u nie bywał w mlecznych barach?). Czy projekty szkolnych mebli, które o kilka dziesięcioleci wyprzedzały edukacyjne trendy, pozwalając pracować w klasie kolektywnie lub w dowolnych konfiguracjach uczniów. Jej był także, stworzony pospołu z Wandą Krahelską, pomysł wydawania „Projektu", pisma jak na owe czasy niezwykle nowoczesnego, które przetrwało na rynku 41 lat.

Bodaj najbardziej spektakularnym pomysłem zrodzonym w głowie Telakowskiej okazało się jednak masowe wprowadzenie do polskich mieszkań sztuki. Tę rolę spełniać miały nieduże porcelanowe, nowoczesne figurki zwierząt i postaci ludzkich. Do ich projektowania powołano specjalny czteroosobowy zespół młodych zdolnych artystów w składzie: Henryk Jędrasiak, Mieczysław Naruszewicz, Lubomir Tomaszewski oraz Hanna Orthwein. Tak zrodził się słynny fenomen „figurek z Ćmielowa", tworzonych zaledwie 10 lat, ale do dziś uchodzących za niedościgły wzór modernistycznych minirzeźb.

Powojenne zawodowe życie Telakowskiej wydawało się niekończącym pasmem sukcesów. Fascynujące podróże po świecie (w tym wielomiesięczny pobyt w Chinach), kontakty z artystycznymi elitami w Europie, pasjonujące spotkania ze szczególnymi gośćmi odwiedzającymi Polskę (np. wielogodzinne i obfitujące w niespodzianki oprowadzanie po siedzibie IWP królowej Belgów Elżbiety Gabrieli Bawarskiej w 1955 r.). Ale w książce Rzehak wiele jest także opisów codziennej walki z niekompetentnymi urzędnikami, zazdrosną konkurencją i arogancką władzą – o utrzymanie naukowego charakteru Instytutu i jego programową niezależność. Bez determinacji Telakowskiej i jej forteli zapewne nie podziwialibyśmy dziś wielu, wręcz kultowych, wzorów polskich mebli, lamp czy wyrobów ze szkła i porcelany.

Szczególnie zabawna i świetnie oddająca waleczną naturę bezkompromisowej szefowej IWP jest opowieść o naradzie z 1957 r., w której mocno zderzyły się racje Telakowskiej i ówczesnego wiceministra handlu zagranicznego Józefa Kutina. Partyjniak, pragnąc upokorzyć przy pracownikach szefową Instytutu, wielokrotnie mówił o niej per Terlikowska, Telaczewska, Telaczyńska itd. W pewnym momencie – według relacji Rzehak – Telakowska „wstaje, odważnie przerywa wiceministrowi Kutinowi i prosi o głos: »Szanowny panie ministrze, wiele razy mnie pan już obraził, zniekształcając moje nazwisko. Pan pozwoli, że teraz ja, ku radości sali, też zmienię pańskie nazwisko, ale przekręcając tylko jego dwie ostatnie litery...«". Co to się działo!

eprasa.pl 99f292badc







Telakowska wprowadzała sztukę do polskich mieszkań. Czy to w formie porcelanowych minirzeźb, czy towarów użytkowych, jak serwisy, meble, tkaniny.

– można by powtórzyć za tekstem piosenki Wojciecha Młynarskiego.

Po 1968 r. Telakowskiej odebrano kierowanie Instytutem i zmarginalizowano jej kompetencje. A jednak jeszcze w 1977 r. udało się jej uchronić przed rozproszeniem i doprowadzić do przekazania do bezpiecznych zbiorów Muzeum Narodowego w Warszawie bezcennych zbiorów tzw. wzorcowni. Rok później odeszła na emeryturę. Zmarła w 1985 r., przez ostatnie lata będąc osobą praktycznie niewidzącą.

Losy Telakowskiej, ciekawe same w sobie, są też świadectwem szerszych zjawisk w obszarze zarządzania kulturą. Praktycznie przez całe czasy PRL-u gabinety dyrektorskie były zarezerwowane dla mężczyzn. Wszystko jedno, czy mowa o dużych muzeach, zespołach filmowych, wydawnictwach książkowych, filharmoniach i operach czy teatrach. Praktycznie jedyną enklawą pozostawała kultura materialna. Poza Telakowską wskazać można jeszcze dwie kobiety, które dzięki determinacji osiągnęły podobną pozycję.

Pierwszą z nich była Zofia Szydłowska. W 1949 r. założyła (w wieku 32 lat!) i przez 20 lat kierowała Centralą Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Cepelia". Stworzyła kolos współpracujący z tysiącami rzemieślników, twórców ludowych i małych przedsiębiorstw. Po roku w ramach Cepelii działało już 18 hurtowni i 60 sklepów, z czasem także placówki w Nowym Jorku i Brukseli. Drugą taką kobietą była Jadwiga Grabowska, zwana „polską Coco Chanel", która z kolei założyła w 1958 r. Modę Polską i przez lata była jej dyrektorką, a następnie szefową artystyczną.

Co ciekawe, wszystkie te trzy trzęsące polskim wzornictwem panie wiele łączyło. Miały ziemiańskie pochodzenie, które w ludowej Polsce jakoś im nie zaszkodziło. Świetnie znały obce języki – Grabowska ponoć aż pięć, Telakowska biegle mówiła po francusku, czyli w języku wówczas uchodzącym za główne międzynarodowe narzędzie komunikowania się elit. Były przebojowe, z niestrudzoną energią walczyły o rozwój kierowanych przez nie firm. Grabowska rozstała się z Modą Polską, mając 70 lat, a jeszcze przez kolejną dekadę aktywnie współpracowała z innymi firmami z branży, jak Cora czy Ambasador.



O ile projektowanie mody podążyło w kolejnych dekadach różnymi ścieżkami, o tyle wzornictwo przemysłowe (z czasem nazywane nowocześnie „dizajnem") praktycznie po dziś dzień pozostało domeną kobiet, choć z czasem owe wpływy uległy rozproszeniu. Spośród pań wyznaczających standardy na pewno należy wspomnieć o Czesławie Frejlich, kuratorce licznych, dziś już uważanych za kultowe, wystaw, autorce książek oraz wieloletniej redaktor naczelnej poświęconego projektowaniu pisma „2+3D". Ale i o Agnieszce Jacobson-Cieleckiej, która swego czasu wprowadziła do Polski opiniotwórcze w branży pismo „Elle Decoration" i była jego szefową, a dziś kieruje jedną z najciekawszych uczelni kształcących projektantów School of Form. Natomiast wspaniałe tradycje projektowe Marii Chomentowskiej czy Teresy Kruszewskiej z powodzeniem kontynuują m.in. Agnieszka Bar (szkło), Maja Ganszyniec, Dorota Koziara, Joanna Leciejewska, Wiktoria Lenart czy Marta Niemywska-Grynasz. Pod tym względem Telakowska wydaje się wiecznie żywa.

PIOTR SARZYŃSKI

© STANISŁAW DĄBROWIECKI/PAP, FABRYKA PORCELANY AS ĆMIELÓW (4), WŁODZIMIERZ ECHEŃSKI/EAST NEWS (2), ARCHIWUM INSTYTUTU WZORNICTWA PRZEMYSŁOWEGO, WYDAWNICTWO MARGINESY

eprasa.pl 99f292badc

Ta książka niby jest o przyrodzie, ale tak naprawdę to był test, jak sobie poradzę z pisaniem o bardzo trudnych doświadczeniach – mówi Stanisław Łubieński, laureat Paszportu POLITYKI w kategorii książka.

Święto życia

JUSTYNA SOBOLEWSKA: **– Podczas wręczania Paszportu POLITYKI przeczytał pan apel w obronie świergotka syberyjskiego, o którego istnieniu wielu z nas dowiedziało się dopiero wtedy.**

STANISŁAW ŁUBIEŃSKI: – Nie spodziewałem się, że dostanę nagrodę, ale na wszelki wypadek byłem przygotowany. Chciałem, żeby była wspomniana Ukraina i ochrona przyrody. Tak się złożyło, że moi znajomi zobaczyli nad Wisłą świergotka. I nawet nie wiedzieli, że patrzą na tego syberyjskiego, a okazało, że to właśnie on siedział pod Mostem Południowym. Ma poza tym ładną nazwę, ale nie jest zachwycająco kolorowy, taki po prostu szarobury ptaszek z długim ogonem. O takich ptakach się rzadziej dowiadujemy niż o tych wielkich, drapieżnych czy jaskrawokolorowych. Wszystkie książki dla dzieci o przyrodzie są pełne jakichś papug.

Tylko wróbel zawsze miał powszechną sympatię. A jaka jest dziś sytuacja wróbli w mieście?

Wróbel się waha. To jest w naturze wróbla, że co jakiś czas ma kryzysy powodowane przez zmiany, które wywołują ludzie. I kryzys wróbla można zauważyć we wszystkich miastach Europy. No, ale wszyscy się nim przejmują, bo wróbel to jest jakiś symbol też miasta, mieszka zawsze przy ludziach. Więc mamy żywy do niego stosunek. Miasto bywa niestety pułapką, bo w czasie remontu budynków znikają te wszystkie dziury pod parapetami i wtedy wróbel już nie ma gdzie mieszkać, a jego kłopot jest taki, że on nie jest elastyczny.

Pańska książka jest podstępna. Spodziewamy się, że będzie o drzewach, ptakach, ale kiedy dochodzimy

PARTNER KATEGORII
Sopot

Stanisław Łubieński (ur. 1983 r.) – kulturoznawca, ukrainista, z zamiłowania przyrodnik. Autor książek: „Pirat stepowy" (Czarne 2012), „Dwanaście srok za ogon" (Czarne 2016), „Książka o śmieciach" (Wydawnictwo Agora 2020). Jest prezesem zarządu Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. Za książkę „Drugie życie Czarnego Kota" (Agora) otrzymał Paszport POLITYKI.



© LESZEK ZYCH

eprasa.pl 99f292badc

do rozdziału o psie Fuksie, to wzruszenie chwyta za gardło. A potem jest jeszcze poruszający fragment o śmierci taty. Tak to pan zaplanował?

Wiedziałem, że zanim ją skończę pisać, Fuksa już pewnie nie będzie. Więc chciałem taki mu pomnik wystawić. I wiedziałem, że to jest wspólne doświadczenie wielu ludzi, którzy mieli psy. Mierzymy się z tym odchodzeniem w takim strasznie przyspieszonym tempie. Muszę powiedzieć, że ku swojemu zdziwieniu sam się rozklejam za każdym razem, kiedy czytam ten kawałek o jego śmierci. O ojcu to jest bardziej zdystansowany fragment, może dlatego, że relacja z człowiekiem składa się z wielu niuansów. Miałem dużo wątpliwości, poczucie, że nie wiem, czy ja się chcę tak odsłaniać. Ta książka niby jest o przyrodzie, ale tak naprawdę jest moim podsumowaniem tego, co mnie spotkało na tym etapie życia. To był też test dla mojego pisania, jak ja sobie poradzę z pisaniem prosto z serca, o bardzo trudnych doświadczeniach.

Całość okazuje się też hołdem dla eseistyki historycznej pańskiego taty Tomasza Łubieńskiego, autora np. „Bić się czy nie bić". Trafia pan na przykład w miejsce, gdzie pański przodek walczył z Moskalami.

Tak, pamiętam, że ja mu nawet mówiłem, że chcę napisać o tym, że ten Tomasz Łubieński, jego imiennik, prawie się utopił i że z walczył z Moskalami w Zakolu Wawerskim. Zapytał mnie: „A co czytasz, żeby się dowiedzieć czegoś o tej bitwie?". Jak odpowiedziałem, to uznał, że to niedobre, że powinienem czytać coś zupełnie innego. Jak to on, krytycznie podszedł do moich wyborów. Ale ja jestem wielkim fanem pisania mojego ojca. Życzyłbym sobie, żeby to przetrwało. Po śmierci mojego taty urodziła się jego ostatnia książka, czyli tom „Ulica Mazowiecka". Tam znalazły się wiersze z różnych lat, takie też dosyć młodzieńcze, ale i już ostatnie, w których widzimy świadomość odchodzenia. Niezwykle ciekawe doświadczenie, ta nieoczekiwana rozmowa z ojcem już po jego śmierci. Bardzo to było dla mnie przejmujące. Również te wiersze górskie, taternickie, gdzie tak mocno czułem, jak się zmienił, jaką długą drogę przeszedł, bardzo mnie wzruszyły. Więc w tym ostatnim fragmencie postanowiłem w jakiś sposób imitować jego rytm pisania, tej poezji. Mam nadzieję, że to przeczytał, gdziekolwiek teraz jest.

Jeden z rozdziałów zaczyna pan: „Byłem wtedy zakochany".

Dla takich chwil się żyje, jakieś 10 lat temu miałem ten ekstatyczny czas, dałem się porwać. Wtedy byłem zakochany i taki entuzjastyczny, otwarty na przygody, więc kiedy kolega powiedział, że jest takie dziwne miejsce, bardzo dzikie, i żebym ja z nim tam pojechał, no to ja z radością się zgodziłem. Taka rozrzutność, która się czasami człowiekowi przydarza, jest fajna. Dobrze mnie los pokierował.

Pisze pan o tym, że przyroda jest zawsze i wszędzie. Nawet tam, gdzie się jej nie spodziewamy. Nawet brudna kupa śniegu może przynieść nam odkrycia?

Gdziekolwiek się spojrzy, to jest coś do obserwowania, coś, co rodzi pytania. To może być ta kupa śniegu, którą rzeczywiście postanowiłem ułożyć na podkładzie agarowym, żeby zobaczyć, jakie grzyby wyrosną ze śniegu sprzed mojej klatki schodowej. Nie spodziewałem się, że wyrosną takie piękne księżycowe krajobrazy. Zazwyczaj przyjmuje się, że przyroda w mieście jest jednak niezbyt ciekawa i że dopiero jak pojedziemy do domku nad Bugiem albo do jakiejś puszczy, to wreszcie zaznamy przyrody. To nie jest do końca prawda. Przyroda jest wszędzie. Jak prowadzę spacery w mieście, to miejscem startu jest często przystanek. Mam teraz taką ambicję, żeby tam spędzać przynajmniej pół godziny i szukać czegokolwiek. Co rośnie w miejscach, gdzie słupy, które podpierają przystanek, zagłębiają się w ziemię i ze szpary wyrasta jakaś trawka? Co to za trawka? Chcę pokazać, że to nie są żadne wielkie mecyje, to szukanie przyrody, i że nie trzeba się nastrajać i ubierać w odpowiedni strój, tylko obserwację przyrody można uprawiać naprawdę wszędzie, w każdej sytuacji.

Jakaś dziewczynka skomentowała: „Ten pan rzyga", a pan badał porosty pod Pałacem Kultury?

Ktoś przyklejony nosem do ściany Pałacu Kultury wygląda raczej, że jest pod wpływem narkotyków, a nie że bada przyrodę. A ja tam obserwowałem taką roślinę, która się nazywa karmnik rozesłany. Należy do rodziny goździkowatych, ma takie bardzo małe kwiatuszki, ale to wszystko widać pod lupą, bo to jest naprawdę mikroskopijne. To też jest mój sojusznik na spacerach, bo ta roślina wyrasta w bardzo niewdzięcznych miejscach. Zabrałem kępkę karmnika, oglądałem w dużym powiększeniu i zobaczyłem, że wyrastają tam palemki mchów, pomiędzy którymi łażą roztocza, które wyglądają jak jakieś nosorożce. Mikrodżungla.

Czy ma pan poczucie, że zainteresowanie takimi mikrowyprawami i spacerami przyrodniczymi rośnie?

To jest ewidentne. Na pewno takich spacerów kiedyś nie było tak wiele. Teraz jest ich dużo i zawsze są na nie chętni. Myślę, że to wynika z tego, że chcemy wiedzieć więcej o świecie, ale niekoniecznie z internetu, tylko w kontakcie z drugim człowiekiem. Ja myślę, że ten głód wiedzy o przyrodzie jest ważny w świecie, z którego naprawdę już niewiele rozumiemy. A tu nagle trafiamy do tego świata, w którym wszystko, co żyje, ma do opowiedzenia swoją historię. Nie tylko tutaj, w tym mieście. Moja książka może się wydawać warszawocentryczna, ale mam nadzieję, że motywuje do podobnych poszukiwań wszędzie tam, gdzie mieszkają ludzie. Stare drzewa, otoczone przez budynki enklawy zieleni, porzucone place budów są przecież wszędzie.

Wydaje się, że Warszawa od pewnego czasu stawia na zieleń dziką. Widzi pan zmiany w podejściu do zieleni w mieście?

Nie wszystko jest idealnie, ale zmiany, które się dokonały na przestrzeni dość krótkiego czasu w podejściu do zieleni miejskiej, są kolosalne. I dowartościowanie tej spontanicznej zieleni jest ewidentne. Podoba mi się niepedantyczne podejście do tych łączek, które wprowadza się coraz śmielej. I w ogóle zwrot w kierunku tego, żeby jednak doceniać to, co jest, tę zastaną przyrodę. Ciekaw jestem, czy dożyjemy takiego momentu, że się pozwoli wyrastać drzewom spontanicznie w przestrzeni miejskiej. Przecież topole wysiewają się wszędzie i samosiejki są najlepiej przystosowane do wzrostu w zastanych warunkach, uczą się ich, dojrzewają w nich od nasionka. Na razie wszystko jest pod kontrolą. To zieleń, która jest oficjalna, ostemplowana, ma papiery i przepustki, ona nie jest przypadkowa. Wszystko, co tak na dzikusa wyrasta, to nadal jest podejrzane.

Takim miejscem, gdzie drzewa rosną dziko, są cmentarze?

Niekoniecznie, chyba że takie zapuszczone. Dlatego uwielbiam cmentarz żydowski w Warszawie. Zwykle jednak zieleń podlega kontroli, obserwuję sąsiedztwo bliskich mi grobów i tam jest ▶

eprasa.pl 99f292badc



▶ dużo łysiej, niż było. Często drzewa usuwa się zupełnie bezmyślnie, bo ludzie narzekają, że liście spadają na płyty nagrobne. Dla mnie obraz tego, że te drzewa sięgają korzeniami gdzieś tam, do tych pochowanych ludzi, jest poruszający. Jest taki przepiękny żydowski cmentarz w Cieszynie, który jest bardzo zarośnięty. Widziałem jedyny raz w moim życiu taką sytuację, że macewy zostały otoczone przez pnie drzew i część płyt jest do połowy pochłonięta przez drzewa. No i trudno mi sobie wyobrazić bardziej przejmujący obraz tego, jak może wyglądać pamięć. To jest taki żywy pomnik. Macewa jest tak stara, że naprawdę potężny dąb, który wyrósł później, musiał się przystosować, musiał sobie znajdować miejsce, musiał ją wchłonąć, no bo ona już tam stała.

Doświadczenie Warszawy to doświadczenie braku przeszłości. To miasto uczy myślenia o tym, czego nie widać?

No tak, na pewno, bo nieustająco uświadamiasz sobie, że przecież wszystko tu jest dosyć nowe. Czy to nie symboliczne, że najstarszy pomnik historii w Warszawie to drzewo, a nie budynek? Zawsze możesz też się cofać o kolejne dekady, wieki i tak dalej i dokopywać się do dalszych pokładów. Ja życzyłbym mojej książce, żeby miała właśnie takie drugie życie, żeby prowokowała podobną refleksję w innych miejscach i żeby doceniać to, co tam żyje i rośnie. Wiele miast po prostu, bez żalu i bez sentymentu, pozbawia się starych drzew. Pod błahym pretekstem – bo jest jakaś inwestycja, są pieniądze do wydania. Krajobraz polski jest okaleczany tymi wycinkami, niestety.



© WYDAWNICTWO AGORA

Z pańskiej książki wynika też, że wszystko jest połączone: miasto, przyroda, życie i pisanie. W dodatku te nazwy ze świata przyrodniczego to czysta literatura.

Tak się u nas zawsze narzekało, że opisy przyrody nieciekawe i tylko spowalniają akcję. Stały się synonimem nudziarstwa, a Elizą Orzeszkową straszy się dzieci po prostu. A ja to zawsze bardzo lubiłem. Mgły nad tym Dnieprem u Sienkiewicza, te lasy, stepy, to dla mnie było właśnie fajne. My jednak nie mieliśmy tej tradycji pisania o przyrodzie, zawsze to był margines, pogranicze literatury. Ale znajdziemy go sporo u Jarosława Iwaszkiewicza czy u Kornela Filipowicza, który powinien być bardziej znany. Język przyrodniczy potrafi być literacki – Kapuściński nie jest najbardziej znany ze swoich wierszy, jednak je pisał i zrobił wiersz z opisu pliszki górskiej. Rozbił opis na wersy i wyszło bardzo poetycko.

Zaczęliśmy od ptaków i skończymy na ptakach: fenomen naśladowców ptaków to coś niesłychanego, prawda?

Naśladowcy ptaków zawsze byli, ale fenomen mistrzostw w naśladowaniu ptaków nas zaskoczył. Organizujemy je z barem Studio i z Towarzystwem Krajoznawczym „Krajobraz". Do pierwszej edycji podeszliśmy tak, że jacyś znajomi pewnie przyjdą i że będzie wesoło. No i okazało się, że nagle siedzi pod sceną kilkaset osób, że ludzie się zgłosili na te mistrzostwa, trenowali i zaprezentowali bardzo wysoki poziom. A potem zrobiliśmy drugą edycję, na którą przyszły nie setki, ale tysiące. Mało jest takich akcji, które ludzi łączą wokół przyrody, a to jest czysta radość. 11 września zapraszamy na kolejne mistrzostwa.

A słowik na „patelni", czyli u wylotu Metra Centrum, to tak na stałe?

Jest co roku, od maja trzeba nasłuchiwać. To jest perła przyrodnicza centrum Warszawy. I zawsze lubię obserwować reakcje ludzi, którzy słyszą tego słowika i przystają, a potem idą dalej z takim poczuciem, że ktoś sobie z nich zażartował. Bo to niemożliwe i te trele muszą z głośników lecieć. I zdarzyło mi się na oficjalnym spacerze przyrodniczym czekać na tego słowika strasznie długo. Aż w końcu się odezwał. To mnie w słowiku trochę drażni: on musi mieć scenę tylko dla siebie, śpiewa najchętniej w nocy, kiedy inne ptaki cichną. I tak się upaja tym swoim śpiewaniem. Teraz go antropomorfizuję niesłusznie, ale bawi mnie ta wizja, że on właśnie jest takim egotykiem. I dlatego jakoś zawsze staram się docenić kosa, który śpiewa wieczorem, przynajmniej równie pięknie, kiedy jeszcze śpiewają inne ptaki.

Co pan teraz planuje?

Staram się codziennie gdzieś chodzić w przyrodę, żeby już wprowadzić się w ten stan pobudzenia, bo zaraz wiosna i tyle się będzie działo! I nie chcę mieć żadnych spotkań autorskich między kwietniem a czerwcem, chcę maksymalnie wykorzystać to święto życia. Rezerwuję sobie ten czas na przyrodę.

ROZMAWIAŁA JUSTYNA SOBOLEWSKA

tokfm

Rozmowy z laureatami Paszportów POLITYKI w każdą środę o godz. 11.40 w „Kulturze Osobistej" w TOK FM, na tokfm.pl i w aplikacji mobilnej.

Współorganizator Gali
TVP

Partnerzy Główni
TOTALIZATOR SPORTOWY
LAT
zaiks Stowarzyszenie Autorów ZAiKS
PZU FUNDACJA
ORLEN

Partner Oficjalny
Warszawa

Partnerzy Kategorii
Książka
Sopot
Sztuki wizualne
KRUK
Film
KUJAWY POMORZE
FUNDUSZ FILMOWY KUJAWY POMORZE
Scena
Białystok
Muzyka popularna
PZU FUNDACJA
Muzyka poważna
ART & SCIENCE

Partner Medialny
tokfm

eprasa.pl 99f292badc

16. MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYCZNY NDI SOPOT CLASSIC

4–11 lipca 2026

Sopot

NDI SOPOT CLASSIC



#przygoda

SZCZEGÓŁY WKRÓTCE

WWW.SOPOTCLASSIC.PL

eprasa.pl 99f292badc



Przyłożenie po hiszpańsku

Gwiazdą tegorocznego Super Bowl będzie Bad Bunny, król już nie tyle muzyki latynoskiej, ile po prostu amerykańskiej. Trump zamierza jego występ zbojkotować, a na stadion wysłać agentów ICE.

MARIUSZ HERMA

„Nie wiem, kto to jest i dlaczego to robią, to jakieś wariactwo. Myślę, że to absolutnie niedorzeczne” – tak prezydent Trump skomentował decyzję o tym, kto wystąpi na tegorocznym Super Bowl, czyli bodaj najważniejszej scenie świata. Rok temu występ Kendricka Lamara oglądało rekordowe 133,5 mln widzów. W niedzielę 8 lutego może paść kolejny rekord, bo przerwę finału ligi futbolu amerykańskiego uświetni Bad Bunny, czyli najpopularniejszy – jeśli mierzyć zasięgami w streamingu – muzyk ostatnich kilku lat.

© ROBERT HANASHIRO USA TODAY/SIPA USA/EAST NEWS

eprasa.pl 99f292badc

Bad Bunny jest obywatelem amerykańskim, ale czuje się Portorykańczykiem i Latynosem. A żaden Latynos nie występował jeszcze na Super Bowl solo jako główny bohater. W przeciwieństwie do latynoskich gwiazd poprzedniego pokolenia – takich jak Ricky Martin, Enrique Iglesias czy Shakira (która śpiewała na finale Super Bowl w duecie z Jennifer Lopez i z Bad Bunnym jako gościem w 2020 r.) – muzyk nigdy nie zrezygnował z hiszpańskiego na rzecz angielskiego. Nawet gdy występuje w telewizyjnych programach typu „Saturday Night Live" – a gościł tam już cztery razy – hiszpański czyni domyślnym językiem. I zapewne tak samo zachowa się podczas Super Bowl. „Jeśli nie rozumiecie tego, co przed chwilą powiedziałem, macie cztery miesiące na naukę" – wtrącił po angielsku podczas wizyty w „SNL" w październiku, czyli tuż po ogłoszeniu wyboru NFL i tyradzie Trumpa.

Otoczenie prezydenta USA zareagowało nawet ostrzej. Sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem zapowiedziała wysłanie na Super Bowl agentów ICE, czyli federalnych służb imigracyjnych, które coraz brutalniej realizują prezydencki plan „deportacji milionów imigrantów". „Będziemy tam strzec prawa. Ludzie nie powinni się więc wybierać na Super Bowl, jeśli nie są szanującymi prawo Amerykanami, kochającymi swój kraj" – ostrzegała Noem. I to drugi powód, dla którego wystosowanie przez NFL zaproszenia dla Bad Bunny'ego – i przyjęcie przez niego tej propozycji – może zaskakiwać.

Katapulta dla wyspy

Wszak to z powodu obaw o bezpieczeństwo swoich fanów, w dużej części latynoskiego pochodzenia, gwiazdor pominął Stany Zjednoczone podczas trwającej właśnie trasy koncertowej (w lipcu w jej ramach odwiedzi Warszawę, biletów już brak). „Była taka sprawa, że pier... lone ICE mogłoby stać przed bramkami. A to jest coś, czego bardzo się obawiałem" – tłumaczył.

Zamiast jeździć po Stanach i odwiedzać fanów w kolejnych miastach, zaprosił ich do siebie. W portorykańskiej stolicy San Juan zorganizował aż 30 koncertów, za każdym razem wypełniając tamtejsze koloseum mieszczące 20 tys. osób. Termin swojej „rezydencji" – od lipca do września – wybrał nieprzypadkowo. Na Atlantyku szaleją wtedy odstraszające turystów huragany. Bilety na koncerty Bad Bunny'ego sprzedawane poza Portoryko miały wyższą cenę, ale gwarantowały nocleg w którymś z opustoszałych latem hotelików (zagraniczne sieci pominięto). Miało to wesprzeć przedsiębiorców, a zarazem zniechęcić fanów do korzystania z platform w rodzaju Airbnb, które także w Portoryko doprowadziły do przekształcania domów i mieszkań w krótkoterminowe noclegownie dla przyjezdnych.

Cała akcja przyniosła bezprecedensowy zastrzyk gotówki pogrążonej od lat w kryzysie wyspie. Mimo że pierwsze dziewięć koncertów Bad Bunny zarezerwował wyłącznie dla rodaków, ostatecznie aż 2/3 publiczności stanowili goście z zagranicy. Według agencji Moody Analytics pozostawione przez nich pieniądze – a także te wydane przez samego gwiazdora na organizację imprez (do budowy samej scenografii zatrudnił tysiąc lokalnych robotników) – sięgnęły 400 mln dol., co podbiło portorykańskie PKB o jakieś 0,3–0,4 proc.

– *Zrobił dla naszej gospodarki więcej niż jakakolwiek decyzja rządu w ostatnim ćwierćwieczu. Przychody małych lokalnych sprzedawców i przedsiębiorców eksplodowały. Ludzie rzucili się nawet na książki historyczne o Portoryko!* – śmieje się Alfredo Richner, założyciel serwisu muzycznego Puerto Rico Indie. Karierę rodaka, który w marcu skończy 32 lata, śledził od samych początków. Z niedowierzaniem obserwował, jak w pewnym momencie Bad Bunny „katapultował się na poziom sławy porównywalny z Taylor Swift". – *La Residencia, czyli ta historyczna seria koncertów, oraz jego ostatni album „Debi Tirar Más Fotos" przerastają o rząd wielkości wszystko, czego doświadczyliśmy w tym kraju* – ocenia.

W oświadczeniu NFL o wytypowaniu Portorykańczyka na gwiazdę przerwy w finale Super Bowl – jak wspomniano, jako pierwszego Latynosa – zamieszczono także jego komentarz. „Robię to dla tych, którzy przebiegli przede mną niezliczone jardy po to, abym ja mógł zaliczyć touchdown" – nawiązał do zdobycia punktów w futbolu amerykańskim, dodając: „Robię to dla moich ludzi, mojej kultury, naszej historii".

Takich latynoskich precedensów Bad Bunny zaliczył więcej. Jego trzeci album „El Último Tour Del Mundo" z 2020 r. był pierwszym wykonanym w całości po hiszpańsku, który dotarł na sam szczyt listy „Billboardu". Wydana dwa lata później „Un Verano Sin Tí" była pierwszą taką nominowaną do nagrody Grammy dla płyty roku; od premiery pozostaje też najczęściej streamowanym albumem w historii Spotify. A towarzysząca jej wydaniu trasa pobiła latynoskie rekordy koncertowe – teraz artysta ściga się w tej dyscyplinie sam ze sobą.

Zupa na wszystko

Wraz z jego rosnącą pozycją w showbiznesie – nie tylko w muzyce, bo wystąpił także w słynnym serialu Netflixa „Narcos" czy komedii „Bullet Train" u boku Brada Pitta i współpracuje ze znanymi markami modowymi – narastało też zaangażowanie polityczne Bad Bunny'ego. Jeszcze za pierwszej kadencji Donalda Trumpa krytykował go za reakcję na katastrofalne zniszczenia, jakich w 2017 r. dokonały w Portoryko huragany Irma oraz Maria. W 2020 r. podczas kampanii prezydenckiej w USA użyczył piosenki do klipu Joe Bidena. A przed kolejnymi wyborami poparł Kamalę Harris kilka godzin po tym, jak jeden z mówców na wiecu Trumpa nazwał Portoryko „pływającą wyspą śmieci na środku oceanu".

W czerwcu ubiegłego roku był świadkiem interwencji agentów ICE w jego portorykańskim mieście Carolina. „Przyjechały tu, skur..., zamiast zostawić ludzi w spokoju i pozwolić im pracować" – komentował na nagraniu pokazującym watahę czarnych SUV-ów. Nieoficjalnie mówi się, że w tłumie portorykańskich fanów agentom ICE trudno byłoby wyłapać osoby pochodzące z Wenezueli, Kolumbii czy Meksyku, działaliby też w trudniejszym otoczeniu niż na kontynencie.

Bad Bunny angażuje się również w politykę lokalną. Sprzeciwia się powracającym pomysłom na zmianę statusu Portoryko z „terytorium niewcielonego" na 51. stan USA. Wykupywał nawet billboardy krytykujące partie lansujące ten pomysł i wspierał te dążące do zerwania związków z Waszyngtonem i ogłoszenia niepodległości. Jego koncerty rozpoczyna przegląd powodów do bycia dumnym Portorykańczykiem, jak: „San Juan to jedno z najstarszych miast w Amerykach, zostało założone w 1521 r.". I zapewnienia, że sancocho – tradycyjna regionalna zupa – „leczy wszystko, przynajmniej według naszych babć".

Rodzice Bad Bunny'ego – naprawdę nazywa się Benito Antonio Martínez Ocasio, pseudonim Zły Króliczek zaczerpnął z wielkanocnego zdjęcia z dzieciństwa, do którego z gniewną miną pozuje ▶

eprasa.pl 99f292badc

▶ przymusowo przebrany za królika – byli tzw. zwykłymi ludźmi. Jego ojciec jeździł ciężarówką, matka uczyła w szkole.

Młody Benito z jednej strony śpiewał w kościelnym chórze, z drugiej zasłuchiwał w płytach CD z portorykańskimi pionierami reggaetonu – wymyślonej na wyspie mieszanki reggae i hip-hopu. W rodzinnym domu zaś ciągle pobrzmiewały salsa, merengue i latynoskie ballady. Odbiło się to później na jego twórczości, która łączy współczesny reggaeton, hip-hop i pop z regionalnymi tradycjami. W jego tekstach zaczepne, często wulgarne monologi (w Dominikanie zakazano odtwarzania kilku jego piosenek w radiu) przeplatają się z humorem, nawoływaniami do tolerancji (w jednym z teledysków wystąpił w roli drag queen) i patetycznymi miłosnymi wyznaniami.



Wspólny występ ikon hiszpańskojęzycznej fali Rosalii i Bad Bunny'ego podczas „Saturday Night Live"

Król i królowa

Młody Benito początkowo chciał być radiowcem, poszedł na studia z komunikacji audiowizualnej na Uniwersytecie Portoryko w Arecibo. Ostatecznie je rzucił, by skupić się na tworzeniu muzyki. Jak miliony innych początkujących, publikował ją w serwisie SoundCloud, ale jako jeden z nielicznych zdołał zwrócić uwagę odpowiedniej osoby. Miał 22 lata, gdy jego nowy utwór „Diles" zauważył wpływowy portorykański producent DJ Luian, który właśnie założył własną wytwórnię. I tak Bad Bunny podpisał swój pierwszy kontrakt, wydał pierwszy oficjalny singiel, wkrótce pojawiły się pierwsze wspólne nagrania z innymi wschodzącymi gwiazdami muzyki latynoskiej, takimi jak kolumbijska artystka Karol G, a później z tuzami amerykańskiego popu – jak Cardi B czy Drake.

Ten ostatni porzucił nawet na tę okazję język angielski na rzecz hiszpańskiego. Podobnie zrobił w tym samym czasie Justin Bieber, gdy inny portorykański gwiazdor Luis Fonsi zaprosił go do nagrania odświeżonej wersji hitu „Despacito" (skądinąd oryginał pozostaje najpopularniejszym teledyskiem w historii YouTube, dobijając 9 mld odtworzeń). Ta językowa roszada sygnalizowała trwałą zmianę sił na scenie muzycznej. Obecnie latynoskie hity to stały element listy „Billboardu", a w branżowych podsumowaniach Kolumbia czy Portoryko wyprzedzają pod względem wartości eksportu muzycznego nawet Wielką Brytanię.

Świat hiszpańskojęzyczny nie ogranicza się jednak do Latynosów. Po drugiej stronie Atlantyku na stadionowe poziomy wybiła się katalońska piosenkarka i producentka Rosalía. Ostatni album rówieśniczki Bad Bunny'ego zatytułowany „Lux", na którym pop inspirowany tradycją flamenco połączyła z muzyką poważną i religijnym mistycyzmem, był najszerzej dyskutowanym i najwyżej ocenianym przez krytyków albumem ubiegłego roku. Bił też streamingowe rekordy: użytkownicy Spotify w ciągu pierwszej doby odtworzyli go 42 mln razy, najwięcej w historii hiszpańskojęzycznych wykonawców. Choć zaznaczmy, że na tej płycie Rosalía śpiewa w kilkunastu językach, przez chwilę także po angielsku.

Pięć lat temu Bad Bunny i Rosalía wystąpili wspólnie w „Saturday Night Live". Wystylizowani na biało, kończąc wykonanie na granicy pocałunku, już wtedy wyglądali jak król i królowa tej hiszpańskojęzycznej fali. W połowie marca Rosalía też ruszy w trasę koncertową, którą po blisko 60 występach w Europie i obu Amerykach zakończy we wrześniu w... stolicy Portoryko.

Czas karnawału

„To po prostu zbyt daleko. Wybrałbym się, gdyby było trochę bliżej" – tak Donald Trump odpowiedział na pytanie o to, czy wybiera się na Super Bowl. Impreza odbędzie się na stadionie w San Francisco, rzeczywiście musiałby przelecieć cały kontynent. Choć przecież niemal nie wysiada z Air Force One, poza tym rok temu dystans mu nie przeszkadzał – był pierwszym prezydentem USA, który oglądał na miejscu Super Bowl (ze wspomnianym Kendrickiem Lamarem w roli gwiazdy). Powszechnie uznano więc, że nie ma ochoty oglądać Bad Bunny'ego, z którego NFL nie zgodziło się zrezygnować mimo presji ze strony prawicowych polityków i mediów, a także petycji podpisanej przez 120 tys. osób (jeszcze więcej, bo ponad 160 tys. podpisało apel przeciw obecności agentów ICE na Super Bowl). „Nie pamiętam, abyśmy kiedykolwiek wybrali artystę, który nie spotkał się z krytyką. To dosyć trudne, gdy masz dosłownie setki milionów widzów. Bad Bunny jest jednym z najpopularniejszych wykonawców na świecie" – bronił decyzji szef NFL. Warto dodać, że otwarcie wieczoru liga powierzyła grupie Green Day, która tak jak Portorykańczyk również kibicowała Kamali Harris.

W samym Portoryko trwa tymczasem karnawał. – *Do zwolenników Bad Bunny'ego dołączyły osoby zazwyczaj obojętne wobec popkultury, widząc tak niewiarygodny sukces kogoś stąd* – mówi Alfredo Richner. – *Nastroje są entuzjastyczne. I chociaż przy okazji Super Bowl na pewno wyleje się na nas sporo rasistowskiego syfu, to w nas ten występ wleje jeszcze więcej dumy.*

Już dziś dumą napawa statuetka Grammy za album roku – pierwsza w historii przyznana za płytę hiszpańskojęzyczną właśnie Bad Bunny'emu. Odbierając ją 1 lutego, wołał: „ICE, wynocha!".

MARIUSZ HERMA

© WILL HEATH/NBC/GETTY IMAGES

eprasa.pl 99f292badc



Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna Kuby Wojewódzkiego

Pudelek donosi: „Były ukochany Dody zrobił sobie nowe zęby w barterze u dentysty skonfliktowanego z Chajzerem". W tej informacji jest tyle zła, że powinien ją zekranizować Smarzowski.

●

Ryszard Czarnecki, parlamentarny mistrz Europy w kilometrówkach, dostał program w telewizji wPolsce24, gdzie będzie rozmawiał z politykami. Zgodnie ze swoim hasłem: „Wszędzie dobrze, ale wszędzie najlepiej".

●

Plotek dogania Pudelka: „Trzecia żona Schreibera wbiła szpilę drugiej żonie polityka PiS. Padły słowa o patologii". Tak już bywa w literaturze. Gdy mamy zbyt dużo bohaterów, brakuje miejsca na fabułę.

●

Książulo ocenił kuchnię w najdroższym polskim hotelu, czyli Raffles Europejski Warszawa. Barszcz za 54 zł był kwaśny, a żurek za 65 zł – skwaśniały. Szok. Beyoncé już nigdy się tam nie zatrzyma.

Profil satyryczny Make Life Harder zebrał na konto 34. finału WOŚP 2 713 790 zł. Pamiętam, jak kolega w szkole napisał: „Wokulski wziął interes w swoje silne ręce i potroił jego obroty".

●

Program Tomasza Kammela pod błyskotliwym tytułem „Telekammela" zakończył swój żywot w Kanale Zero. Oglądając go, można było zapaść na chorobę lokomocyjną. Tomasz tak szybko zmieniał poglądy.

●

„Obchody 760-lecia miasta Koszalin poprowadzi Marcin Prokop za kwotę 24 600 brutto" – podaje portal „Koszalin mnie kręci na okrągło". Tanio. To wychodzi po 32 zł za rok.

●

Blanka Lipińska dosadnie o braku potomstwa: „Nie rozumiem, po co to komu". Zaryzykuję teraz komentarz w stylu serwisów plotkarskich: Wszystko wskazuje na to, że jej rodzice myśleli inaczej.



Sandra Kubicka wyznała, że zamyka swój warszawski lokal Sandra's Matcha. „Hejterzy wygrali" – komentuje. Sukces ma wiele twarzy. Lotnisko w Radomiu ma na przykład najmniejszy ślad węglowy na świecie.

Robert Lewandowski zamówił w polskiej stoczni Sunreef Yachts 24-metrowy katamaran za 33 mln zł. Symboliczne. Niejaki Noe też zainwestował w spory statek, jak miał przecieki z góry.

●

Z ramówki wPolsce24 zniknął program Samuela Pereiry pod tytułem „Piątka Pereiry". Tym samym autor dogonił skutecznością Piątkę Kaczyńskiego i zmierza w kierunku Piątki z Cambridge.

●

W marcu do księgarń trafi książka doktor nauk społecznych Pauliny Smaszcz „Jak kochać i pracować, by nie zwariować?". Nareszcie. Katarzyna Cichopek zasłużenie doczekała się swojego ghostwritera.

●

Krzysztof Skiba w uderzeniu publicystycznym o Karolu Nawrockim: „Na co dzień suszy zęby w uśmiechu osoby lekko upośledzonej". Kiedyś uważałem, że stronie liberalnej brakuje Bąkiewiczów. Teraz już nie.

●

Marcin Hakiel żałuje ślubu z Katarzyną Cichopek: „To nie były decyzje podjęte przez nas". Dalej wyznaje, że nadużywał alkoholu. Nie od dziś wiadomo, że Sobieski potrafi szarżować i zmieniać historię.

●

Wydarzeniem minionego tygodnia była nowa fryzura Daniela Martyniuka. Publicystom, którzy do tego dotarli, gratuluję. Każdy ma prawo do głupoty, ale niektórzy nadużywają tego przywileju.

●

„Syn Bachledy-Curuś nie umie polskiego" – to serwis plotkarski gazeta.pl. Zapytałem językoznawcę, co sądzi o tym zdaniu. Odpowiedź była krótka: „Autor nie potrafi posługiwać się językiem polskim".

© VIPHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 99f292badc

Klapa Melanii

Film trwa 104 minuty. Jest najnudniejszą i najdroższą autoreklamą w historii kina. Wbrew intencjom pierwszej damy USA „Melania" stała się przedmiotem szyderstw.



PAULINA WILK

Na oficjalnej premierze, która odbyła się w Trump Kennedy Centre w Waszyngtonie (do niedawna renomowanym centrum kultury, z którego teraz uciekają sławy takie jak Philip Glass), Melania Trump powiedziała do 1,6 tys. zgromadzonych urzędników administracji i popleczników prezydenta (recenzentów nie zaproszono): „Niektórzy nazywają ten film dokumentem. Ale on nim nie jest. To twórcze doświadczenie, które zapewnia wgląd, perspektywy i momenty". Sala wybuchła owacją. Cokolwiek prezydentowa miała na myśli, nie pomyliła się w jednym: to nie jest dokument.

Film „Melania", sfinansowany przez należący do Jeffa Bezosa koncern Amazon MGM i wyreżyserowany przez Bretta Ratnera, wyklętego z Hollywood przed dekadą na skutek oskarżeń o gwałt i molestowanie (i jednego z bohaterów nowego pakietu akt Epsteina), nie stanowi faktycznego zapisu z życia, pracy ani codzienności pierwszej damy tuż przed ponowną inauguracją jej męża. Jest – od pierwszej sceny, w której jej noga w bucie na wysokiej szpilce wysuwa się z rządowego samochodu i staje na płycie lotniska, aż do sceny ostatniej, w której ta sama noga w innym bucie na równie wysokiej szpilce znika za zamykającymi się drzwiami prezydenckiego SUV-a – niemiłosiernie dłużącym się spotem autopromocyjnym. Zabrakło tu prawdziwych specjalistów od wizerunku i reklamy, pani Trump zaufała swojej intuicji. Obraz wyprodukowany (w każdym detalu kontrolowany i autoryzowany) przez bohaterkę i będący „jej artystyczną wizją" składa się więc z wystudiowanych póz, reżyserowanych dialogów z innymi pierwszymi damami, licznych scen ukazujących, jak przechadza się korytarzami lub schodami, wsiada do windy lub z niej wysiada, kroczy tuż przed kamerą z idealnie rozłożonymi na ramionach włosami.

Wyzute z emocji i autentyczności kadry są okraszone narracją wygłaszaną przez pierwszą damę. Jej głos jest wystudiowany i robotyczny. Melania, która urodziła się w 1970 r. w Jugosławii, na terenie dzisiejszej Słowenii, mówi kiepską angielszczyzną z twardym akcentem, którego nie złagodziło 30 lat życia w USA. A przekaz najeżony jest komunałami o jej uwielbieniu dla rzemiosła modowego i dążeniu do perfekcji w każdym aspekcie życia.

Opowieść Melanii, dawnej modelki, która już po roku rzuciła Uniwersytet w Lublanie i przez Mediolan oraz Paryż dostała się na wybiegi w Nowym Jorku, gdzie w 1998 r. na przyjęciu poznała żonatego Donalda Trumpa, przypomina pełne okrągłych banałów życzenia dla świata, wygłaszane przez finalistki konkursów Miss Universe. I odsłania taką rażąco infantylną wizję roli pierwszej damy USA w czasach poważnego wewnątrzpaństwowego kryzysu i rozchwiania ładu międzynarodowego. Zamknięta w luksusowej wieży Melania Trump chce tylko dobrze wyglądać. I dla tego efektu potrafi, co pokazuje na ekranie, z nieustępliwą determinacją żądać od krawców zwężenia kołnierzyka bluzki oraz dopasowania płaszcza w talii.

Jeśli jest choć trochę taka jak jej film, to znaczy, że panicznie boi się spontanicznych gestów. A także kontaktu z ludźmi (w scenach z inauguracji nie rozmawia z nikim, na bankietach i balach głównie ze swoimi podwładnymi, na spotkaniu z ochroną z wyraźnym niepokojem dopytuje o bezpieczeństwo wysiadania z samochodu i kontaktu z obywatelami). Można domniemywać, że chorobliwy perfekcjonizm to część strategii mającej chronić ją przed krytyką, atakami, ośmieszeniem, na które – o ironio – sama się właśnie wystawiła. Otrzymujemy najdłuższą w dziejach kina (film jest od piątku emitowany w 1,7 tys. salach w USA i podobnej liczbie kin w ponad 20 krajach na świecie) autoreklamę utrzymaną w konwencji lifestylowej, ukazującą życie Melanii Trump jako próbę stania się luksusową marką.

Ten smutny nibydokument zrealizowano za 75 mln dol. Tyle Bezos zapłacił za prawa do filmu oraz jego promocję, godną hollywoodzkiego przeboju, którym „Melania" się nie stanie. Sprzedaże biletów na weekend

© JOEY SUSSMAN/ZUMA PRESS/FORUM

eprasa.pl 99f292badc

otwarcia były znikome nawet w USA. Najprzychylniejsze szacunki wskazywały, że w ciągu pierwszych dni zarobi 5 mln dol. W ramach wysiłków promocyjnych pani Trump zrobiła wyjątek od milczenia i udzieliła wywiadu telewizji Fox (gdzie twierdziła m.in., że pracuje nad niesprecyzowanymi aktami prawnymi, a dwie ofiary śmiertelne interwencji oficerów ICE w Minneapolis skwitowała apelem do protestujących, by pamiętali o potrzebie jedności). Otworzyła też poranną sesję nowojorskiej giełdy. Gdy biła w dzwon, nie towarzyszył jej entuzjazm maklerów, a kamery uchwyciły niefortunne próby pobudzania klaki. Prawda jest bolesna – tłumy nie kochają Melanii ani się nią nie interesują.

Ale nie to się liczy. Aż 28 mln dol. z rekordowego budżetu filmu powędrowało wprost do kieszeni pierwszej damy przez nowo utworzoną firmę produkcyjną Muse Films. I jest to tylko jedna z bulwersujących opinię publiczną okoliczności towarzyszących premierze. Amerykańscy komicy i publicyści nazywają kwotę, jaką zapłacił Bezos, obsceniczną łapówką i jawnym wkupywaniem się w łaski Trumpa. Według „New York Timesa" w ciągu pierwszego roku drugiej prezydentury Trump wzbogacił się o ponad 1,4 mld dol. On i jego rodzina wykorzystują pozycję do bezprecedensowego powiększania prywatnych majątków. Poza rekordową kwotą za licencję na film są np. ugody sądowe, jakie Trump zawarł po inauguracji w 2024 r. z koncernami medialnymi – przyniosły mu ponad 90 mln dol.; władze Kataru sprezentowały mu wart 400 mln dol. odrzutowiec, którego używa jako Air Force One i który ma zatrzymać po kadencji. Rodzina Trumpów dobrze zarabia też na kryptowalutach.

Jest więc ekranowa Melania w wyłożonym złotem i wypchanym dziełami sztuki apartamencie w Trump Tower (gdzie wedle wiarygodnych ustaleń mieszka, nie przeniosła się do Białego Domu), oglądająca na wielkim telewizorze pustoszone powodziami i cyklonami stany. Nieskazitelnie umalowana, kręci strapioną głową. I są przeciętni Amerykanie z coraz chudszymi portfelami, którym prawdziwe tornada i ekonomiczne zawirowania zrywają dachy znad głów. Nawet w środowisku MAGA nie ma wielu entuzjastów pierwszej damy. Bo Trumpa do władzy dwukrotnie wynieśli wyborcy nastawieni antyelitarnie, a trudniej o bardziej rażący przykład odseparowania niż prezydentowa, unosząca się nad wszystkim w szpilkach od Christiana Louboutina, z wystudiowanym i niezwykle rzadkim uśmiechem. Stara się, by był zagadkowy jak u Sfinksa, ale w jej własnym filmie widać, jak trudno jej utrzymać tę minę. Usta same opadają w martwą maskę.

Jest w „Melanii" budząca absmak scena, która obnaża dobrowolną samotność i izolację prezydentowej. Chcąc upamiętnić rocznicę śmierci swej matki (krawcowej z Novego Mesta, gdzie urodziła się Melania Knavs, później Knauss, a dziś Trump), pierwsza dama postanawia pomodlić się w nowojorskiej Katedrze św. Patryka. Z tego powodu kilka przecznic zostaje zamkniętych, wierni przepłoszeni, proboszcz staje na baczność w progu, a my oglądamy Melanię przechadzającą się przez imponujący kościół i zapalającą świeczkę. W tle tych żmudnych i nudnych ujęć rozbrzmiewa XVIII-wieczny hymn „Amazing Grace" w gospelowym wykonaniu Arethy Franklin. Tej samej, która przyjaźniła się z pastorem Kingiem i śpiewała podczas inauguracji Baracka Obamy. I która na wieść o zastrzelonych przez funkcjonariuszy ICE w Minneapolis protestujących z pewnością przewraca się w trumnie, w której kazała się pochować w karmazynowych szpilkach. Dokładnie tyle – zamiłowanie do butów Louboutina – miały z Melanią wspólnego.

Włączenie do ścieżki dźwiękowej „Melanii" legendarnej dla ruchu praw obywatelskich pieśni w wykonaniu czarnoskórej ikony razi niestosownością. Pani Trump, katoliczka i imigrantka, pierwsza naturalizowana obywatelka USA w roli pierwszej damy, stanowi dziś żywe zaprzeczenie demokratycznych ideałów Ameryki, równej dla wszystkich, którzy szukają w niej swego snu.

Ani pani Trump, ani mężowi nie przyszło jednak na myśl, by przesunąć w czasie zorganizowaną z pompą premierę filmu, mimo że sondaże poparcia lecą w dół, a nastroje są fatalne po zastrzeleniu Alexa Prettiego i Renée Good przez agentów ICE. Bruce Springsteen nagrał protest song „Streets of Minneapolis", by pomóc wyrażać palące emocje: rozpacz, rozczarowanie, zapaść zaufania obywateli do państwa. Tymczasem bal u Trumpów trwa w najlepsze. Na prywatnym pokazie w Białym Domu były czarno-białe makaroniki i popcorn w czarnych pudełkach, a także specjalnie oprawione na pamiątkę bilety. Szefowie departamentów wraz z małżonkami grzecznie pozowali na ściance z wielkim napisem MELANIA nadrukowanym minimalistyczną czcionką na bielutkim tle, niczym nazwa perfum.

Kontrast między narcyzmem Trumpów a depresją wielu Amerykanów dobrze oddaje akcja kolektywu aktywistów Indecline w Los Angeles. Tuż przed premierą zniszczone zostały reklamy filmu „Melania" na autobusach i przystankach. Rozbitym wizerunkom prezydentowej domalowywano wąsik, przyrównując ją do partnerki Hitlera Evy Braun. Zbliżonego argumentu użył krytyk brytyjskiego „The Guardian", który w recenzji tuż po premierze porównał „Melanię" do współtworzonego przez polskich filmowców nagradzanego obrazu „Strefa interesów", który ukazywał żonę Rudolfa Hössa, komendanta KL Auschwitz, skupioną na wygodach życia codziennego, gdy tuż za murem jej ogrodu trwała rzeź. Demokratyczna kongresmenka Alexandria Ocasio-Cortez, krytykując w serwisie X datę premiery, posłużyła się określeniem „unfit", które sugeruje nie tylko oderwanie prezydenta od nastrojów społecznych, ale też jego niezdolność do pełnienia funkcji, co mogłoby stanowić przyczynę odwołania z urzędu.

W jednej ze scen Melania miała szansę być kobietą z krwi i kości. Wracają z Trumpem po 20 godzinach inauguracyjnych uroczystości. Ona w białej sukni z czarną taśmą, mającej później wylądować w kolekcji The Smithsonian, on w smokingu. Ona przysiada na kanapie w hallu i aż się prosi, żeby zdjęła szpilki, roztarła umęczone stopy i skrzywiła się na chwilę z bólu. Owszem, zdejmuje je, ale bez mrugnięcia powieką mówi, że nie czuje zmęczenia. Melania, córka robotniczej rodziny z Jugosławii, pozostaje skryta pod warstwą lodu. Jej bezduszny, odpychający autoportret wionie pustką. Może kiedyś zastąpi go uczciwy, wnikliwy dokument. Powinien, bo pani Trump jest adekwatną ikoną epoki autostylizacji i ultrakonsumpcji, kiedy sprzedajemy własne życie w cyzelowanych odcinkach na platformach społecznościowych, pracując tym samym na rzecz wielkich fortun, których właścicieli zaprosiła na premierę oraz na makaroniki. ■

eprasa.pl 99f292badc

FELIETON

Koziołek



Między nami, zwierzętami

Zauważył pan, że dzieci nie bawią się już w wojnę? – zagadnęła mnie sąsiadka pod zardzewiałym trzepakiem.

– Chyba w ogóle mało się bawią poza domem. A że nie w wojnę, w ogóle mnie nie martwi. To jedna z najgłupszych zabaw, które uwielbiałem jako dziecko. Poza tym gdybym miał gry, gdzie strzela się czołgiem albo samolotem, też by mnie pani na podwórku nie zobaczyła.

– Tylko niech mi pan nie mówi, że świat się nie zmienia, a ludzie są zawsze tacy sami – odparła ironicznie. – Zabawa jest lepsza niż wojna w komputerze, bo się strzela na niby do kolegi, który udaje wroga, a zabity też jest tylko na chwilę. To wiele uczy o prawdziwej wojnie – wyjaśniała jak dziecku.

– Chce mi pani powiedzieć, że najlepszym sposobem wychowania pacyfisty jest kupowanie mu zabawek militarnych? – upierałem się w niezgodzie. Ale sąsiadka nic więcej nie chciała mi już powiedzieć i wyszła przez furtkę przy śmietniku.

Nie mogę uwierzyć, że w XXI w. w Europie akceptuje się cyniczną tezę Carla von Clausewitza, że „wojna jest jedynie kontynuacją polityki innymi środkami". Nikt nawet nie stara się rozważyć myśli, że wojna jest utraconą alternatywą polityki; złożeniem jej najważniejszej bezkrwawej broni, czyli dyplomacji. Paweł Włodkowic i Stanisław ze Skarbimierza – nasi ideolodzy wojny sprawiedliwej – przewracają się w grobach, słysząc przywódców wolnego świata, którzy uznają siłę militarną za najważniejszy i bezkonkurencyjny oręż pokoju na świecie. Cóż się dziwić, że nawet najeźdźca nie stara się ideowo uzasadnić swojej agresji?

> Darwinizm doskonale tłumaczył dziki kapitalizm, a wkrótce uzasadni triumf inteligencji sztucznej nad naturalną.

Choć nie. Uzasadnienie jest, ale tak wstrząsające, że zapiera dech. Ilustruje je stara bajka o wężu, który ukąsił kobietę, choć ta wcześniej uratowała mu życie. – Dlaczego to zrobiłeś? – pyta, umierając. – Bo jestem wężem – odpowiada wąż. Jeśli taka odpowiedź nam wystarczy dla wytłumaczenia najazdu na Ukrainę i wszelkich innych aktów agresji na cudze ziemie, to znaczy, że obserwujemy triumfalny powrót darwinizmu politycznego.

Kiedy Karol Darwin wyruszał w 1831 r. w podróż na statku „Beagle", nie mógł zrozumieć, dlaczego życie na Ziemi jest tak różnorodne, choć prawdopodobnie pochodzi z jednego skromnego prototypu, który pomnożył się w setki milionów zróżnicowanych odmian. Nie pojmował, co za siła i jaki mechanizm powodują tę pracę różnicowania się gatunków. Obserwacje przyrody tropikalnej utwierdziły go w założeniach, ale przełomowe dla teorii ewolucji okazało się dziełko pewnego księdza, a mianowicie „Prawo ludności" Thomasa Malthusa. Darwina zaintrygowała teza domorosłego demografa, który „policzył", że liczba ludności rośnie szybciej niż zasoby żywności konieczne do jej przeżycia. W konsekwencji słabsze jednostki muszą zginąć, aby reszta mogła żyć. Stąd też Malthus uważał, że wojny są zbawienne dla losów ludzkości.

Darwinowi lektura Malthusa pozwoliła znaleźć fundament swojej teorii, a jest nim „walka o byt". Pod koniec lat 30. teoria ewolucji była gotowa, ale Darwin zwlekał z publikacją. Podobno nie chciał robić przykrości religijnej żonie i dopiero wieść o tym, że Alfred Wallace wpadł na podobne rozwiązanie, skłoniła go do wydania w 1859 r. książki „O powstawaniu gatunków drogą doboru naturalnego".

Na „Beagle" Darwin miał dwie ważne dla siebie książki: Biblię i „Prawo ludności". Uważna obserwacja natury sprawiła, że stracił wiarę w dobro stworzenia. Nie uznał natury za złą, lecz za amoralną wykonawczynię woli życia przenikającego wszystko, co żyje. Nie ma bowiem niczego osobistego ani okrutnego w zachowaniu dzierzby nabijającej ryjówkę na kolec tarniny. Jego niepokój mógł wynikać z przeczucia, że człowiek spojrzy na swoją historię przez okulary teorii ewolucji i zobaczy to samo: procesy selekcji, adaptacji i dziedziczenia.

Nie musiał długo czekać. W 1864 r. filozof Herbert Spencer stworzył pod jego wpływem swoją najsłynniejszą tezę o „przetrwaniu najsilniejszych". Darwinowi spodobało się to sformułowanie, chociaż nie dotyczy gatunków najsilniejszych w walce o byt, lecz najlepiej przystosowanych do zmian środowiska.

Jak zwał, tak zwał. Darwinizm oryginalny czy spencerowski mówił jasno, że życie przetrwać może siłą albo sposobem. Ten prosty sposób myślenia doskonale tłumaczył w XIX w. dziki kapitalizm i kolonializm, podobnie jak dziś uzasadnia agresję Rosji i dominację big techów. I w niedalekiej przyszłości triumf inteligencji sztucznej nad naturalną. A sprawiedliwość, współczucie, troska o słabszego, solidarność, prawo międzynarodowe? Zanim uznamy je za idealistyczne mrzonki, spróbujmy pomyśleć w darwinowski sposób o polskiej historii. Minęła właśnie 163. rocznica wybuchu powstania styczniowego. Na wieść o nim Joseph Hooker napisał do Darwina: „Uważam, że Polacy są rasą marną, która nie przetrwa walki o byt, chyba że skrzyżują się z jakąś inną, lepszą rasą".

RYSZARD KOZIOŁEK

eprasa.pl 99f292badc



Iterb z Ytterby

Jako nauczyciel chemii przeżywam ostatnio katusze, słysząc co chwila o „metalach ziem rzadkich". Donald Trump, który ewidentnie ma o nich dość blade pojęcie, mówi nawet o „ziemiach surowych" (*raw earth* zamiast *rare earth*). Co chwila więc słyszymy, że do tych ziem należą np. lit albo zgoła grafit oraz że jakiś kraj ma ich unikalne zasoby. Samozwańczy specjaliści „znający się na geopolityce" (czyli tak naprawdę na niczym) wrzucają o nich jeden za drugim filmiki na YouTube. A mi się od tego wszystkiego Librus otwiera w kieszeni. Trudno, napiszę więc felieton o chemii. A więc przede wszystkim proszę państwa o unikanie tego mylącego pojęcia. Mówmy raczej o „surowcach krytycznych", bo rzeczywiście niektóre zasoby, zazwyczaj pierwiastki albo formy występowania pierwiastków, mają dziś kluczowe znaczenie dla gospodarki.

Sami się w to wpędziliśmy, bo dziś chcemy, żeby wszystko było po pierwsze elektroniczne, a po drugie przenośne. Kiedyś, kiedy słuchaliśmy muzyki w salonie z zestawu hi-fi, mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby obudowa sprzętu była wykonana z eleganckiego drewna, a magnesy na głośnikach mogły być żelazne, bo nie miało to dla nas aż tak dużego znaczenia, że wszystko jest przez to cięższe o parędziesiąt deko. Przy przeprowadzce i tak najwięcej ważyły płyty (nie mówiąc już o papierowych książkach). Teraz chcemy muzyki słuchać z czegoś, co nie obciąży nam zanadto kieszeni. I to takiej od letniej koszulki. Co za tym idzie, chcemy, żeby głośniki w słuchawkach miały jak najlżejsze magnesy, obudowa była z najlżejszego materiału, a bateria miała najlepszą gęstość grawimetryczną (przechowywała jak najwięcej prądu w przeliczeniu na wagę).

> Chcemy, żeby wszystko było elektroniczne i przenośne. Jesteśmy więc skazani na najlepsze pierwiastki we wszechświecie.

W praktyce oznacza to, że jesteśmy skazani na używanie najlepszego pierwiastka we wszechświecie. Lekka i pojemna bateria musi być wykonana z litu. Lekki i silny magnes z neodymu, lekka i wytrzymała obudowa z aluminium itd. Zamienniki istnieją, ale zazwyczaj będą cięższe lub gorsze – albo jedno i drugie. Na przykład w samochodach spalinowych nadal używamy akumulatorów ołowiowych, ale elektryczne wymagają baterii litowej, bo są dziesięć razy lżejsze (a typowy samochód elektryczny to jedna wielka bateria, poupychana w różne zakamarki).

W tej grupie wiele pierwiastków nie ma jednak kompletnie nic wspólnego z „ziemiami rzadkimi". To np. lit albo aluminium. Sama nazwa jest historyczna i wprowadza w błąd, we współczesnej chemii się jej nie używa. Jeśli czyta to jakiś licealista z biolchemu, niech natychmiast zapomni to pojęcie, bo używanie niepoprawnej terminologii kosztuje dużo punktów na maturze.

Poprawnie nazywa się je w większości lantanowcami. Dwa pierwiastki zaliczane są do tej grupy honorowo, bo mają podobne właściwości – to itr i skand. Co ważne, wcale nie są takie rzadkie – byle miedź czy złoto, też skądinąd surowce krytyczne, są rzadsze od wielu z nich (a słowo „ziemia" to anachronizm oznaczający, że się rozpuszczają w kwasach mineralnych). Większość z nich odkryto w Skandynawii, w czym duże zasługi miał fiński chemik Johann Gadolin, na którego cześć nazwano jeden z nich. Aż dziewięć pierwiastków ziem rzadkich odkryto w pobliżu wioski Ytterby na archipelagu sztokholmskim. Cztery nazwano na jej cześć (itr, terb, erb i iterb). Skand nazwano na cześć Skandynawii jako takiej, podobnie jak tul (od Ultima Thule).

Dlaczego więc w Ytterby nie ma kopalni iterbu? W zasadzie kiedyś była (te pierwiastki odkryto w wydobywanych tam minerałach), ale dawno już ją zamknięto i przekształcono w atrakcję turystyczną. W Skandynawii nie wydobywa się skandu nie dlatego, że go tam nie ma, tylko dlatego, że typowy proces wyodrębniania lantanowców to ługowanie minerałów siarczanem amonu. Sam z siebie nie jest bardzo toksyczny, ale żeby otrzymać finalny produkt, trzeba się go pozbyć. Uboczne skutki to skażenie gleby i kwaśny deszcz z kwasem siarkowym.

Wyborcy w Sztokholmie nie zgodzą się więc na produkcję holmu, ale z kolei wyborcy w Pekinie nie mają nic do gadania w sprawie produkcji gadolinu (proszę mi wybaczyć tego suchara, chemicy też cierpią na „syndrom profesora Pimki"). 40 lat temu Stany Zjednoczone były czołowym światowym producentem „metali ziem rzadkich", Chiny wysunęły się na pierwsze miejsce nie dzięki jakimś nowym odkryciom, lecz dlatego, że są dyktaturą.

Pamiętajmy o tym, czytając, że jakiś kraj ma złoża warte ileś trylionów. Zazwyczaj ktoś to sobie wyliczył, mnożąc szacowaną zawartość przez cenę tony w hurcie. W demokratycznym kraju te złoża mogą być warte okrągłe zero koma zero, bo wyborcy się nie zgodzą na eksploatację. I to nie jest argument za dyktaturą: chcecie, żeby kapał na was kwas siarkowy?

WOJCIECH ORLIŃSKI

PS Miła Czytelniczka uprzejmie zwróciła mi uwagę, że w felietonie „Dobre wieści z kosmosu" pomyliłem dwa programy satelitarne z polskim udziałem (ICEYE i PIAST), które łączyła tylko wspólna rakieta. Z radością to prostuję, bo w takim razie te wiadomości są dwa razy lepsze. Dziękuję!

eprasa.pl 99f292badc

FELIETON

Hartman



Trudna etyka wojny

Kiedyś wojna była jedną z „ludzkich spraw". Dziś jest inaczej, bo wyrosły pokolenia, które jej nie doświadczyły, a wszelkie jej oswajanie jest im obce. Również dla mnie wojna jest czymś skandalicznym, o czym „nie chcę słyszeć". To zrozumiałe, lecz trzeba zdawać sobie sprawę, jakie ryzyko wiąże się z tą nieoczekiwaną naiwnością, owocem długich dekad pokoju.

Bo choć potępiamy wojnę jako taką i chcielibyśmy ją w całości „egzorcyzmować", jakby nie było ważne, po czyjej stronie jest racja, to przecież taki histeryczny gest nie służy sprawiedliwej i racjonalnej ocenie żadnego konfliktu. Właściwie oprócz filozofów zajmujących się etyką wojny i prawników usiłujących ograniczać najgorsze ekscesy nikt publicznie nie dokonuje etycznych ocen wojny. Wszystko sprowadza się do potępienia zabijania cywilów z ewentualną przymieszką czci dla tych, którzy wojują brawurowo i w słusznej sprawie, będąc z tego tytułu tzw. bohaterami wojennymi.

Nie da się w kilku słowach opowiedzieć, czym jest dyscyplina akademicka zwana etyką wojny, lecz można wskazać na kilka punktów, w których rozmija się z masową wyobraźnią, potoczną wrażliwością i wynikającą z tego publicystyczną i oficjalną retoryką. Zaiste etyka wojny to osobliwa dziedzina oparta na oburzającym założeniu, że będziemy oceniać masowych zabójców (bo na tym polega prowadzenie wojny, również tej całkowicie obronnej i sprawiedliwej), mając na uwadze, kto z nich zasługuje na pochwałę z racji tego, że miarkuje się w zabijaniu i ma bardziej zasługujące na wyrozumiałość powody, aby zabijać. O to chodzi w etyce wojny: kto jest mniejszym zbrodniarzem.

> Na lepszą ocenę moralną zasługują ci, którzy są bardziej ofiarami niż agresorami, bardziej unikają okrucieństwa.

Albowiem nie ma wojny bez zbrodni – każdy, kto prowadzi wojnę, popełnia zbrodnie, łącznie z bohaterami stającymi na cokołach z powodu swych zabójczych dokonań. Nigdy bowiem nie jest tak, że zabiło się najmniejszą możliwą liczbę wrogów, a w szczególności nigdy nie jest tak, że możemy to dokładnie ustalić i wiedzieć, co by było, gdyby przyjąć inną strategię i taktykę walki. Czyli bohaterowie (prawdziwi) są (prawdziwymi) zbrodniarzami? Na to wychodzi.

Idźmy dalej. Otóż nie jest prawdą, że większą rację ma ten, kto się broni. Ani że większą rację ma ten, kto jest słabszy i mniej zabija. Można być napadniętym, słabym i niewielu najeźdźców zabijać, ale przegrywać w sensie moralnym, bo dało się więcej powodów do wojny, a przy tym walczy się dziko i okrutnie. Zwykle jest na odwrót, lecz nie ma tu prostej zasady i prostego kryterium.

Wbrew potocznym wyobrażeniom wcale też nie jest tak, że uzbrojonego wroga „wolno zabijać", a bezbronnego cywila „nie wolno". Nikogo nie wolno zabijać. Nie chodzi o wartościowanie ludzi. Bardziej już o winę, lecz też nie do końca. Żołnierz z bronią w ręku, owszem, trochę „sam sobie jest winien" i zabicie go obciąża zabójcę winą o wiele mniejszą niż śmierć cywila, lecz bynajmniej nie jest to sytuacja „zerojedynkowa". Wojenne winy są stopniowalne, bardzo zależne od tego, kto generalnie w tej wojnie ma więcej racji, lecz przede wszystkim... są czymś drugorzędnym. Każdy normalny człowiek popiera swoją stronę – czy jest żołnierzem, czy cywilem, a nawet jak nie popiera, to nie bardzo ma wyjście. Nikt nas o zdanie nie pyta, gdy biorą nas w kamasze. Niestety również osoba podejmująca się oceny danego konfliktu nie może być (i nie powinna być!) bezstronna.

Wojna jest ciągiem zbrodni i prawie nikogo nie pozostawia bez winy. Co nie znaczy, że nikt nie zasługuje na pochwałę. Na lepszą ocenę moralną zasługują ci, którzy są bardziej ofiarami niż agresorami, bardziej unikają okrucieństwa, z większą determinacją zwalczają zbrodniarzy we własnych szeregach, starają się ograniczać teatr wojenny, zabijać mniej cywilów i żołnierzy, lepiej chronią własne wojsko przed stratami, a także podejmują starania, aby zawrzeć pokój oparty na kompromisie. Takie są kryteria sensowej i miarodajnej oceny.

Takim kryterium nie jest natomiast np. liczba ofiar wojny. Nic nie wynika z tego, że zginęło „tylko" albo „aż" sto tysięcy ludzi. Niewiele można też wywnioskować z tego, z czyjej ręki zginęli. Te dane mają wielkie znaczenie, lecz wyłącznie w powiązaniu z wieloma innymi danymi, takimi jak proporcja między zabitymi żołnierzami i cywilami, symulacje liczby ofiar (w szeregach wroga i we własnych) w przypadku alternatywnych strategii, porównanie z innymi, lecz podobnymi konfliktami, a także ocena zachowania strony ponoszącej większe straty.

Nie da się być w ocenie moralnej „poza konfliktem". Wojna to nie bójka przedszkolaków. To tragedia, w której współczucie należy się również tym, którzy bardziej są sprawcami. A każdy, kto ocenia wojnę, musi co najmniej przychylać się ku jednej ze stron i ów wybór jest sam w sobie kluczowym czynnikiem dalszych ocen. Francuzi i Niemcy, oceniając „wielką wojnę", do dziś się różnią. Nawet jeśli są etykami. Dobrze, że chociaż jedno nas łączy: wojna jest katastrofą człowieczeństwa.

JAN HARTMAN

eprasa.pl 99f292badc

Chutnik Plebanek



Niesłusznie wyręczeni

Telefony wiedzą lepiej, co chcemy napisać. Kiedy Grażyna zakończyła esemesa do Sylwii radosnym „pif-paf!", korekta tekstu posłała zamiast tego: „PIT pat". Przypomnienie o podatkach i konsekwencjach niewypełnienia formularza na czas zmieniło nastrój na minorowy. Rozmach funkcji autokorekty może wywołać nie tylko poważny kryzys towarzyski czy rodzinny, ale też zaważyć na karierze. Niejeden się przejechał, wysyłając do szefa „rozwiązanie najseksowniejsze", gdy chodziło o „najsensowniejsze". Bycie „debilem" zamiast „debiutantem" wcale tego nie tłumaczy. Klasykiem jest już wysłanie wiadomości: „Łaski mi nie robisz" pozbawionej kreseczki w pierwszej literze.

Funkcję podpowiedzi można w telefonie wyłączyć, ale się z tym wstrzymujemy. Czymże byłby język bez brawury? Inna sprawa, że proceder poprawiania staje się w pewnym momencie opresyjny. Pomaganie wbrew woli nie tylko źle wpływa na samoocenę, ale i odnawia szkolną traumę („Nie mówi się robiom, tylko robią!"). Pozbawia możliwości nazywania świata tak, jak chcemy, co pachnie zamachem na wolność wypowiedzi.

Rynek idzie ręka w rękę z gigantami technologii. Próba kupna kalendarza na 2026 r. w brukselskich papiernikach była szukaniem igły w stogu siana. Na wieść, że nie chodzi o taki na ścianę, z obrazkiem, tylko o ten do odręcznych zapisków, sprzedawcy wybałuszali oczy. Wiało ejdżyzmem („Teraz wszyscy zapisują w telefonach") i wtórnym analfabetyzmem („To ktoś jeszcze pisze? Przecież są głosówki").

> Podczas ręcznego pisania mózg pracuje wolniej, ale głębiej. To jak wchodzenie po schodach zamiast przejażdżki windą.

Odchodzi świat dotyku i zapachu, zastępuje go chłód gładkiego ekranu. Pod koniec stycznia obchodziliśmy Dzień Pisania Ręcznego, warto więc przypomnieć zalety tej archaicznej czynności. Wbrew pozorom odręczne notowanie to nie tylko sentymentalny relikt szkolnych zeszytów, ale i jedna z najprostszych form higieny psychicznej. Podczas ręcznego pisania mózg pracuje wolniej, ale głębiej. Musi wybrać słowa, zaplanować ruch, skoordynować myśl z gestem. To trochę jak wchodzenie po schodach zamiast przejażdżki windą: zajmie więcej czasu, za to zyskamy na zdrowiu.

Sylwia kaligrafuje piórem z atramentem, Grażyna bazgrze, na czym popadnie, karteczki ma strategicznie porozmieszczane po kieszeniach i torbach. Jest coś uwalniającego w skupieniu się na odręcznych zapiskach, świat na sekundę zwalnia. To trening dla neuronów, a dla dzieci swoisty fundament rozwoju poznawczego. Nie bez powodu terapeuci zachęcają do prowadzenia dzienników. Długopis staje się narzędziem uważności. Pisanie odręczne uczy, że nie wszystko da się cofnąć jednym kliknięciem, a niedoskonałość jest częścią procesu.

Pismo, którym posługujemy się dziś na co dzień, wywodzi się z alfabetu łacińskiego. Ten z kolei narodził się z potrzeby porządkowania rzeczywistości: prawa, handlu, myśli. Na początku litery były kanciaste, dostojne, wykuwane w kamieniu. Z czasem, gdy papier i pergamin zastąpiły marmur, pismo musiało się „rozluźnić". Ręka chciała pisać szybciej, płynniej, wygodniej. Tak rodziły się kolejne odmiany pisma: minuskuły, kursywy, ozdobne zawijasy i proste, praktyczne linie. Wystarczy proste ćwiczenie z kaligrafii, by poczuć, na czym polegała ta zmiana.

Średniowieczni mnisi, pochylając się godzinami nad manuskryptami, nie tylko przepisywali teksty, ale też trenowali cierpliwość i skupienie. Każda litera była aktem uważności. Błąd kosztował czas, czas kosztował wysiłek, a wysiłek uczył pokory. Może dlatego ręczne pisanie do dziś ma w sobie coś z medytacji: rytm, powtarzalność, ciszę. Z biegiem lat pismo stawało się coraz bardziej podobne do współczesnego. Szkoła nauczyła nas konkretnych kształtów liter, ale potem każdy dodał coś od siebie. Charakter pisma zdradza emocje, temperament, stan umysłu. W żadnej czcionce świata nie ma dwóch identycznych „a" zapisanych ręcznie. Ręczne pismo jest naszą wizytówką.

Za każdym razem, gdy sięgamy po długopis, kontynuujemy wielowiekową tradycję zapisywania siebie w świecie. Pisanie odręczne łączy ciało z myślą, teraźniejszość z przeszłością, a piszących – z czymś większym niż oni sami. Kształty liter, którymi dziś zapisujemy listę zakupów czy kreślimy krótką notatkę „oddzwonić", mają tysiące lat historii. Gdy prowadzimy długopis po papierze, nieświadomie wchodzimy w dialog z ludźmi sprzed wieków, ze skrybami, mnichami, urzędnikami, uczniami. W najnowszym dokumencie BBC o życiu Jane Austen widzimy, że jej dłonie są wiecznie uwalane atramentem, całkiem jak nasze poplamione w podstawówce długopisem.

Często próbuje się zawstydzać miłośników odręcznego pisma, wytyka im się, że w czasach wszechobecnych klawiatur stali się reliktami zeszłej epoki. Nic bardziej mylnego. Przekonajmy się o tym sami, zapisując kilka zdań na papierze, zamiast wstukać notatkę w telefonie – choćby listę zakupów czy nieuczesaną refleksję, która nie daje spokoju. Wyślijmy komuś list w papierowej kopercie. Pisanie ręczne to nie tylko technika, ale także dziedzictwo więzi społecznych.

SYLWIA CHUTNIK, GRAŻYNA PLEBANEK

eprasa.pl 99f292badc

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34
POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY
Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU
Mariusz Janicki (*Wiceprezes, Pierwszy Zastępca Redaktora Naczelnego*), Bartek Chaciński (*Zastępca Redaktora Naczelnego*), Katarzyna Białek (*Dyrektor Zarządzający*)

Z-CA REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA
Witold Pawłowski

SEKRETARZ REDAKCJI
Artur Podgórski *tel. 22 451-60-22, 22 451-61-84*

BIURO REKLAMY
tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek *(Dyrektor)*

ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ REDAKCJA PONOSI ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH USTAWY PRAWO PRASOWE

PION WYDAWNICZY
Piotr Zmelonek *(Dyrektor) 22 451-61-85*
PION CYFROWY
Joanna Chmielecka *(Dyrektor) 67 210-86-30*
ADMINISTRACJA
Jadwiga Kucharczyk *(Dyrektor)*

PRENUMERATA PAPIEROWA
www.sklep.polityka.pl
tel. 22 336-75-80
e-mail: prenumerata@polityka.pl

SUBSKRYPCJA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
tel. 22 336-79-16
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

SERWIS INTERNETOWY
www.polityka.pl
REDAKTOR NACZELNA
Aleksandra Żelazińska

PORTAL POPULARNONAUKOWY
projektpulsar.pl
REDAKTOR NACZELNY
Karol Jałochowski

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki: Justyna Sadowska
tel. 22 451-61-50
e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK P/mint leipa passion process technology



© ANNA REZULAK/KFP

Gdzie jest idealne miasto do życia?

W piątek 30 stycznia w Sopocie odbyło się kolejne spotkanie w ramach Salonu POLITYKI. Tym razem punktem wyjścia do dyskusji było pytanie, które od lat powraca w debatach urbanistycznych: czy istnieje „idealne miasto do życia". O swoich doświadczeniach i badaniach w rozmowie z Janem Rojewskim opowiadali reporter Filip Springer oraz architektka Ewelina Jaskulska. Zdaniem zaproszonych gości osiągnięcie urbanistycznego ideału nie jest możliwe. Miasto, które chciałoby się do niego zbliżyć, musi nieustannie balansować między sprzecznymi potrzebami różnych grup mieszkańców oraz interesów instytucjonalnych i ekonomicznych. A projektowanie przestrzeni „wyłącznie dla pieszych" albo „wyłącznie dla rowerzystów" może być równie problematyczne jak bezrefleksyjne podporządkowanie miasta samochodom. Zamiast rewolucyjnych skoków potrzebne są raczej stopniowe zmiany i konsekwentne wdrażanie sprawdzonych rozwiązań. Ewelina Jaskulska zwróciła przy tym uwagę na często pomijany problem wykluczenia młodych dziewczyn z przestrzeni publicznej. Jak wynika z prowadzonych przez nią badań, to właśnie one w najmniejszym stopniu korzystają z ogólnodostępnych miejsc rekreacji, takich jak boiska czy place sportowe.

Persko-irańskie szlaki



Czy Iran czeka rewolucja i ród Pahlawi wróci do władzy? W naszym Pomocniku Historycznym „Dzieje Persów i Iranu" polecamy wędrówkę przez persko-irańskie szlaki, by lepiej zrozumieć, co dzieje się teraz w kraju szachów i ajatollahów. Od 4 lutego wydanie znów można kupić w dobrych punktach sprzedaży prasy. A także na: **sklep.polityka.pl** (w wersji drukowanej, cyfrowej i audio).

GALERIA POLITYKI



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE"

eprasa.pl 99f292badc

To był trudny początek roku. Kolejne przypadki zwierząt zabieranych z patoschronisk i patohodowli sypały się jeden po drugim. Ponad 160 psów z Sobolewa, przeszło 50 psów z Pomorza; kilkanaście wippetów pod Radomiem pozostawionych na mrozie. Ratowane zwierzęta trafiły pod opiekę różnych fundacji – trwają badania, ocena stanu ich zdrowia. Fundacje te mają pod opieką wiele innych zwierząt – w tym i takich uratowanych z miejsc, w których warunki były podobne do tych w Sobolewie. Od dawna szukają domów. Możliwości, by zapewnić im właściwą opiekę, kurczą się wraz z napływem nowych psów. Te poniżej pilnie szukają swojego człowieka.



Winter

Radom, pies w typie charta, 10 miesięcy, 23 kg

Bardzo przyjazna psia osoba, uwielbiająca – jak to charty – bliskie towarzystwo człowieka. Potrzebuje częstego przytulania. Ma piękne, głębokie spojrzenie. Bez problemu dogaduje się z innymi psiakami; może również zamieszkać z kotem. Radzi sobie z chodzeniem na smyczy; zachowuje czystość w domu. Widywany na polach w czasie największych mrozów, z trudem pozwolił się odłowić. Początkowo bał się człowieka; w poprzednim życiu ktoś odrąbał mu ogon. Pod opieką wolontariuszy jego charcia natura wzięła górę. Jest gotowy do adopcji. Kontakt do opiekunów: **stowarzyszenie.pomoc.chartom.pl@gmail.com**



Sami

Płońsk, suczka, 8 lat, 12 kg, zaczipowana, zaszczepiona, wykastrowana

Ma za sobą niełatwe życie. Zabrana z ciemnej piwnicy, w której została zamknięta bez dostępu do jedzenia i wody. Jej organizm ma problemy z wchłanianiem, dlatego dwa razy dziennie przyjmuje leki, to warunek jej zdrowia. Mimo wszystko jest suczką cieszącą się życiem. Jest inteligentna i chętna do nauki. Choć buduje poprawne relacje z psami, potrzebuje przewodnika, dlatego wskazany jest dom bez innych psów. Niestety nie toleruje kotów. Ze starszymi dziećmi się lubi, w przypadku młodszych – nie mamy pewności, jak by się zachowywała. Dobrze znosi jazdę autem. Uwielbia odkrywać nowe miejsca, pięknie pracuje nosem i nie ciągnie na smyczy. Czasem nawet sama wskakuje na ręce, gdy tego potrzebuje. Kontakt do opiekunów: **tel. 515 426 309** (Fundacja dla Szczeniąt Judyta).



Reba

Korabiewice (Mazowsze), suczka, 8 lat, 18 kg

Odebrana w wyniku interwencji w schronisku w Radysach w sierpniu 2020 r., wciąż nie znalazła domu. Jest mądra, wesoła, pomysłowa i sprytna. Wspaniale dogaduje się z innymi psami. Przez swój wygląd – ciemną sierść, brak podobieństwa do konkretnej rasy – jest niezauważalna. Zanim trafiła do Korabiewic, przeżyła piekło. Przez pierwsze miesiące była dzika i nieufna, nie dawała do siebie podejść. Przeszła ogromną zmianę; dzisiaj spaceruje bez smyczy, nadstawia się do głaskania i chce być blisko. Nie poluje i nie goni kotów, świetnie komunikuje się z innymi psami. Jest delikatna. Uwielbia pływać, lubi jeździć samochodem. Wciąż trochę obawia się dużych skupisk ludzkich, nowy dom powinien więc znajdować się w spokojnej okolicy. Kontakt: **tel. 519 615 975** lub **adopcje@viva.org.pl**



Rege

Korabiewice (Mazowsze), pies w typie terriera szorstkowłosego, 8 lat, 25 kg

Kolejny, który przeżył piekło w Radysach. Od pięciu lat nie może znaleźć domu. Lubi kontakt z człowiekiem, z radością domaga się pieszczot. Jest silnym, aktywnym, towarzyskim psem; uwielbia wodę i ruch. Lubi zrównoważone psy, uwielbia spacery. Ładnie chodzi na smyczy, dużo węszy i bacznie obserwuje okolicę. Szuka aktywnego domu, ludzi, którzy lubią spędzać czas na łonie natury. Kontakt: **tel. 519 615 975** lub **adopcje@viva.org.pl**



Posti

Korabiewice (Mazowsze), suczka w typie pinczerka, 10 lat, 6 kg

Najmniejsza w całym schronisku, bardzo źle znosi panujące tam warunki. Bardzo pilnie potrzebuje własnego domu. Jest lękowa, co dla jej nowych opiekunów jest zarówno ważną wskazówką, jak i pewnym wyzwaniem. Nie jest typem psa, który lubi pieszczoty, raczej stroni od dotyku. Boi się obcych osób, ale wobec opiekunów, których zna i którym ufa, jest delikatna i miła. Nie jest agresywna. Dobrze chodzi na smyczy, chętnie wychodzi na spacery, ale najlepiej czuje się w zamkniętych pomieszczeniach. Akceptuje inne psy. Szuka domu, który zaakceptuje jej ograniczenia – najlepiej z miłym psem rezydentem, który stałby się dla niej wsparciem – raczej poza miastem albo w spokojnej okolicy. Kontakt: **tel. 519 615 975** lub **adopcje@viva.org.pl**

Wyrazy ogromnego współczucia
dla **Jacka Kowalczyka**
z powodu śmierci **Mamy**
składają
Przyjaciele z POLITYKI

© STOWARZYSZENIE POMOC CHARTOM, FUNDACJA DLA SZCZENIĄT JUDYTA, FUNDACJA VIVA

eprasa.pl 99f292badc

Skarga czarnej owcy

Okulary przeciwsłoneczne Macrona, zielone bluzy Zełenskiego, sweter Lady Diany... Co próbują nam zakomunikować politycy, gwiazdy i celebryci poza treścią oficjalnych wystąpień?

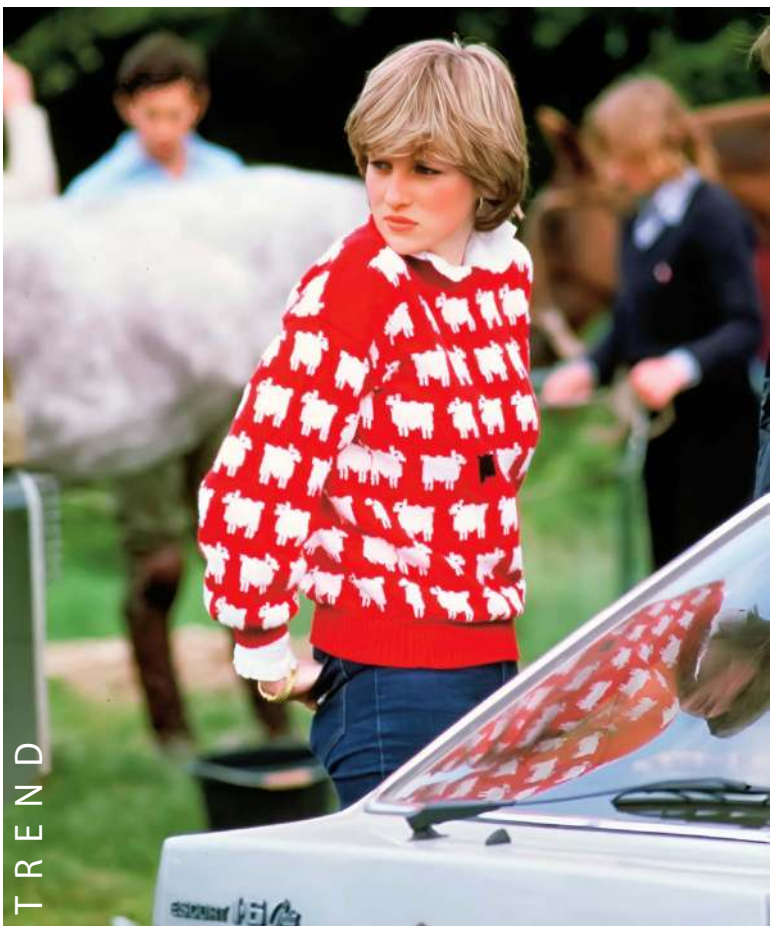

TREND

Pojawienie się Emmanuela Macrona w okularach przeciwsłonecznych podczas Światowego Forum Ekonomicznego w Davos wzbudziło niemałą sensację. Prezydent Francji wystąpił w błękitnych aviatorach luksusowej marki Henry Jullien, a konkretnie w modelu Pacific S 01 Doublé Gold. Okulary założył, bo – jak się tłumaczył – pękło mu naczynko w oku. Kilka godzin po wystąpieniu francuskiego prezydenta sklep internetowy wybranej przez niego firmy zanotował niespotykaną wcześniej liczbę wejść i zakupów „macronowskiego modelu", a akcje producenta poszły w górę o 28 proc.

Strona sklepu była tak przeciążona, że firma postanowiła uruchomić oddzielną witrynę wyłącznie do sprzedaży tego modelu. Cena 659 euro (2,7 tys. zł) nie jest barierą – okulary idą jak woda. Francuskie media chwalą Macrona za wybór krajowej marki, która mimo że została wykupiona przez Włochów, nadal ma siedzibę we Francji, a okulary są składane w Lons-le-Saunier we wschodniej części kraju – miasteczku o długiej tradycji rzemiosła precyzyjnego.

Politycy są świadomi siły oddziaływania takich z pozoru drobnych symboli. Słynne perły brytyjskiej premierki Margaret Thatcher miały początkowo służyć ociepleniu wizerunku Żelaznej Damy. Z czasem stały się symbolem konserwatywnej stabilności, klasy i kontroli. Także Theresa May, która wiele lat po ustąpieniu Thatcher została kolejną w historii szefową brytyjskiego rządu, potrzebowała elementu podkreślającego determinację w negocjacjach brexitu. I tu też z pomocą przyszedł sznur pereł – May miała go na sobie w kluczowych momentach spotkań z Angelą Merkel i innymi premierami Unii, niemal jak symboliczny znak łączności z nieustępliwością poprzedniczki. May nosiła duże sztuczne perły „w stylu gumy balonowej", za co była krytykowana. Nic sobie jednak nie robiła z cierpkich uwag.

Zielona bluza prezydenta Zełenskiego, którą zaczął nosić po agresji Rosji na Ukrainę, miała pokazywać, że na salonach nie jest już politykiem, tylko dowódcą kraju w stanie wojny. W tym samym stroju „z okopu" przemawiał do parlamentów świata, spotykał się z Joe Bidenem, Emmanuelem Macronem i papieżem. Zielona bluza stała się manifestem, kiedy zimą 2024 r. wystąpił w niej w estońskim parlamencie. Tym razem miała napis „Kaitsetahe", czyli „Wola obrony" – był to prezent od estońskiej premier Kai Kallas. Marka MARAT, która bluzy wyprodukowała, po wystąpieniu Zełenskiego zanotowała – w kraju, który ma raptem 1,3 mln mieszkańców – 10 tys. zamówień. Bluzę-manifest wciąż można kupić w sklepie internetowym marki za 55 euro (231 zł).

Strój może być też formą zwrócenia uwagi, a nawet skargą i przepowiednią. Tak było w przypadku „Black Sheep Sweater", swetra księżnej Diany, sprzedanego kilka lat temu na nowojorskiej aukcji w Sothebys za 1,143 mln dol. (ok. 4 mln zł). Ustanowiło to rekord „najdrożej sprzedanego swetra w historii". Nim stał się fetyszem, wełniany sweter był jednym z regularnych produktów brytyjskiej marki Warm & Wonderful. Diana kupiła go niedługo po zaręczynach z księciem Karolem. Pokazała się publicznie w swetrze dwukrotnie – w 1981 i w 1983 r. Po raz pierwszy na meczu polo. Fotografowie dosłownie się na nią rzucili – świat obiegły zdjęcia nieśmiałej blondynki ze spuszczoną głową w swetrze w rzędy białych owiec na czerwonym tle, wśród których wybija się... jedna czarna owca.

Idiom „czarna owca" – *black sheep* – w języku angielskim znaczy to samo, co w polskim. Niepewny wyraz twarzy Diany, jej zagubienie i dystans wobec narzeczonego były tylko dopełnieniem wymowy sweterka. Czarna owca wyrażała tlący się bunt i świadomość własnej odmienności, które 14 lat później w wywiadzie dla BBC (ze słynnym wyznaniem: „W tym małżeństwie było nas troje") wstrząsnęły czymś tak niewzruszonym, jak monarchia brytyjska. ■



Katarzyna Rzehak
– historyczka sztuki, badaczka polskiego dizajnu, dziennikarka, wykładowczyni. Przez 10 lat była dyrektorką w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego.

© TIM GRAHAM PHOTO LIBRARY/GETTY IMAGES, TIKTOK NATALIA STACHNAL, PATRYCJA, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 99f292badc

WIRAL

Studniówka w socialach



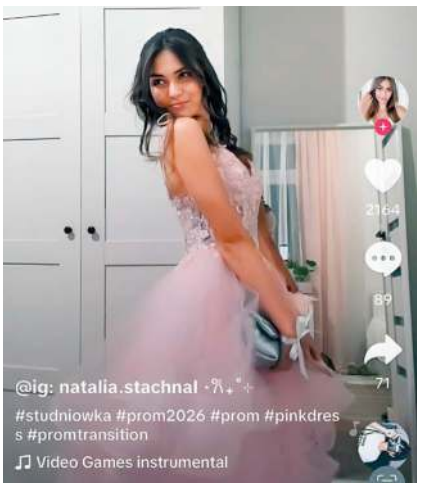

„Jak ty wyglądasz, załóż porządne szpilki, jakąś sukienkę, to i za tobą będą się oglądać!" – tekst, który Izabela Kisio-Skorupa wypowiada w kultowym klipie z serialu „Ukryta prawda", stał jednym z dźwiękowych podkładów studniówkowych transformacji. Zanim pójdzie się na szkolną imprezę, warto przecież zaprezentować kreację w mediach społecznościowych. Najlepiej na TikToku, którego format jest idealny dla tego rodzaju treści. Przyszłe maturzystki kręcą filmiki „przed i po" – najpierw w dresach i podomkach, a potem w sukienkach (niekiedy dołączają do nich chłopaki w garniturach) i makijażu. Widać wpływy amerykańskie – nie tylko z powodu użycia tagu „prom2026", ale i naśladowania trendów. Jeśli się ma grupę koleżanek, transformację można pokazać do piosenki „Voulez-Vous" Abby, inspirując się podobnymi nagraniami, na których panny młode pokazują się w towarzystwie druhen.

Ponieważ modowe transformacje (przed koncertami, imprezami czy konwentami) to jedne z najpopularniejszych treści na TikToku, można przebierać i wybierać w piosenkach. Wziąć choćby: „Put Your Head on My Shoulder" Paula Anki (dla dwóch osób; cięcie montażowe następuje po położeniu głowy na ramieniu koleżanki) czy „Feeling Good" w interpretacji Michaela Bublé. A kto chce się pochwalić szpilkami, może to zrobić do taktu „Pyramids" Franka Oceana. Są i bardziej dosłowne utwory, jak „Prom Dress" mxmtoon albo – tu już polski wątek – „100 dni do matury" Maty. Zabawnym pomysłem jest strzelenie czerwoną podwiązką (na szczęście!) w stronę kamery albo użycie piosenki z serialu o małej księżniczce Zosi.

Tiktokowy algorytm zdaje się budować bezpieczną przestrzeń. W komentarzach do filmików dominują młode osoby, chwalące kreacje koleżanek lub pytające, gdzie można dostać taką sukienkę. Gdy fotki ze studniówek lądują w innych zakątkach internetu (np. na platformie X), od razu pojawiają się obleśne komentarze dorosłych mężczyzn. Może zatem to nie młodzież potrzebuje zakazu korzystania z mediów społecznościowych?

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

SŁOWO

Broń masowego rozproszenia

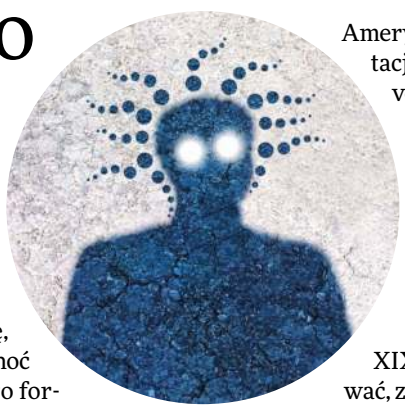

Odklejka to doświadczenie uniwersalne. Przekonuje o tym fakt, że opisywane tu jakiś czas temu hasło „delulu" jest popularne na całym świecie: od USA, poprzez Polskę, aż po Grecję. Tyle że tam – jak osobiście, choć z trudem, odszyfrowywałem – przybrało formę „ντελούλου". Poza tym odklejka polega na tym samym: wierze w rzeczy nieistniejące lub niemożliwe oraz życiu we własnym świecie. Czyli na wysokim poziomie dezorientacji.

Wprawiać w dezorientację można indywidualnie, można też zbiorowo (najlepiej wiedzą o tym Rosjanie). To jednak Amerykanie stworzyli broń masowej dezorientacji, o czym na forum ekonomicznym w Davos poinformował osobiście ich prezydent Donald Trump, chwaląc się swoją wenezuelską wiktorią: „Dwa tygodnie temu użyliśmy broni, o której nikt nie słyszał. Nie mogli oddać w naszą stronę żadnego strzału, wszystko zostało rozproszone".

Mówiąc o tym ostatnim, Trump użył słowa „discombobulate", XIX-wiecznego terminu (ang. dezorientować, zbijać z tropu), który wrócił w XXI w. w filmie o Sherlocku Holmesie jako technika dezorientacji za pomocą specjalnego ciosu w uszy. A stąd przeskoczył – w humorystycznym kontekście – do memów i gier wideo. Teraz z kolei trafił do oficjalnego przemówienia prezydenta USA, które samo w sobie mogło być kolejną próbą rozproszenia i odwrócenia uwagi od poważnych problemów wewnętrznych Stanów Zjednoczonych i samego Trumpa. Albo dowodem na odklejkę głowy państwa, co byłoby tym gorsze, że akurat ta z odklejonych postaci ma do dyspozycji cały arsenał broni jeszcze niebezpieczniejszych i bardziej masowych niż „discombobulator".

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY
Jakbyście chcieli wejść na ten sam bieg, no to na pewno nie zdążą,
Wytyczam ślady i pchamy ten wave, za nami pewnie podążą
Wane, Ødegaard, 2026 r.
wave – trend, fala

eprasa.pl 99f292badc



PODRÓŻE

Zmęczonym mrozem, śniegiem i lodem polecamy wycieczkę na Maderę. Nazwa wyspy pochodzi od lasów wawrzynowych. To relikt sprzed milionów lat i przyrodniczy skarb wpisany na listę UNESCO.

Ocean zieleni



Julia Zabrodzka
– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.



Bartek Kaftan
– dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.

Widzicie jakieś eukaliptusy? Albo sosny? – pyta nasz przewodnik Paulo. Prowadzi nas szlakiem PR16 wzdłuż lewady Fajã do Rodrigues, czyli jednego z kanałów transportujących wodę z północy na południe wyspy. Na początku eukaliptusów i sosen było sporo, ale potem zniknęły. – *To znaczy, że wchodzimy w laurissilvę* – cieszy się Paulo. Przy ścieżce pojawiają się typowe dla lasu wawrzynolistnego wierzby *Salix canariensis*, potężne drzewa wawrzynowate, orszelina drzewiasta, której kwiaty przypominają nieco konwalie, i uczepione stromego zbocza drzewiaste jałowce. Razem tworzą gęsty zielony kożuch pokrywający zbocza doliny São Vicente. Konary mają pokręcone, liście – grube i skórzaste.

Pytanie o eukaliptusy i sosny nie było jednak niewinne. Zdaniem naszego przewodnika są one intruzami, które odbierają przestrzeń rdzennym, często endemicznym gatunkom. Pierwotnie utrzymujące wilgoć lasy wawrzynolistne porastały niemal całą wyspę. To od nich pochodzi nazwa Madeira; oznacza ona drewno – gdy portugalscy żeglarze trafili na początku XV w. na bezludny dotąd ląd, poraziła ich wszechobecna zieleń. W miarę jak kolonizowali Maderę, zaczęli wypalać i karczować ją pod uprawy.

– *Dziś laurissilva porasta ok. 16 proc. powierzchni wyspy* – mówi Lino, inny przewodnik. Chwilę się zastanawia, nim poda dokładną liczbę, bo latem 2024 r. Maderę nękały pożary. Rozprzestrzenieniu ognia sprzyjały wysokie temperatury i wiatr, ale według obu przewodników winę ponoszą również eukaliptusy – ze względu na zawarte w liściach olejki eteryczne płoną znacznie łatwiej niż gatunki wawrzynowate. Eukaliptusy sprowadzono na przełomie XVIII i XIX w. z Australii. Zdawały się uprawą doskonałą: szybko rosły i przynosiły zysk, bo z ich drewna produkuje się papier. Niestety okazało się, że mają też ciemną stronę: rozprzestrzeniają się błyskawicznie.

Na szczęście w wielu zakątkach wyspy te bezcenne lasy nadal mają się nieźle. Za najsłynniejszy uchodzi ten w Fanal na płaskowyżu Paúl da Serra. Rosną tu jedne z najstarszych drzew na wyspie. – *Jeśli będzie choć trochę mgły, to zobaczycie widoki jak z „Władcy Pierścieni"* – zapowiada po drodze Lino. Nic na to nie wskazuje: nad nami błękitne niebo. Wystarczy jednak, że wjedziemy na płaskowyż, a szosę nagle spowija gęsta biała chmura. Gdy dojeżdżamy do Fanal, znów się nieco rozprasza, odsłaniając dziesiątki aut na parkingu i tłumy ludzi. Znikają w cieniu potężnych drzew, głównie z gatunku *Ocotea foetens*, na Maderze nazywanych *til*.

– *Najstarsze mają po 800 lat, większość ok. 500* – twierdzi Lino. Lasy wawrzynolistne niemal nie zmieniły się od trzeciorzędu. Przed milionami lat porastały sporą część Europy, ale zniknęły w wyniku zlodowaceń. Jednak na wyspach Makaronezji – Maderze i niektórych z Wysp Kanaryjskich – przetrwały do dziś.

Fanal nie do końca przypomina typowy las. Rośnie wysoko – prawie 1200 m n.p.m., czyli blisko górnej granicy występowania lasów wawrzynolistnych – a chłopi z Seixal od pokoleń wypasają tu krowy, które zjadają i depczą młode rośliny. To dlatego tutejszy krajobraz jest tak charakterystyczny: na pofalowanych łąkach rozrzucone są pojedyncze drzewa o nieziemskich kształtach. Nawet bez mgły przypominają tolkienowskie enty.

Deszcz pada tu nie z chmur, ale z drzew. Wilgoć przesycająca atlantyckie powietrze skrapla się na lśniących liściach, omszałych konarach i pniach. Każde z drzew na swój sposób jest lasem: porastają je paprocie, mchy, porosty, epifity, grzyby. Niektóre przypominają wodorosty, inne ukwiały i korale, a całe Fanal, choć położone na wyniosłym grzbiecie, wygląda jak rafa na dnie oceanu. I jest równie cennym ekosystemem – to właśnie lasy wawrzynolistne od milionów lat zaopatrują wyspę w wychwyconą z powietrza wodę.

Gdy mgła znów nieco się przerzedza, okazuje się, że niektóre z drzew otoczono prowizorycznymi płotami. To nowość: władze wyspy zaczęły ustawiać je jesienią 2025 r., by ochronić co bardziej wiekowe okazy. Powstał też szlak mający uporządkować ruch. Cóż, warunki do fotografowania nieco się pogorszą, ale to niska cena za przetrwanie lasów pamiętających czasy, gdy nie tylko Madera, ale i cała Ziemia, były jeszcze całkiem bezludne. ■

© JULIA ZABRODZKA, MICKIEWICZWINNICA.PL

eprasa.pl 99f292badc

WINO

Polskie winiarstwo idzie w górę. Po kłodach rzucanych pod nogi z różnych, czasem zaskakujących, stron.

Zamach na wieszcza

O imponujących postępach polskiego wina pisałem już nieraz. Po entuzjastycznych recenzjach robi na przykład karierę w Wielkiej Brytanii. Ale nie wszędzie jest tak różowo. Poważne problemy dla winiarzy zwiastują projekty nowelizacji Ustawy o wychowaniu w trzeźwości złożone przez Lewicę i Trzecią Drogę. Przewidują one zakaz „promocji alkoholu" (nie wiadomo, co to dokładnie znaczy, więc będzie mogło dla urzędów oznaczać wiele) oraz sprzedaży przez internet. W obronę wziął winiarzy PSL, który złożył konkurencyjny projekt dopuszczający m.in. sprzedaż internetową, choć z komentarzem, że „kontrola i ograniczenia będą większe niż w większości krajów naszego regionu". A właściwie dlaczego mają być większe?

Obiektywnie bowiem konsumpcja alkoholu w Polsce spada (według danych GUS za 2024 r. od trzech lat notuje się obniżenie wielkości spożycia napojów alkoholowych, przede wszystkim za sprawą zmniejszania ilości wypijanego piwa), a sprzedaż wina i tequili przez internet jest normą we wszystkich krajach Unii (i w dodatku z tej UE dalej będziemy mogli zamawiać, polska ustawa nie może tego zakazać).

Kłopoty winiarz może mieć jednak nie tylko z powodu procentów i zakazów, ale także... nazwiska. To właśnie spotkało rodzinę Mickiewiczów, która od dwóch dekad prowadzi świetną, wielokrotnie nagradzaną winnicę w Opolu Lubelskim (do 2018 r. pod nazwą **Winnica Solaris**, dziś pod nazwiskiem, z charakterystycznymi gumiakami na etykietach). Otóż dwa lata temu Maciej Mickiewicz dostał pismo od pełnomocnika pewnej gorzelni informujące o tym, że posiada ona... wyłączne prawo do używania znaku towarowego „Mickiewicz".

Wódka Adam Mickiewicz produkowana jest przez BZK TM sp. z o.o. powiązaną m.in. z Bakomą. O relacjach rodzinnych albo choćby intelektualnych tego biznesu z twórczością autora „Pana Tadeusza" wiadomo tyle, że ich brak. Ot, potrzebna jest chwytliwa nazwa dla wódki, to bierzmy wieszcza. W swojej biznesowej zapobiegliwości BZK zarejestrowała także w Urzędzie Patentowym takie marki jak Kazimierz Wielki i Pułaski.

Co jednak na to generał? No właśnie, czy taka sytuacja powinna w ogóle się wydarzyć? Czy firmy prowadzące działalność czysto gospodarczą, niemającą nic wspólnego z postaciami, na które się powołują i z których reputacji czerpią zysk, powinny mieć do tego prawo? Pytanie retoryczne – taka jest rzeczywistość. Mamy np. wódkę Chopin, choć nie powinniśmy jej mieć (poza wszystkim Chopin pijał szampana i bordeaux). Narodowy Instytut Fryderyka Chopina powołano do ochrony dziedzictwa kompozytora już po rejestracji marki, ale mamy też Instytut Adama Mickiewicza, a wódka Mickiewicz i tak powstała.

Na razie wynajęta przez BZK kancelaria prawna wniosła do sądu o... unieważnienie znaku towarowego Winnica Rodzinna Mickiewicz. W pismach podnosi możliwość „niedopuszczalnego chaosu w sektorze rynku alkoholowego" (sic!) oraz „skojarzenie tej samej zawartości słownej" między wódką Adam Mickiewicz a winami z Winnicy Rodzinnej Mickiewicz i zarzuca tej ostatniej „nieuczciwe praktyki rynkowe"!

Sprawą zajmie się sąd i nie tracę nadziei, że pójdzie po rozum do głowy. W starciu Dawida z Goliatem na rzecz tego pierwszego przemawia nie tylko moralne prawo do używania własnego nazwiska, ale i działalność prowadzona od 2004 r., i to w zupełnie innym segmencie niż wódka – choć BZK nie ukrywa, że też by chciało wejść na rynek wina. Niech robi to jednak pod jakąś stworzoną przez siebie marką, a nie pod cudzym nazwiskiem.

Wznieśmy zatem toast za normalność i rozwój polskiego winiarstwa. Oczywiście kieliszkiem polskiego wina. ■



Wojciech Bońkowski – od 2023 r. pierwszy polski Master of Wine. Chief Wine Officer w Studi Media, wydawcy pisma o winie „Ferment".



Winnica Rodzinna Mickiewicz Cortez 2022, 80 zł (mickiewiczwinnica.pl/sklep)
Winnica Kępa Wiślicka Blanc de Noirs Brut 2022, 80 zł (13win.pl)
Winnica Marcus Hibe Orange 2021, 105 zł (spot.poznan.pl)
Winnica Margaret Zorza 2022, 115 zł (szara10bywineavenue.pl)
Winnica Miłosz Pinot Noir 2022, 130 zł (winnicamilosz.pl)

eprasa.pl 99f292badc

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podkasty

Czy Trump ma tajny plan?



W co tak naprawdę gra Donald Trump? W „Polskim demo", podkaście POLITYKI i Fundacji Batorego, stara się to objaśnić Eugeniusz Smolar, dziennikarz, członek Centrum Stosunków Międzynarodowych, były dyrektor polskiej sekcji BBC. Nasz gość podpowiada, które amerykańskie dokumenty należy teraz studiować – i nie chodzi o głośną strategię bezpieczeństwa narodowego. Gdzie indziej warto szukać rozwiązania zagadki. Ale o tym więcej w naszej rozmowie: do sprawdzenia na polityka.pl i YouTube.

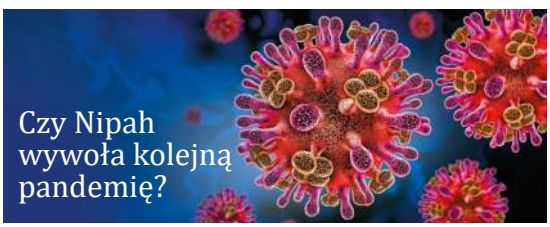

Czy Nipah wywoła kolejną pandemię?

W mediach głośno o wirusie Nipah, który w krajach Azji Południowo-Wschodniej doprowadził do zaostrzenia kontroli sanitarnych na lotniskach. To efekt pojedynczych przypadków zakażeń w Indiach. Czy w tej sytuacji światu grozi powtórka z pandemii Covid-19? Piotr Rzymski z Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu na polityka.pl tłumaczy, co to za wirus i czy są powody do paniki.



Jak przestać scrollować?

Dzieci są przyspawane do smartfonów. Ale dorośli też nie zawsze wiedzą, jak się od nich odkleić. Jakiś rodzaj cyfrowej higieny przysłużyłby się wszystkim. O tym, jak o nią zadbać, rozmawiamy z Łukaszem Polikowskim, psychologiem, popularyzatorem nauki, znanym w sieci jako „Człowiek absurdalny". Ustalamy, czy mózg może zgnić od patrzenia w ekran (oczywiście nie dosłownie) i dlaczego scrollowanie to najgorsza forma odpoczywania.

Bez owijania w lycrę



Zorganizowaliśmy w studiu POLITYKI mały okrągły stół, przy którym zasiedli polscy twórcy ubrań kolarskich. „Branża jest na tyle mała, że niemal połowę przedstawicieli tego rynku udało się za jednym zamachem zaprosić do podkastu", zachęca Juliusz Ćwieluch. Z rozmowy dowiecie się m.in., jak się prowadzi taki biznes i z czego się szyje. No i przede wszystkim: dlaczego jest tak drogo?



Bunt mamy we krwi

Przy okrągłym stole w studiu POLITYKI zebrali się też niedawno znakomici historycy: profesorowie Andrzej Friszke, Rafał Wnuk i Marcin Zaremba. A punktem wyjścia do dyskusji była książka „Powstańcy. Marzyciele i realiści" Mirosława Maciorowskiego. Rozmawiamy o polskich buntach, pospolitych ruszeniach i powstaniach. Obalamy mity i obiegowe opinie, ustalając, czy Polacy mają w sobie gen oporu czy może raczej gen szaleństwa.

© ANNA AMAROWICZ, SHUTTERSTOCK (2), LESZEK ZYCH (2)

GALERIA POLITYKI

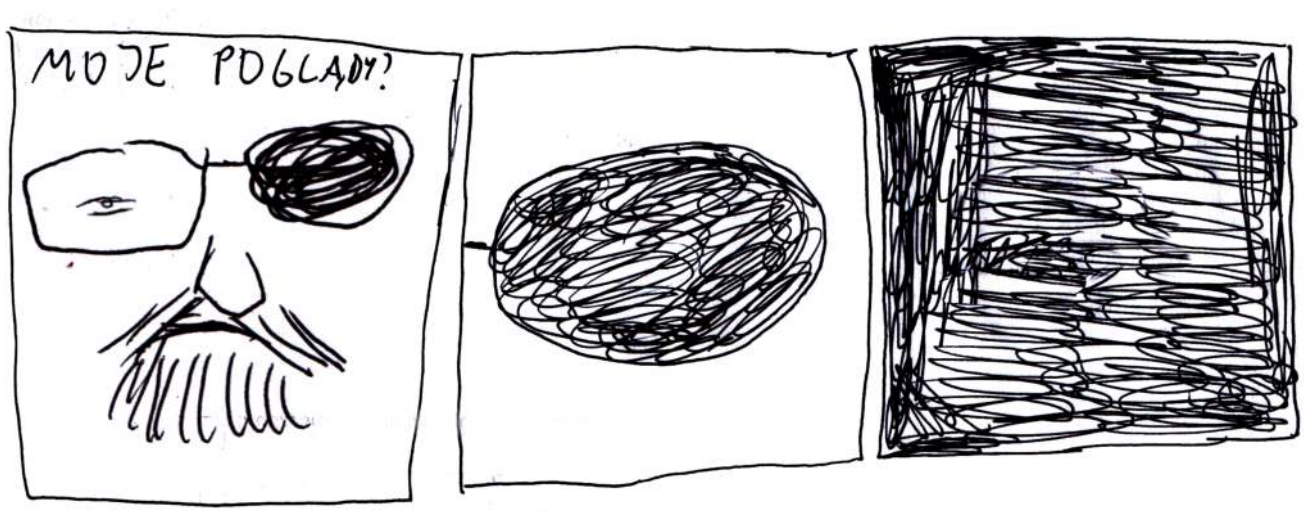

JAN KOZA

eprasa.pl 99f292badc

KRAJ KWITNĄCEJ WIŚNI



KUP TERAZ

W sprzedaży

Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na **sklep.polityka.pl**
Wydanie cyfrowe – subskrypcja **polityka.pl/cyfrowa**
Podkast POLITYKA o historii – **polityka.pl/podkasty**

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny

eprasa.pl 99f292badc



Do nabycia w punktach sprzedaży prasy
i na **sklep.polityka.pl**

eprasa.pl 99f292badc